**SMOLEŃSK, ŻYCIE PO ŻYCIU**
Czy polityczny spektakl właśnie się kończy

**JEDNA BIBLIA**
Przekład, który pogodzi wyznania?

**CO CZYTA PREZYDENT**
Rozczulające lektury na rocznicę niepodległości

**W RYTMIE DISCO POLO**
Podróż po krainie pragnień, lęków i fantazji

Kraków 8 kwietnia 2018 nr 15 (3587) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

SĘDZIA BARBARA PIWNIK

# Skazani na błędy

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

**Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪**

**Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.**

▪ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 339 zł | 369 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 209 zł | 229 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 109 zł | 119 zł |

**Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok**
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

KS. ADAM

# Boniecki: *Człowiek? Nie człowiek? Oto jest pytanie*

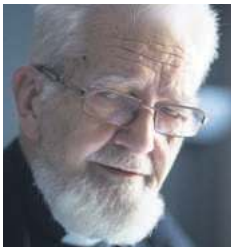

Było mi przykro, gdy czytałem o „czarnych manifestacjach" pod rezydencjami biskupimi, gdy słyszałem wznoszone tam brutalne okrzyki, gdy myślałem o biskupie, który by dotrzeć do czekających go gdzieś w terenie wiernych, wymknął się z domu bocznymi drzwiami, bo przy bramie pikietowali manifestanci. Tego nie było nawet po liście polskich biskupów do biskupów niemieckich! A tym razem szło, jak wiadomo, o ewentualność zniesienia prawnej dopuszczalności aborcji w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu.

Ale czemu pod drzwiami biskupów? Punktem zapalnym było to, że biskupi na swojej konferencji (13-14 marca) wyrazili potrzebę „niezwłocznego podjęcia prac legislacyjnych nad projektem obywatelskim »Zatrzymaj aborcję«".

Nie wiem, jak wielki jest realny wpływ Episkopatu na decyzje legislacyjne. Sądząc po sprawie korytarzy humanitarnych, to się mieści w granicach politycznego interesu rządzących. Episkopat (Kościół) ze swej strony nie ma dużego pola manewru. Obowiązujący do tej pory kompromis Kościół akceptował w imię realistycznego dążenia do obrony tego, co obronić było można.

Dyskusyjna jest oczywiście kwestia karalności. W debacie na ten temat w latach 80. ubiegłego wieku biskupi odrzucili propozycję jednego z polskich środowisk teologicznych, przewidującą więzienia dla matek, które poddały się aborcji. Kompromis uzasadniali stwierdzeniem, że karami nikogo nie można zmuszać do podejmowania decyzji heroicznych.

Spór jednak sięga głębiej niż bolesna kazuistyka. Spór „czy liberalizacja ustawy, czy jej zaostrzenie?" jest w istocie sporem o to, czy rzeczywiście człowiek jest od poczęcia człowiekiem. Za arystotelesowską teorią, że „uczłowieczenie" następuje wówczas, gdy embrion przestaje być częścią organizmu kobiety, opowiadał się poniekąd sam św. Tomasz (XIII w.). Utrzymywał, że „uduchowienie" płodu następuje w 40. dniu od zapłodnienia, gdy chodzi o chłopca, albo w 90., gdy chodzi o dziewczynkę. Kiedy nauka ustaliła, że zarodek rozwija się w sposób ciągły, nieskokowy i według własnego programu zawartego w programie genetycznym z zachowaniem tożsamości genetycznej (badanie DNA), teoria „uduchowienia" w XIX w. znikła z teologii, nie będąc zresztą nigdy oficjalną nauką Kościoła. Stąd też stanowisko Kościoła, że z bytem ludzkim mamy do czynienia od poczęcia. Tymczasem stanowisko bioetyki laickiej za kryterium człowieczeństwa przyjmuje albo pojawienie się aktywności mózgu, albo zaczątków świadomości, albo odczuwania bólu, czy wreszcie zdolności płodu do życia poza organizmem matki, a nawet kryterium narodzin.

W konsekwencji drugą fundamentalną kwestią w sporze jest pytanie, czy mamy tu do czynienia z prawem do odbierania życia człowiekowi. Jeśli np. przyjąć, że wolno unicestwić (przed urodzeniem) człowieka, który jest w większym lub mniejszym stopniu niepełnosprawny, to nieuchronnie pojawią się pytania o niepełnosprawnych już urodzonych, a także o prawo do uwalniania społeczeństwa od jednostek dla społeczeństwa szkodliwych. Za taką szkodliwość może być uznany tak zespół Downa, jak i „niewłaściwa" rasa.

Nawet z tak uproszczonego opisu wynika, że stanowisk nie da się pogodzić. Trudno też się spodziewać, by manifestacje pod drzwiami biskupów mogły wpłynąć na zmianę przekonania Kościoła, że życia ludzkiego zawsze trzeba bronić.

Dotychczasowy kompromis dotyczy raczej metod niż wartości. Kościół uznał, że w najbardziej dramatycznych sprawach może działać wyłącznie na forum sumienia, a nie przez wpływ na stanowienie ustaw. ©℗


TP

## *Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim*

**ELBLĄG, czwartek 5 kwietnia, godz. 18.00**
Spotkanie z cyklu „Wstańmy z kanap wg autorytetów" – „Hanna Chrzanowska – radość dawania", Ratusz Staromiejski, ul. Stary Rynek 25

**SOSNOWIEC, środa 11 kwietnia, godz. 18.00**
Pałac Schoena, Muzeum w Sosnowcu, ul. Chemiczna 12.

**ŁODŹ, czwartek 12 kwietnia, godz. 16.00**
Uroczystość wręczenia tytułu doktora honoris causa, Uniwersytet Łódzki, Aula Wydziału Filologicznego, ul. Pomorska 171/173. Wstęp wolny.

**Msze św. i spowiedź:**

MSZE ŚW. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), **soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.**

SPOWIEDŹ – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), **wtorki godz. 18-19.**

▪ Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: **kuczminska@tygodnik.com.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

**5 Zmienni jak wyborcy**
JAROSŁAW FLIS

**6-9 Wiadomości / Komentarze**

**18 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

**20 Nie mam prawa mieć wątpliwości**
ROZMOWA Z BARBARĄ PIWNIK, SĘDZIĄ: *Wypowiedź premiera w sprawie Tomasza Komendy jest kategoryczna*

**25 I nadszedł ten dzień**
MAREK RABIJ *o nowej fundacji Adama Czartoryskiego*

**26 Zadyszka premiera**
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Morawiecki próbuje złapać oddech i załatwić to, do czego został wynajęty: złagodzić politykę i dogadać się z Brukselą*

■ ■ WIARA

**30 Wspólne Słowo Boże**
MARCIN MAJEWSKI: *Czy jednomyślne tłumaczenie Pisma Świętego jest możliwe? W Polsce okazało się, że tak*

**34 Ambona, która dryfuje**
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: *Homilia powinna mieć związek z życiem*

**37 Młot na kaznodziejów**
MACIEJ MÜLLER *o książce s. Małgorzaty Borkowskiej, benedyktynki i pisarki*

**38 Już zostaliśmy wskrzeszeni**
PIOTR SIKORA: *Pierwsza część Medytacji Wielkanocnych*

■ ■ ŚWIAT

**40 Brutalny i elastyczny**
DOMINIK HÉJJ: *Viktor Orbán wkrótce znów wygra wybory*

ADAM LACH / NAPO / FORUM

■ TEMAT TYGODNIKA ■

**10 Wieczny nieodpoczynek**
DARIUSZ KOSIŃSKI

Wraz z ostatnią miesięcznicą skończy się największe przedstawienie polityczne współczesnej Polski.
Ale wytworzona przez nie wspólnota wyobraźni trwać będzie długo. Podobnie jak podziały.

**14 Smoleński szpagat**
RAFAŁ ZYCHAL

W kwestii prawdy o katastrofie, którą wielu chciałoby potraktować jak zamach, tkwimy wciąż w martwym punkcie. Prokuratura i podkomisja Macierewicza właśnie kupiły sobie czas. Na co czekają?

■ FELIETONY ■

**29** ANNA DZIEWIT-MELLER
**39** SZYMON HOŁOWNIA
**51** WOJCIECH BONOWICZ
**73** PAWEŁ BRAVO
**74** STANISŁAW MANCEWICZ
**74** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BARBARA PIWNIK
Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ dla „TP”
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

**43 Ministerstwo samotności**
PATRYCJA BUKALSKA: *Brytyjczycy są bardzo samotni. Problemem oficjalnie zajmuje się rząd*

**45 Egipt–Etiopia: wojna o wodę**
WOJCIECH JAGIELSKI: *Dwa afrykańskie mocarstwa spierają się o dostęp do Nilu*

■ ■ HISTORIA

**48 Rzeczpospolita Ruska**
ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM GILEM

■ ■ NAUKA

**52 Odkrycie na wagę złota**
SEBASTIAN J. SZYBKA: *Dziś znamy odpowiedzi na pytania, które spędzały sen z powiek alchemikom*

■ ■ KULTURA

**56 Prezydencki Kanon Niepodległości**
RYSZARD KOZIOŁEK: *Nie oburza mnie ten zestaw lektur. To przedsięwzięcie mnie rozczula*

**60 Ludzie przyszłości**
MAŁGORZATA REJMER: *Edi Hila może dzisiaj malować, co chce*

**63 Gdzie jest Björk?**
ROBERT KASPRZYCKI: *Muzyka, poezja, twórczość stanowią w jej życiu cel sam w sobie*

**66 Brzydka twarz suwerena**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Małgorzaty Szumowskiej „Twarz”*

**67 Warto zobaczyć w TV**

**72 Widziane z uniwersytetu**
LEKTOR *o książce „Napisane niedawno. Szkice krytyczne i literackie” Marty Wyki*

■ ■ ZMYSŁY

**68 Seks w rytmie disco polo**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI: *Ta muzyka to najczulszy sejsmograf społeczny*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietoniści:** Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
**Reklama, promocja:** tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
**Prenumerata:** tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

# ZMIENNI JAK WYBORCY

Opublikowany tuż przed świętami sondaż, pokazujący spadek poparcia dla PiS, to kubeł zimnej wody dla obozu rządzącego. Okazuje się, że polscy wyborcy nie są pochopni, ale pamiętliwi.

JAROSŁAW FLIS

Zaczynając jednak od zastrzeżeń: to tylko jeden sondaż. Traktowanie go jak wyroczni nie ma sensu. Widać to szczególnie po notowaniach lewicy, która w porównaniu z poprzednim badaniem opinii tej samej pracowni odnotowała trzykrotny wzrost – z 3 do 9 proc. Rzecz w tym, że poprzednio jej wyniki były wyraźnie niższe od średniej dla sondaży innych firm, teraz zaś są nieco wyższe od takiej średniej. Biorąc pod uwagę precyzję takiego badania, może to być równie dobrze wzrost z 5 na 7 proc. Też coś, ale bez powodu do euforii. Podobnie w przypadku PiS: nawet gdyby stracił nie 12, ale 8 punktów procentowych, dalej może to być tylko krótkotrwałe wahnięcie. Byliśmy świadkami podobnego nieomal dokładnie rok temu, po beznadziejnej brukselskiej szarży na Tuska. Potem notowania wróciły do wcześniejszego poziomu.

Konsekwencje polityczne takich wyników są jeszcze mniej oczywiste. Można sobie wyobrazić, że rządzący wpadną w panikę. Jej przejawem jest najpewniej zatrzymanie byłego wiceministra finansów w rządzie PO Jacka K., ↦

*Posłowie PO podczas wystąpienia Beaty Szydło przypominają o wysokosci odebranej przez nią nagrody, 22 marca 2018 r.*

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

↦ przy którym samoniszcząca dla PiS sprawa posłanki Sawickiej wygląda na majstersztyk politycznej intrygi. W takim scenariuszu opozycja dostanie wiatru w żagle, w obozie władzy rozpoczną się kłótnie i oskarżenia, które sprowadzą go na równię pochyłą w następujących raz po raz od jesieni wyborach. Lecz równie dobrze można twierdzić – co już podnoszą niektórzy komentatorzy – że taki skok może opozycję uśpić, natomiast otrzeźwić obóz władzy. Do wyborów jest dość czasu, by odprawić pokutę i pokazać, że się z błędów umie wyciągać wnioski.

Jakież to jednak wnioski nasuwa cała ta sprawa, jeśli spojrzeć na nią szerzej – wychodząc poza to, komu rośnie, a komu spada? Od dwóch lat wielu komentatorów wierzy, że polska polityka gwałtowanie się zmieniła. Że wszystko już wygląda inaczej, zostało zabetonowane, poprzedzielane nawet nie rowami, lecz przepaściami. Otóż obserwując sondaże łatwiej znaleźć argumenty na rzecz tezy, iż dotyczy to znacznie bardziej politycznych aktywistów – wliczając w to dziennikarzy „mediów tożsamościowych" – niż ogółu. Medialne rozgorączkowanie maskuje fakt, że dalej jest w Polsce grupa wyborców, których decyzje nie są oczywiste. Których nie paraliżują wzajemne oskarżenia o najcięższe zbrodnie: narodowe zdrady i zamachy na demokrację. Inflacja takich oskarżeń czyni może ich reakcje powolniejszymi, jednak dalej udzielają oni poparcia i je wycofują w odpowiedzi na konkretne działania obu stron. Odnotowują błędy i porażki dumnie ogłaszanych zamiarów. Gdy jest ich za dużo, zmieniają swoje decyzje. Nie są pochopni, lecz za to pamiętliwi. Najwyraźniej nie cenią strategii „pokazywania pazurków".

Taki wniosek tym bardziej podpowiada, że losy zbliżających się wyborów ciągle się ważą. Już dziś wszystkie strony – partia rządząca wraz z przyległościami, kotłujące się ugrupowania opozycji czy wreszcie lokalne partie władzy wokół „bezpartyjnych" samorządowych włodarzy – przesądzają o wyniku głosowania. Poparcie wyborców jest jak odporność gwoździa na wyginanie – nigdy do końca nie wiadomo, kiedy się kończy. Lecz jeśli przegina się za często, kończy się niechybnie. © JAROSŁAW FLIS

## W SKRÓCIE

**ZŁOTOUSTY.** „Paradoksalnie, chociaż pani premier Beata Szydło mówiła co innego niż Mateusz Morawiecki, a przynajmniej w pewnych aspektach, to oboje mieli rację" – skomentował Ryszard Czarnecki różnicę zdań między byłą szefową a obecnym szefem rządu w kwestii nagród dla członków gabinetu.

**ZŁOTOUSTY PLUS.** „Słynący z niesamowitej intuicji politycznej" prezes Jarosław Kaczyński „trafił w dziesiątkę" zmieniając Szydło na Morawieckiego – powiedział Adam Bielan w rozmowie z „Polska The Times". Mówienie na temat nagród nie poszło mu tak płynnie: w niedawnym wywiadzie dla Radia Zet wicemarszałek Senatu wyznał, że zarabia na rękę ok. 10 tys. zł, dodając: „To dobre pieniądze, ale gdyby żona nie zarabiała, to przy dwójce dzieci byłoby gorzej".

**ZAMIAST NAGRÓD.** Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę, zgodnie z którą osoby wybrane przez pracowników do rady nadzorczej spółki Skarbu Państwa lub grupy kapitałowej nie będą musiały m.in. spełniać wymogu posiadania wyższego wykształcenia.

GRAŻYNA MYŚLIŃSKA / FORUM

**À PROPOS RAD.** Kaja Godek (na zdjęciu), ikona ruchu „Zatrzymaj aborcję", zasiada w radzie nadzorczej państwowej spółki Warszawskie Zakłady Mechaniczne, produkującej komponenty do układów wtryskowych silników wysokoprężnych. Zapytana przez dziennikarza Wirtualnej Polski o kompetencje w tej branży, zareplikowała: „A pyta pan o to tylko mnie czy też innych? Proszę spytać także pozostałych członków Rady Nadzorczej i Zarządu".

# *Weto pod okiem Brukseli*

PAWEŁ BRAVO

Prezydent wetując tzw. ustawę degradacyjną, która miała objąć m.in. członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, zapewniał, że zależy mu na „odcięciu od tamtych czasów", ale stwierdził, że jest niesprawiedliwa. Trudno się nie zgodzić z przytoczonymi przykładami – hurtowe pozbawianie stopni członków Rady bez rozpatrzenia sytuacji każdego z osobna to klasyczny przykład słabości państwa, które przyznaje się, że nie ma dość siły i rozumu, by wymierzać sprawiedliwość, a nie zajmować się publicystyką.

Jednak Andrzej Duda dodał coś jeszcze: „w tej chwili bacznie patrzy się na to, jak w Polsce przestrzegane są standardy demokratycznego państwa prawa i praworządności. Jestem przekonany, że (...) utrata stopnia wojskowego na mocy samego prawa, po wydaniu obwieszczenia przez prezydenta, brak możliwości wniesienia jakiegokolwiek środka odwoławczego, zostałaby absolutnie, po pierwsze, być może zaskarżona do TK, a po drugie, zostałaby zaskarżona prawdopodobnie do Trybunałów Europejskich". A więc jednak polskie władze są zdolne pojąć, że nie rządzą w próżni i że trzeba się liczyć ze zdaniem wspólnoty międzynarodowej.

Ponoć PiS wszedł na ścieżkę szukania kompromisów z Brukselą. Ich cena, jak się wyraził niedawno Jarosław Kaczyński, jest „gorzka", a ustępstwa „przykre". Akurat to ustępstwo nie niesie kosztów, jeśli chodzi o praktykę sprawowania władzy. Pozostaje zaczekać, ile realnie goryczy i przykrości PiS zechce wziąć na siebie w sprawach naprawdę ważnych. ©℗

## Anglista nie dla szkoły

**SZEŚĆDZIESIĄT TRZY WAKATY** w mazowieckim, ponad dwadzieścia w śląskim, pomorskim i małopolskim. Doniesienie „Dziennika Gazety Prawnej" o niedoborze nauczycieli angielskiego w szkołach może dziwić – zwłaszcza w zestawieniu z informacjami o kadrowych cięciach jako pokłosiu reformy oświaty PiS.

W przypadku anglistów mowy o zdziwieniu nie ma: od lat wielu z nich, ciesząc się rynkowym wzięciem, traktuje pracę w oświacie jako ostateczność. Efekt: zajęcia z angielskiego w szkołach publicznych bywają fikcją, bo nauczyciele zmieniają się nawet w ciągu roku, a edukacyjny sukces młodego pokolenia (władającego tym językiem nie gorzej niż rówieśnicy z Zachodu) to zasługa szkół prywatnych i korepetytorów.

Sytuacji nie polepszy symboliczna podwyżka nauczycielskich pensji. Ani pojawienie się w efekcie reformy oświaty instytucji „nauczyciela obwoźnego" – zmuszonego do pracy w kilku szkołach, by wyrobić etat. Dla anglisty szkoła publiczna pozostanie miejscem ostatniego wyboru. Dla ucznia – ostatnim miejscem, w którym nauczyłby się angielskiego. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

CHRIS RADBURN / REUTERS / FORUM

*Rosyjscy dyplomaci opuszczają Londyn*

## Zachód–Rosja: epoka lodowcowa

**NA NASZYCH OCZACH** rozgrywa się kolejny akt wojny dyplomatycznej i informacyjnej między Zachodem i Rosją. Wielka Brytania – w związku z atakiem chemicznym na podwójnego szpiega Siergieja Skripala i jego córkę, o który podejrzewa Rosję – wydaliła rosyjskich dyplomatów. Rosja odpowiedziała symetrycznie: wydaliła taką samą liczbę dyplomatów brytyjskich. Następnym aktem jest solidarnościowa akcja sojuszników Londynu: walizki pakuje stu kilkudziesięciu Rosjan, akredytowanych w europejskich stolicach, USA, Kanadzie i Australii. Większość to oficerowie wywiadu, pracujący pod dyplomatyczną przykrywką. Minister spraw zagranicznych Ławrow grozi, że „Rosja odpowie na chamstwo" Zachodu. I znów stosuje symetrię: skoro Stany wyrzucają 60 Rosjan i zamykają jeden rosyjski konsulat, to z Rosji wyjedzie 60 pracowników placówek USA i zostanie zamknięty konsulat w Petersburgu. Pozostałe kraje też spotka lustrzana odpowiedź Kremla.

Trwa również wojna informacyjna. Przez swoje tuby propagandowe Rosja zapewnia, że nie ma związku z otruciem Skripala. Ma to podać w wątpliwość wersję Londynu i rozbić solidarność Zachodu. Kreml próbuje rozgrywać wszelkie rozbieżności między krajami zachodnimi, ciągle ma nadzieję na podjęcie rozmów z wahającym się prezydentem USA i testuje determinację Londynu. Choćby w sprawie prześwietlenia brudnych rosyjskich pieniędzy, które osiadły na Wyspach, czy bojkotu piłkarskich mistrzostw świata, które wkrótce odbędą się w Rosji.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki:
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

HANDOUT / GETTY IMAGES

**KOREAŃSKA DYPLOMACJA.** Przywódca Korei Północnej jest w tych dniach wyjątkowo rozchwytywany. 27 kwietnia Kim Dzong Un i prezydent Korei Południowej Moon Jae-in spotkają się w granicznej miejscowości Panmundżom. W minionym tygodniu negocjatorzy ustalali tam tematy szczytu (na zdjęciu: południowokoreański minister ds. zjednoczenia Cho Myoung-gyun – w środku – przekracza granicę z Północą). Tuż przedtem Kim został przyjęty w Pekinie przez chińskiego prezydenta Xi Jinpinga – i ogłosił tam, że chce „denuklearyzacji". Japońskie media podają, że także Tokio złożyło Kimowi ofertę spotkania. Otwarta jest kwestia szczytu Kim–Trump (obie strony stawiają warunki). Tymczasem „New York Times" twierdzi, że z analizy zdjęć satelitarnych wynika, iż Północ uruchomiła kolejny reaktor atomowy. Oficjalnie służy do produkcji prądu, ale zachodni eksperci sądzą, że także plutonu do bomb. ©℗ WP / FAZ

## *Katalonia: czekając na ekstradycje*

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Hiszpania robi wszystko, by świat nie przestał interesować się sprawą Katalonii. 23 marca aresztowano pięciu kolejnych katalońskich polityków, w tym kandydata na premiera regionu Jordiego Turulla. Decyzja zapadła kilka godzin po tym, jak media poinformowały o ucieczce liderki katalońskiej republikańskiej lewicy Marty Roviry do Szwajcarii.

Hiszpański sędzia uznał, że liderzy ruchu niepodległościowego używali przemocy. Przemoc to niezbędna składowa przestępstwa rebelii, za które grozi 30 lat więzienia: aby uzasadnić użycie tego paragrafu, sędzia przypomniał incydent z 21 września 2017 r., gdy demonstrujący podpalili auta hiszpańskiej żandarmerii. Sędzia wydał też europejski nakaz aresztowania dla ekspremiera Katalonii Carlesa Puigdemonta i czterech członków jego rządu. Puigdemont został zatrzymany 25 marca w Niemczech. Jego aresztowanie to efekt współpracy hiszpańskiego i niemieckiego wywiadu – inne kraje, w których przebywał (Finlandia, Szwecja i Dania), nie zaangażowały się tak gorliwie w poszukiwania. Pozostali ścigani przez Madryt, przebywający w Belgii, Szkocji i Szwajcarii, są wprawdzie na wolności, ale im też grozi ekstradycja. Np. Clara Ponsatí, była katalońska minister edukacji, została zwolniona za kaucją przez szkocki sąd, który musi podjąć decyzję o wydaniu jej Madrytowi (ponoć Szkoci czują się z tym dziwnie, bo wielu z nich też chce niepodległości, ale muszą respektować europejskie prawo). Tymczasem po aresztowaniu Puigdemonta w Barcelonie zawrzało. Na ulice wyszło 55 tys. ludzi (sto osób ucierpiało w starciach z policją). Madryt nauczył się już ignorować oburzenie Katalończyków. Za to prawdziwym ciosem byłaby dla niego odmowa ekstradycji. Katalonia nie może liczyć na Komisję Europejską, która opowiada się po stronie Hiszpanii, ale wciąż liczy na Belgię, Szkocję i Niemcy. ©℗

VITTORIANO RASTELLI / CORBIS / GETTY IMAGES

**CO NOC Z RZYMSKIEJ FONTANNY DI TREVI** wyławia się ponad 3 tys. euro: zgodnie z tradycją turyści wrzucają do niej monety, by zapewnić sobie powrót do Wiecznego Miasta. Roczny połów to 1-1,4 mln euro. Pół roku temu rada miejska Rzymu przegłosowała, że od 1 kwietnia te pieniądze nie będą już przekazywane do Caritas. Jednak na trzy dni przed wejściem uchwały w życie zawieszono jej wykonanie do końca roku. Na razie więc fontanna nadal będzie zasilać rzymskie noclegownie i stołówki dla bezdomnych. ©℗ MAM

## O polskości w Łodzi

**„TO BARDZO WAŻNE,** byśmy zobaczyli, że w tej samej wielkiej inspiracji, której na imię Polska, uczestniczą bardzo różni ludzie, i że możemy się wszyscy spotkać w tym, co jest polskie, co nas inspiruje i do czego nas polskość zobowiązuje" – tłumaczył abp Grzegorz Ryś sens cyklu comiesięcznych debat zatytułowanych „Polskość – Inspiracje – Obowiązki", odbywających się w domu arcybiskupa łódzkiego w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości. W pierwszej edycji 26 marca uczestniczyli Karol Modzelewski i Adam Strzembosz. „Bardzo trudno jest powiedzieć, jak silne będą w przyszłości związki między chrześcijaństwem a polskimi obywatelami" – mówił ten pierwszy. Z kolei drugi zauważył, że „ci, którzy nie poczuwają się do więzi narodowej, przesadzają z tym samopoczuciem, bo wiedzą, że są Polakami, i na pewno odbierają to, co rani poczucie polskości, jako to, co ich rani osobiście". W kolejnym spotkaniu (23 kwietnia) rozmawiać będą Ryszard Bugaj i Marek Jurek. ©℗ ASK

## Franciszkanie dzieciom dżihadu

**STOWARZYSZENIE** dla Ziemi Świętej, założone przez zakon franciszkanów, organizuje pomoc dla dzieci dżihadystów z Aleppo (Syria). W mieście, w którym przez cztery lata (2012-16) trwały walki między siłami rządowymi a bojownikami ISIS, żyje dziś spora – choć wciąż do końca nie policzona – grupa dzieci, których ojcowie walczyli po stronie Państwa Islamskiego lub które przyszły na świat w wyniku gwałtów. Wiele z nich zostało porzuconych, a jeśli nawet pozostają pod opieką matek, nie przysługują im żadne prawa. Nie mają tożsamości (nie zostały zarejestrowane), nie przysługuje im pomoc państwowa, nie dostają przydziałów żywności.

Inicjatywę braci franciszkanów wsparli wikariusz apostolski w Aleppo bp Georges Abou Khazen (maronita) oraz wielki mufti Syrii Ahmad Badreddin Hassoun. ©℗ EA

FOLDESI MIROSLAV / CTK / PAP

## Arcybiskup Bezák wychodzi z cienia

**ODWOŁANY SZEŚĆ LAT TEMU** z niejasnych powodów arcybiskup trnavski Róbert Bezák (na zdjęciu) wystąpił na jednej z wielkich demonstracji wstrząsających Słowacją po zamordowaniu dziennikarza Jana Kuciaka i jego narzeczonej. „Są chwile, kiedy los nas wzywa" – wyjaśnił powrót na scenę publiczną.

Bezák udzielił też wywiadu słowackiemu portalowi aktuality.sk (dla którego pracował m.in. Kuciak). „Wyjątkowa sytuacja, która nastała z powodu śmierci dwojga młodych ludzi, nie mogła mnie pozostawić obojętnym. To główny powód, dla którego wyszedłem z cienia" – mówił. Jan Kuciak, 27-letni dziennikarz śledczy, który opisywał powiązania sfer rządowych z biznesem i przestępcami, został pod koniec lutego zastrzelony w domu wraz z narzeczoną. Mord wywołał powszechne oburzenie, pod naciskiem demonstracji ulicznych upadł rząd, ale demonstracje trwają nadal i nie można wykluczyć rozpadu całego systemu politycznego.

Abp Bezák publicznie pojawił się pierwszy raz od bardzo dawna. Wcześniej pracował jako nauczyciel religii i etyki w jednej ze szkół średnich. Jego historia także związana jest ze skandalami finansowymi. Redemptorysta Bezák w 2009 r. został arcybiskupem w Trnavie, ale po zaledwie trzech latach został niespodziewanie odwołany przez Benedykta XVI. Miał wtedy 52 lata i był jednym z młodszych biskupów na Słowacji. Powodów odwołania nigdy nie opublikowano, ale prasa twierdzi, że Bezák naraził się próbami wyjaśnienia „nieprawidłowości" w polityce finansowej swojego poprzednika w trnavskiej kurii. Zapowiadał audyt, który miały przeprowadzić świeckie instytucje. Zwracał się też z prośbą o pilną kontrolę bezpośrednio do odpowiednich urzędów watykańskich, ale zamiast tego został odwołany. Po tej decyzji protesty w kraju nie cichły przez kilka miesięcy, organizował je m.in. sławny działacz opozycji antykomunistycznej František Mikloško. Dzięki poparciu kilku wpływowych osób udało się doprowadzić do tego, że Bezáka na osobistej audiencji przyjąć miał Franciszek, ale i to nie przyniosło efektów. „Wierzę, że tym razem rzeczywistość uda się zmienić" – mówi teraz wyautowany hierarcha.

© TOMASZ MAĆKOWIAK

## W SKRÓCIE

**CZY ISTNIEJE PIEKŁO?** Po raz kolejny Watykan zdystansował się od wypowiedzi Eugenio Scalfariego, ateisty, byłego redaktora naczelnego włoskiego dziennika „La Repubblica", który systematycznie kontaktuje się z Franciszkiem, a potem cytuje rzekomo jego słowa. Tym razem papież miał powiedzieć, że ci, którzy się nawracają, otrzymują przebaczenie Boga i wchodzą w szeregi dusz, które Go kontemplują, ci natomiast, którzy nie żałują, nie mogą otrzymać odpuszczenia win i znikają. Wcześniej 93-letni nestor włoskich dziennikarzy m.in. twierdził, że Franciszek neguje istnienie grzechu. Scalfari przyznaje, że nie nagrywa rozmów z Franciszkiem, tylko odtwarza je z pamięci.

**ŻANDARM NA OŁTARZE.** Biskup polowy Francji Antoine de Romanet nie wykluczył wszczęcia procesu beatyfikacyjnego podpułkownika żandarmerii Arnauda Beltrame'a, który 23 marca oddał życie, dobrowolnie wymieniając się za jednego z zakładników islamskiego terrorysty. Biskup przypomniał, że w lipcu ubiegłego roku papież Franciszek uznał heroiczną ofiarę z własnego życia za wystarczający powód wszczęcia procesu beatyfikacyjnego. Media ujawniły, że bohaterski żandarm nawrócił się w 2008 r., przyjął pierwszą komunię i bierzmowanie oraz że działał w ruchu rodzin katolickich Kana. Proces beatyfikacyjny może jednak uniemożliwić fakt, że po śmierci Beltrame'a Wielka Loża Francji ogłosiła, iż był on masonem.

**NAJSTARSZA ZAKONNICA.** 25 marca obchodziła 110. urodziny. Jest prawdopodobnie najstarszą zakonnicą na świecie, mieszka w klasztorze klauzurowym dominikanek Na Gródku w Krakowie. S. Cecylia Maria Roszak urodziła się we wsi Kiełczewo koło Kościana. Do dominikanek wstąpiła w 1929 r. W 2009 r. Instytut Yad Vashem z Jerozolimy przyznał jej tytuł Sprawiedliwej Wśród Narodów Świata za ukrywanie Żydów w wileńskim klasztorze, w którym przebywała podczas wojny. Kilka lat temu swoim współsiostrom powiedziała: „Życie jest piękne, ale krótkie".

# Tryumf trzech sióstr

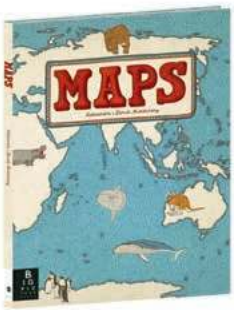


**PODCZAS NAJWIĘKSZYCH** targów książki dziecięcej na świecie, 26 marca 2018 r. w Bolonii, Wydawnictwo Dwie Siostry zostało ogłoszone Najlepszym Europejskim Wydawcą Dziecięcym Roku.

Jak to się zaczęło? Zimą 2004 r. trzy młode mamy spędzały ferie w pensjonacie Dwie Siostry w Sudetach. Joanna Rzyska była właścicielką polsko-francuskiego przedszkola. Jadwiga Jędryas pracowała w Parlamencie Europejskim jako tłumaczka. Ewa Stiasny prowadziła studio graficzne. Rozmowa zeszła na książki dziecięce (na rynku trwała „disnejoza"). Jadzia opowiedziała o fascynacji niderlandzkim pisarzem dla dzieci. Od słowa do słowa, postanowiły wydać filozoficzne bajki Toona Tellegena po polsku. Zawiązały wydawnictwo i nazwały je Dwie Siostry, od miejsca spotkania. Ewa zaprojektowała logo i zilustrowała niderlandzkie bajki. Jadzia przetłumaczyła.

Pierwsze decyzje okupiły debetem. Mówiono im, że wydawca nie przeżyje, jeśli nie będzie schlebiał gustom średnim. Nie dały temu wiary. Otuchy dodało im powodzenie serii „Mistrzowie Ilustracji". Chwilę później wypatrzyły wśród dyplomantów warszawskiej ASP obiecującą parę – Aleksandrę i Daniela Mizielińskich. Ich „D.O.M.E.K" – świetny *picture book* o architekturze – został dostrzeżony na Targach w Bolonii. Po wydaniu „Map" Mizielińskich (na ilustracji obok, to szósta pozycja wśród najpiękniejszych książek roku „New York Timesa", 35 cudzoziemskich edycji) nastąpił tryumfalny pochód. Paradoksalnie – miarą sukcesu był wysyp naśladowców: na całym świecie pojawiły się albumowe książki *non-fiction*, rozrzutnie ilustrowane, mimochodem przemycające wiedzę. Lilipucie wydawnictwo urosło i wytycza trendy. © JOANNA OLECH

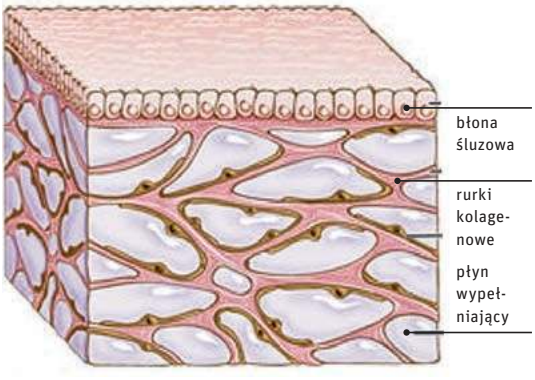


# Nowa tkanka w ciele ludzkim

**27 MARCA** opublikowano artykuł (P. Benias i in., „*Structure and Distribution of an Unrecognized Interstitium...*") na temat nieznanej wcześniej tkanki (na ilustracji) „rozsianej" po całym organizmie, m.in. pomiędzy oskrzelami, pod ściankami jelita i żołądka czy w otulającej mięśnie błonie, tzw. powięzi. Ma ona postać sieci mikroskopijnych kolagenowych rurek wypełnionych płynem podobnym do osocza. Kanaliki te umknęły dotychczas histologom, ponieważ w trakcie preparowania tkanek zapadają się i tworzą płaską siateczkę. Tkanka ta dostarcza prawdopodobnie sztywności organom i tłumi wstrząsy, ale może też mieć znaczenie w rozprzestrzenianiu się komórek nowotworowych. Odkrycia dokonano przypadkowo w trakcie mikroskopowego badania przewodu żółciowego u żywego pacjenta. © ŁL

# Mentalna tablica

**NAUKA CZYTANIA** zmienia sposób działania pamięci roboczej (krótkotrwałej) – wynika z eksperymentu Alessandra Guidy i współpracowników, opisanego w „Cognition". Osobom badanym wyświetlano na środku ekranu sekwencję 4 przypadkowych kolorów. Po chwili pojawiały się kolejne kolory, a badany miał rozstrzygnąć, czy któryś z nich znajdował się w zapamiętanej sekwencji (używając prawej lub lewej ręki – niekiedy prawy przycisk oznaczał „tak", niekiedy „nie").

Okazało się, że szybkość reakcji konkretną ręką dla kolorów, które znajdowały się w zapamiętanej sekwencji, zależy od kolejności, w której kolor pojawił się w sekwencji – i ma to związek z umiejętnością czytania. Europejczycy (czytający od lewej do prawej) najszybciej reagowali prawą na ostatnie kolory w sekwencji, a lewą na pierwsze, piśmienni Egipcjanie (czytający od prawej do lewej) – odwrotnie, a u niepiśmiennych osób nie stwierdzono takich zależności. To tak jakbyśmy układali zapamiętywane elementy na mentalnej tablicy, w kierunku zgodnym z kierunkiem czytania. Wcześniej zidentyfikowano pokrewny efekt (tzw. SNARC) podczas przetwarzania liczb (Europejczycy małe liczby wiążą z lewą stroną, a większe – z prawą). ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

# WIECZNY NIEODPOCZYNEK

Wraz z ostatnią miesięcznicą skończy się największe przedstawienie polityczne współczesnej Polski. Ale wytworzona przez nie wspólnota wyobraźni trwać będzie długo. Podobnie jak podziały.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Pamięć smoleńska to konglomerat przekonań, emocji, wspomnień, resentymentów i wyobrażeń, które od ośmiu lat odgrywają ogromną rolę polityczną i społeczną, wyznaczając linię podziału na „dwie Polski" – już w roku 2010 rozrysowane w wierszu Jarosława Marka Rymkiewicza. I choć w ciągu tych ośmiu lat liczba nachodzących na siebie linii podziału znacznie się zwiększyła, to pamięć katastrofy smoleńskiej wraz ze wszystkimi jej towarzyszącymi i napędzającymi elementami wciąż pracuje z nieukojoną intensywnością.

Jej praca i skuteczność oddziaływania, wręcz samo jej istnienie fundowane jest przede wszystkim na miesięcznicach, które z regularnością rytuału i siłą politycznej demonstracji ożywiają i aktualizują emocje z wiosny 2010 r. Centralna część obchodów nosi niezwykle trafną nazwę: Marsz Pamięci. Każdego dziesiątego dnia miesiąca pamięć smoleńska maszeruje, ucieleśniając niewypowiedziane, ale właśnie tym silniej działające, splątane afekty: żałoby, gniewu, chęci zemsty, wspólnoty i wykluczenia. By spróbować pojąć, na czym polega siła ich przyciągania, trzeba uważnie przyjrzeć się miesięcznicom, które działają poza słowami, poprzez akcję, wspólnotę zgromadzenia, potęgowane obecnością innych emocje, a także przez prosty fakt regularnej powtarzalności. Trzeba je potraktować tak, jak na to zasługują: śmiertelnie poważnie.

Czyniłem tak już w 2010 r., czyniłem później w książce „Teatra polskie. Rok katastrofy". Często spotykałem się potem z niechętną reakcją i argumentacją, że nadaję „temu cyrkowi" zbyt wielkie znaczenie (strona przeciwna z kolei nie mogła mi darować, że śmiem używać w kontekście Smoleńska terminologii teatralnej, która tym znawcom rodzimej kultury kojarzy się tylko z „kumedyjami"). Marną mam po ośmiu latach satysfakcję z tego, że miałem rację i że przedstawienia smoleńskie okazały się rzeczywiście jednymi z najważniejszych i najsilniej wpływających na rzeczywistość działań politycznych w najnowszej historii Polski.

Dziś dostrzegam w nich też syntezę sił i mechanizmów, które zapewniły zwycięstwo rządzącej obecnie formacji. Nie ma przecież wątpliwości, że to dzięki nim powstała, okrzepła, została wcielona i wprowadzona w życie społeczne określona postawa, która, niezależnie od indywidualnych różnic uczestników celebracji, stanowi fundament politycznej wspólnoty, decydującej współcześnie o kształcie życia zbiorowego.

Oczywiście byłoby przesadą stwierdzenie, że wybory z 2015 r., rządy Prawa i Sprawiedliwości, cały proces dramatycznych zmian, jakie przechodzi Polska, są wynikiem i „zasługą" miesięcznic. Ale z drugiej strony wydaje się oczywiste, że miesięcznicowa wspólnota jest reprezentacją, swoistą metonimią tej Polski, która o wszystkich tych wydarzeniach zadecydowała. Więcej: ona tę Polskę ustanawia i jednocześnie wystawia, co sama wspólnota smoleńska jasno rozpoznaje, skandując od ośmiu lat, że „tu jest Polska".

To klasyczny wręcz performatyw: wypowiedź niewyrażająca jakiejś wiedzy czy orzekająca o jakimś fakcie, ale ustanawiająca fragment rzeczywistości (tak jak narzeczeni wypowiadający przysięgę małżeńską ustanawiają realne małżeństwo). Performatyw skuteczny, bo niezależnie od wszelkich protestów, parodii i prób przejęcia, wspólnota miesięcznic przekuła okrzyk w rzeczywistość „suwerena". Miesięcznice są aktami materializacji i objawienia tej mitycznej postaci, w imieniu której występuje obecna władza. I także w tym sensie są jej najważniejszym przedstawieniem.

### Czas rytuału

Pierwsza, pozornie drobna rzecz, na którą trzeba zwrócić uwagę, to czas i regularność. Miesięcznice trwają już osiem lat i odbywają się co miesiąc, niezależnie od warunków pogodowych, osobistych problemów pojedynczych uczestników czy nastrojów społecznych. Jeśli mówię, że jest to przedstawienie bezprecedensowe, to mam na myśli w pierwszej kolejności ten właśnie jego aspekt: czasową ciągłość i regularność oraz zbiorową wytrwałość. Naśmiewano się wielokrotnie, że spotykanie się w tak krótkich odstępach czasu jest czymś absurdalnym. Tymczasem okazało się, że ten właśnie element stanowił jeden z filarów skuteczności: powtarzane regularnie i stosunkowo często obchody wytworzyły efekt trwałości powołującej je wspólnoty, który skutecznie zastąpił tak niepewny (wie coś o tym KOD) efekt liczebności manifestacji.

O ile skuteczność jednorazowej demonstracji zależy od liczby uczestników, o tyle miesięcznice dowiodły, że powtarzalność i wytrwałość skutecznie zastępuje ten ryzykowny element. Ponieważ reprezentanci określonej wspólnoty spotykają się zawsze w tym samym miejscu o oznaczonym czasie, powstaje i stopniowo umacnia się silne przekonanie, że ta wspólnota realnie istnieje. A przekonanie o istnieniu wspólnoty to podstawowy warunek ewentualnej do niej przynależności.

Wspólnota miesięcznic ustanowiła więc wyobrażenie o własnej trwałości, które zaowocowało po pięciu latach masowymi deklaracjami przynależności, składanymi przy urnach wyborczych. Powtarzam: oczywiście nie był to czynnik jedyny, ale w rzeczywistości dotkniętej płynnością, zmiennością (także zmiennością postaw), niekonsekwencją – znaczenie wystawianej co miesiąc wierności własnym przekonaniom okazało się wartością niekwestionowaną i fundamentalną.

Powtarzalność, stałość miejsca i towarzyszące im zachowanie określonego przebiegu działań to elementy właściwe rytuałom. Nie zgadzam się z twierdzeniem, że rytualizacje pojawiające się w obrębie miesięcznic są powiązane z jakąś formą kultu, nie mówiąc już o tak złożonym tworze społeczno-kulturowym jak religia. Z pewnością natomiast w comiesięcznych przedstawieniach pojawia się bardzo wiele elementów łączonych (także podświadomie) z doświadczeniem religijnym lub wprost z rzeczywistości religii pochodzących. Do tych pierwszych należą: rytualizacja działań (czyli ich powtarzalność i zgodność z wytworzonym wzorcem) oraz kult zmarłych, do tych drugich – stała obecność mszy jako części obchodów oraz umieszczony w centrum krzyż.

### Jeśli zapomnę o nich

Miesięcznice smoleńskie, co tak często powtarzają ich uczestnicy i rzecznicy, to zgromadzenia powoływane na pamiątkę śmierci 96 osób. Ten argument przywoływany jest tak często, bo jako uzasadnienie miesięcznic wydaje się nie do podważenia. W naszej kulturze nie ma zgody na odmawianie komukolwiek prawa do czczenia zmarłych w sposób, który odczuwa jako właściwy. W nawoływaniu „dajcie już spokój, życie toczy się dalej", jakkolwiek nie byłoby racjonalne, jest coś bezwzględnego, co wypowiedziane skazuje wypowiadającego na klęskę. Nawet jeśli Kreon ma racjonalne argumenty w dyskusji z Antygoną, to w końcu przegrywa i nikt po nim nie płacze...

A uczestnicy miesięcznic zajmują pozycję Antygony – pamiętającej o zmarłych, ↦

mimo że lepiej byłoby dla niej i dla racjonalnej wspólnoty o nich zapomnieć. Jest to oczywiście Antygona bardzo polska, która z pewnością zna i często powtarza przysięgę Jana z „Dziadów" („Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, / Zapomij o mnie"), łączącą pamięć o zmarłych z obowiązkiem religijnym. Na dodatek przez historię swego użycia przysięga ta została wpisana w pamięć katyńską, z którą pamięć smoleńska jest tak ściśle powiązana. Więzi te wzmacniają wagę podejmowanych działań, funkcjonujących zgodnie z rodzimymi tradycjami jako sakralne zobowiązanie wobec zmarłych (i czuwającego nad nimi Boga), a więc pozostających poza sferą racjonalnej, ludzkiej decyzji.

To przede wszystkim ze względu na to zobowiązanie miesięcznice muszą się odbywać, zaś wszelkie argumenty przeciwko nim uznaje się za bluźniercze. Można uważać, że to chorobliwy objaw koniecznej do przewalczenia „tradycji romantycznej", ale nie sposób kwestionować jego realności, tak jak nie sposób zanegować faktu, że to kulturowe zakorzenienie w rodzimych i sakralizowanych wzorach działania stanowi jedno ze źródeł mocy miesięcznic.

Źródłem drugim jest ich powiązanie z polskim katolicyzmem, przebiegające zresztą początkowo niemal po tej samej linii zobowiązania wobec zmarłych. Po przysiędze Jana „Amen za was" mówi wszak ksiądz Lwowicz, występujący tu niemal jako figura Kościoła, który staje się depozytariuszem zbiorowej pamięci wspólnotowej. Tak też funkcjonuje on w miesięcznicach, których początek stanowi msza za zmarłych, odprawiana w katedrze św. Jana. Oficjalnie po mszy udział Kościoła się kończy, ale w praktyce pozostaje on obecny jako wspólnota wiernych już choćby przez to, że pod Pałacem Prezydenckim obecny jest krzyż i odmawiane są katolickie modlitwy.

### Geniusz mowy niejasnej

Nie tylko przez to. Zabrzmi to ryzykownie, ale miesięcznice smoleńskie są jak liturgia Kościoła anamnezą – wspominaniem uobecniającym. I tak jak w liturgii wspomina się uobecniając źródłowe akty Chrystusa: Ostatnią Wieczerzę i Mękę, tak w miesięcznicach uobecnia się katastrofę i kwietniowe zgromadzenia żałobników, wspominane przez wielu jako czas niesłychanej jedności. Pamiętając o ofiarach 10 kwietnia, uobecnia się na nowo tę jedność i powołuje ją jako „Polskę tu", Polskę prawdziwą i jedyną, której pełne urzeczywistnienie to zadanie i misja gromadzących się na Krakowskim Przedmieściu.

**Możesz myśleć, co chcesz o przyczynach katastrofy,** możesz nawet dopuszczać, że nie było zamachu, ale wspólnego śpiewania hymnu i okrzyku „tu jest Polska!" nie wyrzekniesz się tak łatwo.

Każda miesięcznica kończy się przemówieniem Jarosława Kaczyńskiego, które ma nieodmiennie charakter *quasi*-mesjański: jest zapowiedzią nadchodzącego zwycięstwa i tryumfu prawdy. A choć niekwestionowany przywódca zgromadzenia mówi, że ową prawdę wkrótce „poznamy", to przecież i on sam, i wszyscy zgromadzeni już ją znają („zamordowaliście go" – krzyczał Kaczyński do posłów PO). Czas przyszły odnosi się do nas, którzy jeszcze wątpimy i ku którym z misyjnym wyzwaniem kierowani są uczestnicy miesięcznic, byśmy stali się częścią owego „my" znającego prawdę.

Zatem będąc powtarzalnymi rytualizacjami, miesięcznice stanowią również dynamiczne manifestacje misji politycznej, wypływającej z dwóch źrodeł o wielkiej mocy: zobowiązania wobec zmarłych i odnowienia wspólnoty. W tym kontekście ważnym elementem jest przemarsz łączący dwa punkty rytualizacji: katedrę i plac przed Pałacem Prezydenckim. Ma on kształt i charakter demonstracji politycznej o znamionach protestu. Nieodmiennie i niezależnie od kontekstu politycznego, na centralną ulicę stolicy kraju wychodzi grupa domagająca się uznania swoich praw i realizacji swoich celów. Wychodzi tak samo za rządów PO, gdy faktycznie wydawała się tracącą znaczenie garstką „oszołomów", jak i za rządów PiS, gdy tworzą ją ludzie sprawujący władzę w kraju.

Tu jak nigdzie widać siłę performance'u i genialność jego konstrukcji: racjonalnie rzecz biorąc po dwóch i pół roku od zwycięstwa miesięcznice jako marsze protestacyjne nie powinny mieć racji bytu, bo stanowią protest przeciwko władzy, którą uczestnicy obdarowali ich protagonistów. Ale tu właśnie działa mechanizm, którego nie doceniają krytycy miesięcznic i rządów PiS: protest ludzi władzy przeciwko władzy da się wszak wyjaśnić tylko w jeden sposób – jeszcze nie sprawują jej całej. Są jeszcze jakieś ukryte, ciemne siły, które wbrew woli większości wyrażonej w wyborach ograniczają władze z nich pochodzące. To te siły blokują demokrację, w obronie której idzie także comiesięczny marsz.

To, co na pierwszy rzut oka nieracjonalne, okazuje się w kontekście narracji posmoleńskiej i pisowskiej absolutnie logiczne, bo wszak te same ciemne siły są według uczestników miesięcznic odpowiedzialne za śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jego brat o nich właśnie nieustannie mówi, a geniusz jego mowy niejasnej polega na tym, że sił tych nie nazywa, a jedynie na nie wskazuje. Uczestnicy mają dzięki temu swobodę w nadawaniu im własnych imion (Putin, Tusk, Żydzi, komuna – co tam komu w ciemnościach się jawi). A to, że nawet minister Macierewicz musi przeciwko ich władzy protestować, jedynie potwierdza, że siły te straszne są, a moc ich ogromna. Ogromna i niemal cudowna, bo jednocześnie mobilizuje do walki („śmierć wrogom ojczyzny!") i zwalnia od odpowiedzialności – każdą klęskę wyjaśnia się wszak działaniem tajemniczego spisku.

Ten spisek, którego kulminacją był wyznawany co miesiąc zamach, dowodzi jeszcze jednego: wyjątkowego znaczenia i misji narodu polskiego. W świecie smoleńskiej pamięci nie ma miejsca na to, co w doświadczeniu 10 kwietnia 2010 najbardziej przerażające. Wykluczona jest z niej przypadkowość katastrofy jako rezultatu serii zaniedbań, przeoczeń i zbiegów okoliczności. Jej miejsce musi zająć zamach, potwierdzający wagę Polski jako kraju stanowiącego szczególny przedmiot ataku i obrony, wielkie pole nieustającej bitwy decydującej o losach świata.

Wieczny Grunwald. Wieczny Wiedeń. Wieczny Cud nad Wisłą. I wieczny Katyń, którego Smoleńsk jest kolejnym awatarem. To właśnie „tu jest Polska" – między wojną a wojną, między śmiercią a śmiercią. Między czczonymi zmarłymi a przyszłymi bohaterami. Wzniosła, poetycka, zdradzona o świcie, skrwawiona, zapłakana. Śmiertelnie, powtarzam: śmiertel-

ADAM LACH / NAPO IMAGES / FORUM // MONTAŻ „TP"

nie poważna. Polska – Matka Bolesna pod drewnianym krzyżem.

### To już jest koniec?

Miesięcznice nie tylko stanowią połączenie najsilniejszych gatunków przedstawień zbiorowych: rytuału i protestacji, ale są też syntezą filarów tradycji narodowej (kult przodków, rytualny katolicyzm, mesjanizm) z plotką i teoriami spiskowymi. Każdy z tych elementów dany jest przy tym do bezpośredniego przeżycia, ucieleśniany, performowany, co oczywiście zwiększa siłę jego oddziaływania, ponieważ rytuał, protest, pamięć, misja i walka z ukrytym wrogiem stają się doświadczeniem własnym, na dodatek potęgowanym przez zbiorowe przeżywanie.

Możesz myśleć, co chcesz, o przyczynach katastrofy, możesz nawet dopuszczać, że nie było zamachu, ale wspólnego śpiewania hymnu i okrzyku „tu jest Polska!" nie wyrzekniesz się tak łatwo. A to one łączą cię ze wspólnotą i pamięcią nieobecnej na co dzień jedności, dającej poczucie ponadjednostkowego sensu własnego życia.

Miesięcznice dodają do tego wszystkiego rodzaj ekstazy, rozkosz wyjścia z siebie, uniesienia, których dawno już nie ma w innych poważnych przedstawieniach, jakich doświadczamy (zagospodarowały je kultura popularna i sport). Łącząc to wszystko, miesięcznice są prawdziwym arcydziełem performance'u politycznego, o tyle niedościgłym, że zrodzonym z niekwestionowanego doświadczenia utraty, ufundowanym na przewalczeniu bólu, rozpaczy i gniewu.

Tym bardziej zasadne staje się pytanie: dlaczego Jarosław Kaczyński postanowił je zakończyć? Wcześniej wszak mówił, że miesięcznice będą trwać aż do całkowitego zwycięstwa. Czyżby miało ono nastąpić już na początku kwietnia? Czyżby odsłonięcie pomnika sekretnie budowanego na placu Piłsudskiego miało być jego znakiem? Odsłoni się pomnik i powie wspólnocie, że to znak jej tryumfu?

W logice miesięcznic to absurdalne. Owszem: pomnik był postulatem ważnym, ale pretekstowym. Jego wzniesienie nigdy nie stanowiło celu samo w sobie, lecz miało być znakiem zwycięstwa odniesionego w innych obszarach. To zwycięstwo zostało przez 96 miesięcy ustanowione jako totalne, odniesione nad wszystkimi uznawanymi za sprawców katastrofy. Tymczasem nic nie wskazuje na to, by do 10 kwietnia 2018 r. udało się choćby postawić przed sądem Donalda Tuska, a co dopiero mówić o Putinie i innych „wrogach ojczyzny".

Być może decyzja Jarosława Kaczyńskiego to kolejny dowód jego wielkiego talentu w dziedzinie politycznego performance'u. Miesięcznice smoleńskie z honorową asystą kompanii reprezentacyjnej, otoczone kordonami policji i kosztujące miliony złotych, mogą się za chwilę zamienić w państwowe akademie, tracąc swój paraliturgiczny i jednocześnie buntowniczy charakter. Zanim to się stanie, ich twórca i protagonista przenosi je w legendę.

Ale wytworzona przez nie wyobrażeniowo-emocjonalna wspólnota będzie trwać i nawiedzać polskie życie zbiorowe przez kolejne lata. Dokonało się.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

*Przed Pałacem Prezydenckim, Warszawa, 13 kwietnia 2010 r.*

# Smoleński szpagat

RAFAŁ ZYCHAL

**W kwestii prawdy o katastrofie, którą wielu chciałoby potraktować jak zamach, tkwimy wciąż w martwym punkcie. Prokuratura i podkomisja Macierewicza właśnie kupiły sobie czas. Na co czekają?**

Miało być inaczej. Poprzedni rząd na odzyskanie wraku i przeprowadzenie śledztwa miał aż pięć lat. Poniósł porażkę. Wystarczy tylko chcieć – powtarzali liderzy PiS. Polacy im zaufali i dali władzę. Od tamtej pory minęły jednak blisko trzy lata: końca śledztwa nie widać, podkomisja Antoniego Macierewicza zwleka z raportem. Wrak wciąż niszczeje na podsmoleńskim lotnisku, a czarne skrzynki niezmiennie spoczywają w moskiewskim sejfie MAK.

Będąc w opozycji PiS obiecywał międzynarodową komisję, a nawet pociągnięcie Rosji do odpowiedzialności przed międzynarodowymi gremiami. Pomóc w walce o prawdę na temat Smoleńska miały USA i NATO. Nic takiego się nie stało. Rosja od początku sprawę stawiała jasno: oddamy wrak, jak tylko zakończymy swoje śledztwo. Chyba nikt nie miał złudzeń, że skończy je wcześniej niż polska prokuratura. Cisza zapanowała też nad misją wynajętego do pomocy byłego głównego prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego. Co do tej pory zrobił Luis Moreno-Ocampo? Nie wiadomo.

Wiarę w szybkie odzyskanie szczątków samolotu traci już chyba nawet MSZ. Szef polskiej dyplomacji nie pominął tej kwestii w corocznym *exposé*, ale poświęcił jej jedno zdanie. Jacek Czaputowicz przypomniał, że zwrot wraku i czarnych skrzynek jest „nie tylko obowiązkiem prawnym, ale także moralnym", jednak obecny stan ducha jego środowiska zdają się lepiej oddawać słowa szefa PiS: „Będzie prawda. Prawda, której jeszcze dzisiaj nie znamy, i ja jej nie znam. Ale prawda! Albo stwierdzenie: dzisiaj, w tych okolicznościach, które mamy, tej prawdy do końca ustalić się nie da".

W październiku te słowa Jarosława Kaczyńskiego odbierano ze zdziwieniem. Czyżby prezes miał wątpliwości?

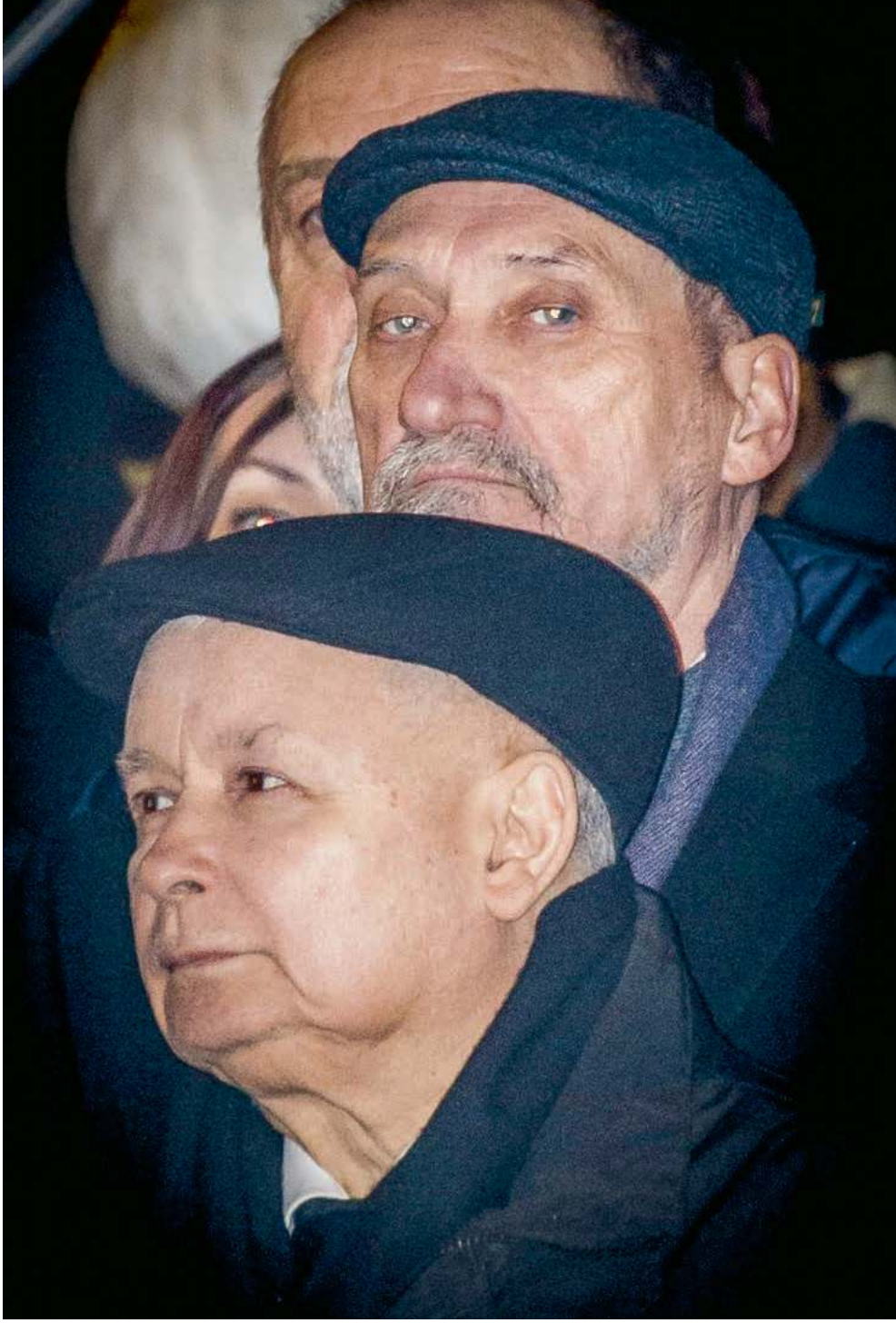

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

*Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz, 83. miesięcznica katastrofy smoleńskiej, Warszawa, marzec 2017 r.*

### Dowody na życzenie

Wątpliwości nie ma Antoni Macierewicz i jego podkomisja: były co najmniej dwa wybuchy. Po dwóch latach i wydaniu kilku milionów złotych udało się więc dojść do wniosków, które już wcześniej znalazły się w raportach zespołu parlamentarnego. Tyle że w to, iż ta wersja stanie się oficjalną, wierzą już naprawdę nieliczni.

Dziś podkomisja to ostatnia reduta pobijanego Macierewicza. Reduta trapiona wciąż problemem, który dotknął również jej poprzedniczkę – brakiem wiarygodności. Nie pomagają w tym zarówno śmiałe tezy niepoparte twardymi dowodami, jak i wchodzące w jej skład osoby. Już w przy-

RAFAŁ GUZ / PAP

*Ekspert Kazimierz Nowaczyk przed posiedzeniem Zespołu Parlamentarnego ds. Zbadania Przyczyn Katastrofy TU-154M. Sejm, 10 kwietnia 2015 r.*

YOUTUBE

*Prof. Wiesław Binienda pokazuje miejsce na lewym skrzydle tupolewa, gdzie według niego miał znajdować się ładunek wybuchowy. 20 lutego 2018 r.*

padku zespołu mieliśmy do czynienia z profesorem pokazującym w telewizji dokument z Rosji, który miał dowodzić, że piloci nie zeszli poniżej 100 metrów. Przełom? Nie, wkrótce bowiem przyznał, że nic w nim nie było, a cała sytuacja to... blef. Inny, chcąc obalić teorię o „pancernej brzozie", przekonywał, że była złamana jeszcze przed katastrofą. Okazało się, że to, co na zdjęciach wziął za przewrócone drzewo, było stertą desek. Wreszcie mieliśmy pękające parówki i puszki, które miały pokazać, jak samolot rozerwała eksplozja.

Choć tamtych osób w podkomisji nie ma, problem z wiarygodnością pozostał. Owszem, pracę zaczęła w sposób nad wyraz spokojny, ale ostatnie miesiące obfitowały już w kolejne sensacje. Niektóre żyły po kilka godzin i były błyskawicznie dementowane, ale to nie zniechęciło jej członków. Prawdziwe problemy zaczęły się rok temu, od filmu z wybuchającym „hangarem", który miał symulować kadłub Tu-154M. Prezentacja wywołała falę pytań, ale czy komisja się z nimi zmierzyła? Nie. Podobnie było w przypadku zarzutów o manipulację wynikami badań naukowców z Wojskowej Akademii Technicznej, które znalazły się w tej prezentacji. Czy po utracie fragmentu skrzydła samolot zaczął się obracać? Według naukowców tak, ale podkomisja w prezentacji przekonywała, że jednak dalej mógł lecieć prosto. Czy dlatego, że nie pasowało to do tezy? Co ciekawe, te badania zleciła sama podkomisja. *Dementi* było mocne, ale wcale nie rozwiało wątpliwości. A wyniki ujawnili dziennikarze, nie podkomisja.

Z każdym kolejnym miesiącem podkomisja coraz mocniej parła w stronę teorii o wybuchach. A kolejne „dowody" objawiały się zwykle wtedy, gdy polityczne kłopoty miał Antoni Macierewicz. W końcu przemówił ekspert z zagranicy, Frank Taylor, który ogłosił jednoznacznie – kadłub tupolewa rozerwały eksplozje. Skąd to wiedział? Jeszcze do tego wrócimy.

Brytyjczyk, rzeczywiście mający doświadczenie w badaniu katastrof lotniczych, miał stanowić remedium po kolejnych wpadkach podkomisji. Jedną z nich była głośna wypowiedź ówczesnego jej szefa Wacława Berczyńskiego. Ogłosił on dumnie, że „wykończył caracale". Zdradził też inne, równie ciekawe kulisy swojej współpracy z MON. Chwilę potem już go w Polsce nie było, a podkomisja zyskała nowego szefa. Nic dziwnego, że po takich słowach wracały pytania o kompetencje jej członków. Bo czy na pewno osobą, której zadaniem jest analiza zdjęć i tworzenie mapy rozkładu szczątków samolotu, powinien być architekt? Kolejni członkowie podkomisji odchodzili z niej już po cichu, a jakiś czas temu ze strony internetowej po prostu zniknął jej skład. Na pewno zostali najwierniejsi druhowie Macierewicza: Kazimierz Nowaczyk i Wiesław Binienda.

Wróćmy do pracy Franka Taylora, podobnie jak inne dokonania podkomisji owianej tajemnicą. Koronnym dowodem na wybuch mają być dla Brytyjczyka drzwi wbite w ziemię. Ale Maciej Lasek, przewodniczący Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, który zasiadał w komisji Millera, stawia pytanie: dlaczego po tym wybuchu nie ma śladu w rejestratorach? Czy Taylor rzeczywiście przeprowadził szczegółowe badania, czy może tylko uwiarygodnił swoim nazwiskiem dotychczasowe ustalenia podkomisji? ↦

↦ Ciągłe zasłanianie się dobrem postępowania i unikanie pytań nie zbuduje wiarygodności i zaufania do ustaleń podkomisji. Wybrała ona specyficzny sposób informowania o swoich pracach – suche komunikaty i wizyty w zaprzyjaźnionych mediach. Tam niewygodne pytania nie padają. A tych wciąż przybywa. Choć pracują już dłużej niż komisja Millera, wciąż nie byli w Smoleńsku. Kiedy zbadają wrak? Cisza.

W zamian pojawiają się kolejni eksperci z zagranicy – ostatnio z uniwersytetu w Wichita. Mają stworzyć cyfrowy model Tu-154M, by ekipa Macierewicza mogła symulować skutki wybuchu. Czy to pomoże odbudować wiarygodność podkomisji? Odpowiedzi na wszystkie wątpliwości mają się znaleźć w raporcie. Tylko czy w ogóle ujrzy on światło dzienne? Na razie wiadomo, że zapowiadana na kwiecień publikacja raczej nie dojdzie do skutku. W zamian zobaczymy kolejny film lub prezentację. Ale i to nie jest pewne.

### Niewygodni biegli

W maju 1987 r. w Lesie Kabackim rozbił się Ił-62M. Była to najtragiczniejsza w skutkach katastrofa w historii polskiego lotnictwa – zginęły aż 183 osoby. Wtedy, mimo uwarunkowań politycznych, polscy eksperci orzekli wprost: do tragedii doszło w wyniku błędów producenta. W ich gronie pierwsze skrzypce grał płk Antoni Milkiewicz. To stanowisko nie pomogło mu w zrobieniu kariery w wojsku, ale zdania na temat przyczyn katastrofy nie zmienił. Mimo początkowych zaprzeczeń i oporów, strona radziecka ostatecznie uznała te ustalenia.

Od 2015 r. w aktach śledztwa smoleńskiego czeka opinia zespołu biegłych. Na jego czele stał ten sam płk Milkiewicz. Choć od tego czasu była uzupełniana, ostatni raz przed kilkoma miesiącami, jej zasadnicze tezy pozostały bez zmian. I są miażdżące dla rewelacji głoszonych przez podkomisję Macierewicza.

Nie było żadnych wybuchów, samolot aż do samego końca był sprawny, załoga i rosyjscy kontrolerzy popełnili fatalne w skutkach błędy. Ani śladu zamachu – tak brzmią najważniejsze tezy biegłych. Ich ustalenia niemal pokrywają się z tym, co w swoim raporcie zawarła komisja Millera.

I właśnie tę opinię biegłych mają zweryfikować eksperci z zagranicy. To najnowszy ruch śledczych. Bo prokuratorzy ewidentnie mają z opinią zespołu Milkiewicza kłopot. W znacznej części powstała jeszcze za poprzedniego rozdania w prokuraturze, co może rodzić polityczne problemy. Jakie? Skoro tezy opinii pokrywają się z tym, co ustaliła komisja Millera, to w stronę śledczych mogą polecieć gromy: jak to możliwe, że polska prokuratura „powiela kłamstwa" MAK i Jerzego Millera? Marek Pasionek, zastępca Zbigniewa Ziobry i osoba nadzorująca śledztwo, wybrał więc wyjście, które pozwoli tę rafę ominąć.

Bo zespół zagranicznych ekspertów to jeden krok, ale nie jedyny. Pamiętajmy, że mimo kontrowersji końca dobiegają ekshumacje ofiar katastrofy, a do zagranicznych ośrodków badawczych wysłano próbki zabezpieczone w Smoleńsku. Cel jest prosty – powtórzyć dotychczasowe badania polskich ekspertów. Ten ruch pozwoli odeprzeć ewentualny zarzut: „polegaliście tylko na ustaleniach dokonanych za czasów poprzedniego rządu". Rodzi on jednak proste pytanie: jak długo to wszystko potrwa? Tłumaczenie zgromadzonego materiału dowodowego, prace ekspertów, kolejne tłumaczenia – to zadanie na miesiące, a może i lata. Śledczy kupują więc sobie czas.

Prokuratura niezbyt chętnie dzieli się kulisami współpracy z zagranicznymi ekspertami. Oficjalnie nawet nie podała,

YOUTUBE X2

*Eksperyment Wacława Berczyńskiego. Jak podała podkomisja, specjaliści testowali skutki eksplozji ładunku termobarycznego umieszczonego wewnątrz pasażerskiej części samolotu. Zbudowano fragment kadłuba w skali 1:1 zgodnie z planami konstrukcyjnymi. Wewnątrz umieszczono rząd oryginalnych foteli oraz modele twardych i miękkich tkanek ludzkich.*

*„Możemy powiedzieć, że najbardziej prawdopodobną przyczyną eksplozji był ładunek termobaryczny inicjujący silną falę uderzeniową" – oświadczyła podkomisja. Maj, 2017 r.*

o kogo chodzi – ograniczyła się jedynie do stwierdzenia o „światowej sławy ekspertach”. Więcej informacji na ich temat ujawniły media braci Karnowskich. Nie tylko podały listę nazwisk, ale i pokusiły się o wywiad z niektórymi. Kto się znalazł w tym gronie? To głównie badacze z USA i Węgier. Wśród nich są byli pracownicy FBI i NTSB, czyli amerykańskiej komisji badającej wypadki lotnicze. Brali udział w wyjaśnianiu głośnych spraw: od zamachu nad Lockerbie, przez wypadek airbusa A300 w Nowym Jorku, aż po niedawne zaginięcie lotu MH370 czy katastrofę Germanwings w Alpach.

Chyba najbardziej znaną postacią w tym gronie jest Robert Benzon, mający ponad 20-letnie doświadczenie w branży. Brał udział m.in. w badaniu okoliczności głośnego lądowania airbusa na rzece Hudson. W roli eksperta pojawiał się też w popularnym programie „Katastrofy w przestworzach”. Trudno się spodziewać, by ktoś z takim doświadczeniem potwierdził tezy forsowane przez podkomisję. Nie dziwi więc jej ostatni ruch.

### Dwa obozy

Najpierw był artykuł w „Gazecie Polskiej”, chwilę potem mocny wpis Antoniego Macierewicza w sieci. Były szef MON ostrzegł, że w gronie ekspertów prokuratury znalazła się osoba, która jest „propagandzistą Kremla”. Tygodnik przypomniał, że jest on chętnie zapraszany do prokremlowskich mediów – Russia Today i Sputnika, gdzie otwarcie krytykował USA. Na celowniku znalazł się Theodore Postol – fizyk i emerytowany profesor Massachusetts Institute of Technology.

Wątpliwości wzbudziła też przeszłość Benzona: wypomniano mu udział w badaniu wypadku w rosyjskim Permie. Zarzut? Podpisał się pod ustaleniami MAK, w których nie uwzględniono zeznań świadków. Twierdzili, że tuż przed katastrofą maszyna płonęła, komitet uznał jednak, że przyczyną wypadku był błąd pilotów. Krok dalej poszedł naczelny „GP”, który przypomniał, że Russia Today jest traktowana w USA jako „agentura obcego państwa”. Dodatkowa salwa poszła w stronę innego prawicowego pisma, „Sieci”, którego dziennikarze mieli „wychwalać” Postola.

Uderzenie w tony rosyjskie to sprytny zabieg. Macierewicz doskonale wie, że to czuły punkt prezesa PiS. Choć nieżyczliwe mu osoby mogłyby przypomnieć, że w jego podkomisji zasiada były doradca Putina, Andriej Iłłarionow. Ale te słowa pozwoliły wydobyć na światło dzienne inną kwestię: w PiS trwa bezpardonowa walka na smoleńskich ekspertów. Dowód? Błyskawiczna reakcja wezwanych do tablicy, czyli „Sieci”.

„Ostatnia fala ataków na prokuraturę i jej ekspertów, szczególnie w wykonaniu mediów bardzo wspierających podkomisję i jej przewodniczącego, budzi niesmak” – ripostował Marcin Wikło. Broniąc ekspertów dodał: „Nie pracują pod tezę. Już teraz deklarują, że efekty swojej pracy opublikują i chętnie zmierzą się z merytoryczną krytyką”. Aluzja aż nadto czytelna. Jego tekst kończy prosty apel: „powiedzcie jasno, kto jest ruskim agentem, albo zajmijcie się rzetelną pracą”. A więc wojna.

Słowne utarczki między prawicowymi dziennikarzami to nic nowego. Ale pokazują, jak dziś przebiega linia sporu o Smoleńsk. Mamy bowiem dwa zwalczające się obozy: Antoniego Macierewicza i jego podkomisję oraz Zbigniewa Ziobrę wraz z prokuraturą. Każda ze stron ma nie tylko medialne zaplecze, ale i zagranicznych ekspertów. Obie szykują się do ostatecznego starcia. Bo taki rozdźwięk nie może trwać wiecznie, różnice są zbyt duże.

Na jego wynik zdaje się też czekać Mateusz Morawiecki. Premier jak ognia unika wyraźnego opowiedzenia się po jednej ze stron. Nie jest wszak tajemnicą, że ten spór jest mu na rękę. Wykrwawia się w nim Zbigniew Ziobro, z którym boje toczy od dawna.

### Decyzji nie ma

Gra na czas i wymiana ciosów pokazują, że w PiS wciąż nie zapadła decyzja, w którą iść stronę. Umiarkowane słowa Kaczyńskiego i dymisja Macierewicza jasno wskazują, że to raczej nie były szef MON będzie rozdawał karty w sprawie Smoleńska. Nie pomagają mu też sondaże, w których wychodzi, że w zamach wierzy maksymalnie kilkanaście procent Polaków. I ten odsetek spada. Ale to nie oznacza, że po ustaleniach podkomisji wkrótce przejedzie prokuratorski walec. Taki ruch komplikuje bowiem zbliżający się maraton wyborczy. Bo czy prezes PiS może pozwolić sobie na wojnę domową w partii? Macierewicz mówi jasno: bez względu na wszystko nie zmienię kierunku, w którym zmierzam.

Nie można zapominać, że za Macierewiczem stoi jednak pewna grupa wyborców. To elektorat może nie największy, ale zorganizowany i zdyscyplinowany. W kampanii tacy ludzie są bezcenni. Podkomisja z tezy o wybuchach raczej się nie wycofa, ale można przypuszczać, że końcowy raport będzie się kończył znakiem zapytania. Zwłaszcza jeśli chodzi o wskazanie tych, którzy zamach w Smoleńsku mieli zaplanować.

Prokuratura ma przed sobą miesiące pracy. A to wygodny powód, by finał śledztwa odwlec na czas już po wyborach. Zawsze można czekać na wrak. Śledczy znaleźli też sposób na naciski ze strony podkomisji: wszelkie zawiadomienia, które stamtąd płyną, po cichu włączają do śledztwa. Unikają umorzenia tych zgłoszeń, co mogłoby oznaczać kłopoty. Wraz z rosnącymi tomami akt czekają – podobnie jak opinia polskich biegłych – na polityczny sygnał.

PiS potrafiło być elastyczne w sprawie Smoleńska, ale w końcu przyjdzie mu się z nim zmierzyć. Mit w polityce jest przydatny, ale łatwo przeoczyć moment, gdy zaczyna przynosić straty. Może tego jeszcze dokładnie nie widać, ale w wielu środowiskach, także wśród rodzin ofiar, narasta frustracja. Jak długo można im tłumaczyć tę zwłokę, gdy obiecało się prawdę?

© RAFAŁ ZYCHAL

*Autor jest dziennikarzem Onet.pl.*

POŻEGNANIE

Składamy wyrazy naszego głębokiego współczucia

Michałowi Pawłowi Markowskiemu

z powodu śmierci Mamy.

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego”

PAWEŁ

# Śpiewak: *Historia rozpadu*

Salomon królował w Jerozolimie lat czterdzieści. On też doprowadził do utraty dziedzictwa Dawida. Rozpadło się po jego śmierci zjednoczone królestwo (jeśli w ogóle istniało). A stało się to na skutek zapałów miłosnych króla. Miał on harem liczący tysiąc kobiet z różnych plemion. Nakłoniły one jego serce ku swoim bogom, a on zbudował w swoim kraju wiele świątyń. Nie chodził za Panem, jak jego ojciec. Prorok Achyjasz oznajmił, że dziesięć plemion połączy się w jedno państwo, a jeden ród – Judy – otrzyma królestwo południowe.

Są inne przyczyny rozpadu kraju. Pierwsza leży w przeszłości. Ziemie obiecane od pokoleń był podzielone. Plemiona północy jednoczyły się wokół rodów Efraima i Menaszego, którzy domagali się stosownego miejsca pośród potomków Izraela. Po drugie, Salomon, chcąc zrealizować swoje projekty budowlane, zmusztrował olbrzymią liczbę przymusowych robotników oraz obłożył lud wysokimi podatkami. Postawił mury wokół Jerozolimy, zbudował dom dla córki faraona oraz miejsca kultu pogańskich bałwanów, Świątynię, olbrzymie stajnie, magazyny, miasta i kopalnie.

Po śmierci Salomona zebrali się przedstawiciele wszystkich plemion i zażądali od nowego króla Rehoboama, by zmniejszył podatki. Ów odpowiedział: „Ojciec mój obciążał was jarzmem ciężkim, ale ja przydam do jarzma waszego; mój ojciec karał was biczykiem, ale ja was będę karał korbaczami" (Księga Królewska 12, 14). Szczęśliwie nie wybuchła wojna domowa – zabronił tego Pan. Ale odtąd osobno poszli Judejczycy, a osobno dziesięć pozostałych plemion z północy.

Od tego czasu 19 królów rządziło w królestwie Izraela przez 210 lat, aż w 722 r. Asyryjczycy zajęli ziemie Izraela i wzięli lud w niewolę. Dziesięć plemion zanikło pośród obcych ludów.

Legendy powiadają, że nadal mieszkają za rzeką Sambatio. Dziwna to rzeka. Płynie wartko przez sześć dni niosąc olbrzymie głazy, otoczona gęstą parą. Siódmego, gdy Żydom nie wolno podróżować, woda znika. Próbowano wskazać, gdzie owa rzeka płynie. Średniowieczni muzułmanie twierdzili, że jest kilkadziesiąt dni drogi za wielką pustynią i mieszkają tam bezgrzeszni i święci jak aniołowie potomkowie Mojżesza.

Powiadają, że jedno z plemion odkryto w dżungli Birmy (coś jest na rzeczy), a inni wskazywali na dziwne zwyczaje pewnego ludu z Nowej Zelandii, które budowało świątynie podobne synagodze.

Do dziś przetrwali tylko potomkowie Judy i Lewiego. O pozostałych plemionach wiemy coś z wykopalisk, Tory i legend. Królestwo Izraela było potężniejsze niż królestwo Judy, ale jako że Biblię pisali ludzie z plemienia Judy, a królestwo Izraela było już wówczas niemal zapomniane, to historia rodów północy w Biblii jest skromna i negatywna.

Historii być może nie piszą zwycięzcy, ale z pewnością ci, którzy przeżyli i zawładnęli naszą pamięcią. ©

O. WACŁAW

# Oszajca: *Ile człowieka w człowieku?*

Jak by to było dobrze, gdyby jakimś cudem udało się zobaczyć Pana Boga. Załóżmy, że oto nasze pragnienie spełnia się, widzimy Boga, dotykamy Go i co? Nic, natychmiast dopadają nas nowe wątpliwości. Przecież różne rzeczy ludzie widują, choć one nie istnieją, a cuda zdarzają się też w innych religiach. W muzeum w Epidaurusie pokazują wota składane Asklepiosowi za cudowne uzdrowienie. To niespełniające się pragnienie widzenia Boga dokucza nam, ale też, choć nie przyznajemy się do tego nawet przed sobą, jesteśmy z takiego obrotu rzeczy zadowoleni. Czujemy bowiem, że po zobaczeniu Boga nie tak łatwo o Nim zapomnieć i żyć po dawnemu. Z Bogiem jak z człowiekiem. Łatwo przychodzi nam myśleć i mówić o człowieku w ogóle, o ludzkości albo narodzie, znacznie trudniej o konkretnym człowieku, z imieniem i nazwiskiem. Wolimy mówić bezosobowo: o jednostkach, uchodźcach, obcych, wariatach, chorych, klientach, partnerach, ofiarach itp. A przecież w chrześcijaństwie zawsze chodzi o kogoś, kogo można osadzić w określonym czasie i przestrzeni, którego istnienie można potwierdzić. Tak do sprawy podszedł Tomasz Apostoł. W rezultacie okazało się, że Jezus, owszem, żyje w świecie, ale na swój sposób. Odnajdują Go ci, którzy Mu zaufają, uwierzą w prawdziwość Jego obietnicy, że będzie z nami na zawsze tu na ziemi.

Wyciągając wnioski z tego, co się przydarzyło Tomaszowi, nie czekamy już na cudowne zjawienie się Jezusa. Wiemy, że miejscem Jego pobytu nie jest nieokreślone niebo czy fragment rzeczywistości, np. kościół, sakramenty, nabożeństwa, ale cały świat we wszystkich swoich pięknych i podłych przejawach. To na Golgocie przecież, w potworności zdrady, nienawiści, głupoty, w umieraniu Jezusa, zobaczyliśmy twarz Boga.

Tomasz poznał Jezusa po śladach tortur, po śmiertelnych ranach. W naszych czasach jednak, żeby zobaczyć Jezusa, najpierw musimy w twarzy tzw. jednostki zobaczyć twarz człowieka. Jak tego dokonać? Zacznijmy od tych, którym pośród nas żyje się niełatwo, czasami bardzo niełatwo...

Tadeusz Woźniak mówi o swoim synu: „Osoby z zespołem Downa są wyposażone w jakąś szczególną konstrukcję psychiczną, która każe nam, zdrowym, zatrzymać się, zastanowić nad sobą. Są potrzebne jako polepszacze jakości życia. Nie ma lepszych kompanów niż downy. Jest w nich potrzeba życia czystym życiem. Nie intrygują, nie kłamią. Jak skłamią, to od razu się przyznają, bo ich to zbyt męczy. Filip daje nam oparcie. Bezwarunkowo chce nam pomóc w każdej chwili. Nie jest pamiętliwy. Tak niewiele mu potrzeba, żeby być zadowolonym. Widzę, że ludzie przy nim inaczej rozmawiają. Stają się lepsi". ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Modlitwa a Prawo*

*Kto znalazł siebie, tego cały świat nie jest wart.*

EWANGELIA TOMASZA

*Świat jest nowy każdego ranka – to dar Boga. Każdy człowiek powinien też wierzyć, że codziennie rodzi się na nowo.*

BAL SZEM TOW

Niemal tuż przed świętami liturgia uczyniła nas świadkami gwałtownego sporu Jezusa z faryzeuszami. Chcącym Go ukamienować przeciwnikom – wzburzonym, że „czyni siebie samego Bogiem" – Pan odpowiada: „Czyż nie jest napisane w waszym prawie: Ja rzekłem: Bogami jesteście?" (J 10, 34).

Zaintrygowało mnie określenie: „w waszym prawie"; zacząłem więc szukać źródła cytatu Jezusa. Skąd go zaczerpnął? Nie bez zdumienia odkryłem, iż jedynym możliwym odwołaniem mógł być Psalm 82 (właściwie cały, a szczególnie werset 6.) A więc nie Tora. I nie którakolwiek z Ksiąg tzw. Historii Deuteronomicznej, ale Księga Psalmów. Księga modlitwy Izraela. Kościoła – również.

Czy księga modlitwy może zostać nazwana księgą prawa? Przez chwilę przychodziły mi do głowy dość „dziwne" pytania: czy Jezus wypowiedział się nieprecyzyjnie? Czy Jan źle zapamiętał? I źle zapisał? Nic takiego.

Modlitwa jest Prawem. Niesie z sobą, w sobie, zobowiązania. Czasami przyjmuje formę niemal konkretnych norm, jak choćby w „Modlitwie Pańskiej": „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Tak bywa z tekstami modlitw, również psalmów, które są pełne postanowień i obietnic składanych Bogu. Myślę jednak, że chodzi o coś jeszcze. Modlitwa staje się Prawem przez to, że jest przede wszystkim poznaniem Boga – odkryciem tego, kim On jest. A to odkrycie i poznanie jest zobowiązujące i przemieniające (dzięki łasce). Nasze postępowanie – nasz ideał moralny – nie jest ostatecznie wyznaczone zbiorem przepisów, spisanym „prawem", lecz odkryciem, kim jest Bóg, jaka jest Jego wewnętrzna prawda. W odniesieniu do Nowego Testamentu zasadę tę sformułował z mocą i zwięzłością Benedykt XVI: „Torą Mesjasza jest sam Mesjasz".

Nie ma więc modlitwy „niezobowiązującej". Jeśli jest ona tylko poznaniem Jezusa – staje się także dla nas „prawem". Tak jest też z zacytowanym przez Jezusa w omawianym sporze psalmem. Jest krótki, możemy go przytoczyć niemal w całości: „Bóg stanął w zgromadzeniu Bogów, wśród synów Bożych wyrok ogłasza: Jak długo chcecie sądzić krzywdząco, sprzyjać sprawie niezbożnych? Ujmijcie się za słabym, sierotą, ratujcie ubogiego, nędzarza; uwalniajcie biedaka, uciśnionego, wybawcie ich z ręki niezbożnego. Lecz oni nie pojęli, nie zrozumieli (...) A Ja mówiłem: »Bogami jesteście, synami Najwyższego wszyscy«. A jednak pomrzecie jak ludzie, upadniecie jak każdy władca".

Jak widać, nie raz, lecz dwukrotnie nasz Psalm nazywa ludzi „Bogami" („zgromadzenie Bogów" to Lud Boży) oraz, również dwukrotnie, „synami Bożymi/Najwyższego".

Zaraz jednak odkrywa przed nimi w tych określeniach ideał. Po czym poznać „Bogów" i „synów Bożych"? Kiedy widać, iż ludzie postępują w zgodzie z tak opisaną swoją naturą?

Po praktykowaniu miłosierdzia. Bogami i synami Najwyższego są ci, którzy potrafią zadbać o słabego, sierotę, ubogiego, nędzarza, biedaka i uciśnionego. Jeśli tego nie czynią, stają się zwykłymi „śmiertelnikami" – są jak każdy człowiek. I – jak każdy – poumierają.

Bóg jest Miłosierdziem. Psalm, w którym spotykam się z Nim, ogłasza mi Prawo: „Stań się miłosierny! Doświadcz tego, że jesteś Bogiem i synem Bożym!". ©

### CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 IV)

**2. Niedziela Wielkanocna:**
**Dz 4, 32-35; Ps 118; 1 J 5, 1-6; J 20, 19-31;**
**Poniedziałek, Zwiastowanie Pańskie:**
**Iz 7, 10-14; Ps 40; Hbr 10, 4-10; Łk 1, 26-38;**
**Wtorek: Dz 4, 32-37; Ps 93; J 3, 7-15;**
**Środa: Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;**
**Czwartek: Dz 5, 27-33; Ps 34;**
**J 3, 31-36;**
**Piątek: Dz 5, 34-42; Ps 27; J 6, 1-15;**
**Sobota: Dz 6, 1-7; Ps 33; J 6, 16-21;**
**3. Niedziela Wielkanocna: Dz 3, 13-15. 17-19;**
**Ps 4; 1 J 2, 1-5a; Łk 24, 35-48.**

Wybrał PIOTR SIKORA

# NIE MAM PRAWA MIEĆ WĄTPLIWOŚCI

**BARBARA PIWNIK, SĘDZIA:**

Czy nie dojdzie do buntu w zakładach karnych, gdy skazani przekonani o swojej niewinności dowiedzą się, że premier może przed wyrokiem Sądu Najwyższego przesądzić o przysługującym im odszkodowaniu?

**BŁAŻEJ STRZELCZYK: Opowiem Pani o 23-letnim Piotrku z ilorazem inteligencji 62, który podobno po litrze wódki i czterech piwach zamordował dwie kobiety i perfekcyjnie zatuszował swoją zbrodnię.**

**BARBARA PIWNIK:** I myśli pan, że będę przerażona szczegółami tego morderstwa?

**Liczę najpierw na niedowierzanie, a później na Pani gniew.**

Nie gwarantuję, ale niech pan próbuje.

**Rzecz dzieje się w Tłokini Wielkiej, powiat kaliski. Piotrek jest niepełnosprawny, rozwój umysłowy na poziomie 12-latka. Mówi nieskładnie, raczej pojedyncze słowa niż pełne zdania. Pracuje w jakimś gospodarstwie, śpi w stodole, zdarza się nawet, że zapomina się przebrać albo umyć.**

Z sali rozpraw znam wielu takich oskarżonych... i co dalej?

**Od sześciu lat Piotrek siedzi w więzieniu w Wierzchowie.**

Jaki wyrok?

**25 lat za morderstwo dwóch kobiet. Z podpisanych przez niego zeznań wynika, że rano wypił litr wódki i cztery piwa, a po południu poszedł do domu 44-letniej Moniki, zabił ją oraz jej matkę Bronisławę, później wrócił do siebie, przebrał się, zakrwawione ubranie spakował do torby, którą wyrzucił do jeziora, a młotek – narzędzie zbrodni – do ciężarówki ze złomem. Przyznał się do winy.**

Rozumiem, że chce mi pan powiedzieć, że w więzieniu siedzi niewinny człowiek?

**Nie ja. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która w lutym ubiegłego roku złożyła w tej sprawie skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Czemu Pani macha ręką?**

Absolutnie nie dlatego, że lekceważę opisaną przez pana sprawę, ale orzekam tak długo, że podobnych spraw widziałam wiele.

**Być może chłopak zostaje niewinnie skazany, a my mówimy: nic wielkiego?**

To teraz ja opowiem panu jedną historię.

**Bardzo proszę.**

Wiele lat temu orzekam w sprawie o gwałt. Oskarżony na rozprawie nie przyznaje się do winy. Ale jedno z jego wyjaśnień brzmi: „przyznaję się do zarzucanego mi czynu". No więc pytam oskarżonego jeszcze raz, czy rzeczywiście się nie przyznaje. On podtrzymuje, że jest niewinny. W takiej sytuacji wezwany zostaje policjant, który go przesłuchiwał i sporządził protokół. „Czy świadek przypomina sobie oskarżonego i jego przesłuchanie?" – pytam. „Przypominam sobie, oczywiście" – odpowiada policjant, i mówi nagle, że „oskarżony podczas przesłuchania nie przyznawał się". No więc pokazuję mu protokół z przesłuchania i pytam: „Czy pan go sporządzał?". „No, ja". „To niech pan teraz czyta na głos". Policjant zaczyna czytać. Wstęp, rozwinięcie, wszyscy uważnie słuchają, i zakończenie: „przesłuchiwany przyznaje się do zarzucanego mu czynu". Policjant na chwilę zamilkł, po czym z rozbrajającą szczerością stwierdził: „A, to jakaś pomyłka".

**Mam się śmiać czy płakać?**

Może pan się śmiać, bo ostatecznie zapadł wyrok uniewinniający.

**Nie trafia Panią szlag?**

Zbyt doświadczonym jestem sędzią, żeby drżeć w takich sytuacjach. No więc, jak pan usłyszy kiedyś zdanie, że „skorumpowana przez mafiozów sędzia Piwnik uniewinniła kolejnego ↦

---

BARBARA PIWNIK jest sędzią. Pracuje w Sądzie Okręgowym w Warszawie. W latach 2001-02 była ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym. Orzekała m.in. w sprawach członków tzw. gangu pruszkowskiego, oskarżonych o zabójstwo studenta Wojciecha Króla, a także afery FOZZ.

---

ZDJĘCIA
MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

↦ bandziora", to niech pan weźmie poprawkę na to, że materiał w aktach bywa taki, że pod żadnym pozorem nie można iść na jakiekolwiek skróty. Dopóki nie przeczytam akt sprawy od pierwszej do ostatniej strony, z wszystkimi szczegółami, i dopóki nie zweryfikuję wszystkiego, co w tych aktach jest, to nie jestem gotowa do wydania wyroku.

**A ja słyszałem, że zbyt długie rozpoznawanie spraw w polskich sądach to największa bolączka wymiaru sprawiedliwości.**

Wielokrotnie odsądzano mnie od czci i wiary, gdy nie wydałam wyroku, jaki był „społecznie" oczekiwany, dopóki nie poznałam całego dostępnego materiału dowodowego.

**Kto odsądzał?**

Media na przykład. Ale słyszałam też nie raz sugestie kogoś ze składu sędziowskiego, że po co tak rozwlekać, czas do domu.

**Bo sędziowie chcą być sprawni.**

Zawsze powtarzam swoim młodszym kolegom i koleżankom sędziom, że wiemy, o której godzinie wchodzimy na salę rozpraw, ale nigdy nie wiemy, o której z niej wyjdziemy. I jeszcze jedno. Kluczowa zasada, o której mówimy, brzmi: dopóki pozostają wątpliwości, których nie da się usunąć zebranym materiałem dowodowym, to należy sprawę rozstrzygać na korzyść oskarżonego. Piwnik pamięta zatem o naczelnych zasadach procesowych, w tym o zasadzie *in dubio pro reo*.

**Nigdy nie miała Pani wątpliwości?**

Nigdy! Pan przyjeżdża i chce rozmawiać o wielkich i spektakularnych sprawach medialnych – Tomasz Komenda, który niedawno opuścił zakład karny przedterminowo, albo wspominany przez pana na początku Piotr Mikołajczyk. Tymczasem codzienność mojego referatu to sprawy bardzo różnorodne, nieoczywiste, w których często istotne są szczegóły. Kiedy orzekam, nie mogę sobie powiedzieć: „Dokładnie nie wiem, jak to było, ale chyba było tak i tak...". Bo jeśli pojawia się w myślach słowo „chyba" – to znaczy, że tylko „może tak było", albo było zupełnie inaczej.

**Piotr Mikołajczyk przyznał się do winy.**

Przyznanie się nie jest królową dowodów. Znam zachowania ludzi, w tym metody śledczych, i wiem, że zdarza się, iż ktoś przyznaje się do winy, mimo że nie popełnił zarzuconego mu czynu.

**Dlaczego ludzie to robią?**

Bo na przykład przesłuchujący obiecał podejrzanemu paczkę papierosów albo oskarżony jest, przepraszam bardzo, idiotą i przyznaje się dla świętego spokoju. Albo na przykład wie, że zabił nie on, tylko ktoś z jego najbliższych, i woli wziąć winę na siebie, żeby ochronić rodzinę.

**A Tomasz Komenda jest niewinny?**

Ta sprawa jest niejednoznaczna. Lansowanie go jako niewinnego jest obecnie bezzasadne.

**Bo?**

Nie został jeszcze oczyszczony z zarzutów, tylko udzielono mu warunkowego przedterminowego zwolnienia, a w konsekwencji zakreślono dziesięcioletni okres próby, nałożono obowiązki, w tym chyba i dozór kuratora. Co się stanie, gdy okaże się, że w konsekwencji nie zostanie uniewinniony?

**Do tej pory utrzymywano też, że sprawców było dwóch.**

A to oznacza, że nadal jednym z nich może być dotychczas skazany. Sprawa jest więc skomplikowana i wielopoziomowa.

**I co w związku z tym?**

Sprawą ma zająć się teraz Sąd Najwyższy, który zdecyduje, czy są podstawy do wznowienia postępowania.

**Chyba nie musi tego robić, bo właśnie premier uniewinnił Komendę, pisząc na Twitterze: „Nic nie wynagrodzi Panu Tomaszowi Komendzie cierpień, jakich doznał przez niesłuszne skazanie i pobyt w więzieniu. Ale sprawiedliwe państwo musi działać i musi mu pomóc. Podjąłem więc decyzję o przyznaniu Panu Tomaszowi renty specjalnej, do czasu aż uzyska odszkodowanie w sądzie".**

No więc powiedzmy to jeszcze raz, wyraźnie. On nie został jeszcze uniewinniony, tylko warunkowo przedterminowo zwolniony.

**Skąd premier wie, że Komendzie przysługuje odszkodowanie?**

Nie wiem, bo nikt tego nie wie do czasu, gdy nie zostanie on prawomocnie uniewinniony. Tymczasem wypowiedź premiera jest jednoznaczna i kategoryczna. Można się więc spodziewać, że obywatele uznają ją za wkraczanie władzy wykonawczej w kompetencje władzy sądowniczej.

**Człowiek zostaje przedterminowo zwolniony z odbywania kary, utrzymuje, że jest niewinny. Czeka na rozpatrzenie swojej sprawy przez Sąd Najwyższy. Tymczasem premier stwierdza, że jest on niewinny, i zleca wypłacenie mu renty.**

Tak to wygląda. Wie pan, od pewnego czasu mam wrażenie, że staję się rzecznikiem praw obywatelskich bis. Niejednokrotnie otrzymuję listy od osadzonych w zakładach karnych, którzy twierdzą, że zostali niewinnie skazani. Dziś w pracy dostałam kolejny list od skazanego, chodzi o produkcję narkotyków, który opisuje swoją historię oraz że jest skazany na sześć lat pozbawienia wolności i wyczerpał już wszystkie możliwości „udowodnienia swojej niewinności". Prosi mnie o pomoc.

W zakładach karnych jest wielu skazanych utrzymujących, że są niewinni. Na pewno dotrze do nich informacja, że premier postanawia podobnym do nich wypłacać renty i jeszcze przed wyrokiem Sądu Najwyższego przesądza o przysługującym im odszkodowaniu. Zastanawiam się, czy za chwilę nie dojdzie do buntu w zakładach karnych, do którego doprowadzą ci wszyscy, którzy są przekonani – słusznie bądź nie – o swojej niewinności.

**Premier może mówić takie rzeczy?**

Nie powinien, jeśli zna konstytucję.

**A zna?**

Niech pan jego spyta. Artykuł 10 konstytucji jasno stanowi, że ustrój Rzeczypospolitej opiera się na podziale oraz – co trzeba podkreślać – równowadze władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej.

**Premier właśnie udowodnił, że to nie ma znaczenia, bo on sam może zdecydować, kto jest winny, a kto nie.**

Więc przestrzegam przed tym, żeby się nie okazało, iż prominentni przedstawiciele innych władz naruszają konstytucyjną zasadę trójpodziału władz. Żadna władza nie może wynosić się ponad inną

i nie może wchodzić w nie swoje kompetencje.

**Co dalej ze sprawą Tomasza Komendy?**

Nie osądzajmy tego teraz i poczekajmy z komentowaniem do czasu rozpatrzenia jej przez Sąd Najwyższy.

**Co może on zdecydować?**

Ma wiele możliwości, poczynając od nieuwzględnienia wniosku o wznowienie postępowania, a na uniewinnieniu kończąc. Ale może też podjąć decyzję, że sprawa ponownie trafia do sądu pierwszej instancji.

**A co z samym Komendą?**

Trzeba zastanowić się nad jego stanem psychicznym, skoro – jak jesteśmy informowani – nie pozwala on nawet na przesłuchanie go w charakterze świadka; oraz nad tym, czy doświadczenia wynikające z odbycia przez niego kary pozbawienia wolności nie sprawią, że dopuści się jakiegoś przestępstwa.

**Skąd takie przypuszczenie?**

Nie do końca wiemy, jak to w tej sprawie było i jaki wpływ na skazanego ma to, co dziś z jego historią robią media. Pan wie, jak się mówi o sprawcach gwałtów, zwłaszcza na nieletnich?

**Mariusz Trynkiewicz to „szatan z Piotrkowa", a Robert Warecki, skazany zresztą przez sąd pod Pani przewodnictwem na 25 lat, to „wampir z Ochoty".**

18 lat temu Komenda też był uznawany za „wampira z Myszkowa". Dziś staje się bohaterem i ofiarą wymiaru sprawiedliwości, a to obecnie niczemu dobremu nie służy.

**Ale w przypadku Wareckiego to Pani trochę przyłożyła rękę do tej legendy.**

Słucham?

**Prokurator żądał wtedy 15 lat.**

Tamten sprawca wobec pokrzywdzonych grał miłego, sympatycznego chłopca, który pod pozorem bezradności wchodził do mieszkań starszych kobiet, okradał je, a w niektórych przypadkach zabijał. To był przypadek czystego zła.

**O proszę: „czyste zło", „bestie", „zwyrodnialec"... Przestępcę można tak dehumanizować?**

*Sędzia Barbara Piwnik, marzec 2018 r.*

Wypowiedź premiera w sprawie Tomasza Komendy jest kategoryczna. Można się więc spodziewać, że obywatele uznają ją za **wkraczanie władzy wykonawczej** w kompetencje władzy sądowniczej.

**W wymiarze sprawiedliwości** będzie dobrze tylko pod warunkiem, że nie będziemy abdykowali z obowiązku edukacyjnego wobec całego społeczeństwa.

Przed wielu laty, kiedy obowiązywała jeszcze kara śmierci, obserwowałam proces seryjnego zabójcy i gwałciciela.

Pamiętam jak dziś. Kolejny dzień rozprawy. Ciepły, słoneczny, letni. Sala rozpraw niemal pusta, sąd, oskarżony. Odtwarzano nagranie wykonane w toku śledztwa, kiedy wykopywano ciała kolejnych ofiar.

Niech pan sobie wyobrazi, że oskarżony wracał do zamordowanych i pozostawionych kobiet, żeby dokonać na nich kolejnych gwałtów. Wyjaśniając zwracał uwagę na to, że ich ciała były już sztywne. W czasie odtwarzania nagrań siedział spokojnie na sali i przyglądał się tak, jakby oglądał nudny film. Sędzia pyta go, czy gdyby teraz wyszedł na wolność, to dalej by zabijał. W odpowiedzi oskarżony wzrusza ramionami i mówi: „Starałbym się tego nie robić".

No więc niech mnie pan nie denerwuje teraz przypadkiem nieletniego skazanego na 25 lat pozbawienia wolności, bo jestem pewna, że gdyby zapytać go także w toku procesu, czy będzie dalej robił to, co dotychczas, odpowiedziałby „starałbym się tego nie robić". Podać panu nazwisko seryjnego zabójcy, o którym opowiadałam?

**Po co mi?**

Może chce pan wiedzieć, z kim pan żyje w społeczeństwie?

**I co, mam opublikować jego zdjęcie i dane w internecie?**

Nie możemy się okłamywać, żyjemy w społeczeństwie, w którym są takie przypadki.

**Rozumiem przerażenie i nie podważam potworności tych zbrodni, ale czy to usprawiedliwia zdanie, które kilka lat temu wypowiedział ówczesny premier Donald Tusk: „Nie sądzę, żeby wobec takich indywiduów, takich »kreatur«, można było zastosować termin »człowiek« i w związku z tym nie sądzę, żeby obrona praw człowieka dotyczyła tego typu zdarzeń"?**

Człowiek nigdy nie będzie doskonały. System prawa daje takie, a nie inne narzędzia do wymierzania sprawiedliwości, a ja będąc sędzią, mam zobowiązania wobec społeczeństwa, którego z jednej strony nie możemy narażać na zagrożenia ze strony sprawców najcięższych zbrodni, ↦

↦ a z drugiej nie możemy go też sterroryzować i wyłącznie zarządzać jego strachem, że oto każdy człowiek mijany na ulicy jest potencjalnym zbrodniarzem.

**To jeszcze obecny minister sprawiedliwości, Zbigniew Ziobro: „Przestępca, który krzywdzi dzieci, musi się liczyć z bardzo surowymi konsekwencjami. Nie tylko z wieloletnim wyrokiem, lecz także z utratą anonimowości. (...) Po wyjściu z więzienia taki przestępca ma być pod stałą kontrolą, aby wszyscy wiedzieli, że jest ich sąsiadem”.**

To nie są do mnie pytania, niech pan pyta o to władzę ustawodawczą, a nie sądowniczą.

**Co ja mam zrobić jako obywatel z tym rejestrem pedofilów? Mam sobie ich zdjęcia oglądać jak zwierzątka z zoo?**

Nie wiem, co ma pan z tym zrobić. Nie tworzyłam tego prawa. Powiem tyle: taką mamy dziś władzę wykonawczą i ustawodawczą, która, jak się wydaje, bardzo lubi jawność i igrzyska medialne.

**A Pani wybacza oskarżonym?**

Nie niosę wyrządzonych przez nich krzywd.

**Mówiła mi Pani parę lat temu, że niesie historie skazańców.**

Jestem oczywiście w stanie nawet obudzona w środku nocy i zapytana o jakąś sprawę wymienić jej szczegóły, czasem z nazwiskami świadków włącznie. Ale ich win nie niosę, bo w orzekaniu nie ma nic osobistego.

**Wybaczenia nie ma, a darowanie win?**

Mogę współczuć oskarżonemu i ofierze.

**Niepopularna postawa.**

Sędzia to swoje „współczucie” wobec oskarżonego wyraża w karze.

**Czym ono więc jest? To współczucie.**

Staram się, żeby nie było irracjonalne. No więc nie jest tak, iż ustalam sobie na przykład, że od dziś współczuję wszystkim oskarżonym z blond włosami.

**To byłoby dość niesprawiedliwe.**

Czytam akta sprawy, poznaję okoliczności, ludzkie zachowania – to daje podstawę do wydania wyroku.

**I siedzi Pani za stosem akt, i myśli o oskarżonym: ty łajdaku!**

Częściej myślę sobie tak: zachował się dość podle, ale muszę ustalić, skąd takie zachowanie się wzięło: choćby z tego, że nikt go nigdy nie kochał naprawdę, albo z tego, że rodzice stworzyli melinę, a nie dom, więc sobie teraz rekompensuje, jak mu się wydaje, swoje krzywdy. Życie rozjechało go jak walec. I nie wiem, czy to jest akurat do publikacji, ale zdarza się pomyśleć: i tak cud, że tyle taki człowiek wytrzymał.

**Czemu ludzie robią złe rzeczy?**

Proszę pana...

**Musiała Pani kiedyś sobie o tym myśleć.**

To jest suma życiowych zdarzeń i poranień.

Pewne jest jedno: wymierzona kara nie może być krzywdą dla oskarżonego. Bo pan chce rozmawiać o błędach sędziowskich, ustalać, ilu mamy ludzi w zakładach karnych odbywających zbyt surowe kary. Jeśli wymierzona kara nie uwzględnia tego wszystkiego, co doprowadziło przestępcę do czynu, który popełnił, to też jest to niesprawiedliwe.

**Pani lubi karać?**

Był pan kiedyś w więzieniu?

**Byłem.**

I myśli pan, że to wielka frajda skazać kogoś na karę pozbawienia wolności? Pewnie chciałby pan wszystkie więzienia pootwierać i puścić skazanych wolno. Nie dajmy się wpędzić w pułapkę, że ludzie wokół są źli, a tylko skazani zasługują na wyrozumiałość.

Kluczowy jest rozsądek i widzenie czegoś więcej niż tylko suchych zapisów prawa. Ostatnio jeden z oskarżonych, nie zważając na porządek sali rozpraw, wykrzykiwał różne rzeczy na temat swojego stanu zdrowia i sytuacji procesowej. Zachowywał się tak do czasu, kiedy jako przewodnicząca składu jednym zdaniem zakończyłam ten monolog, mówiąc, że głos będzie mógł zabrać, kiedy na to pozwolę.

**No i?**

I ten oskarżony zamilkł, i już wiedział, kto na sali rozdaje karty, i kto na niej rządzi. Wiedział, że nie on będzie tu rządził, jak w swoim przestępczym świecie. Oskarżony w sprawie, w której ja przewodniczę, wie doskonale, na ile sobie może pozwolić, wie, że mi się nigdzie nie śpieszy i chcę go wysłuchać. A czasem trzeba wysłuchać historii, która tylko pozornie nie jest potrzebna do wydania wyroku. Bo to wcale nie jest proste opowiedzieć, jak się na przykład wbija nóż w ciało człowieka.

**Będzie dobrze w polskim wymiarze sprawiedliwości?**

W polskim wymiarze sprawiedliwości będzie dobrze tylko pod warunkiem, że nie będziemy abdykowali z obowiązku edukacyjnego wobec całego społeczeństwa. Jak może być dobrze, kiedy zdarza się, że obrońca oskarżonego jest zaskoczony, kiedy usłyszy, iż to, co jest w uzasadnieniu aktu oskarżenia, nie jest dowodem, na podstawie którego czyni się w sprawie ustalenia. Obrońca tak myśli! To co ma myśleć oskarżony?

**Co to znaczy?**

Gdybym rok temu spytała pana o nazwisko prezesa Sądu Najwyższego albo jego skład, to wymieniłby pan te osoby?

**Raczej nie.**

I na tym polega właśnie problem. Dziś w sądach toczy się wielka rewolucja, ale mam poważne wątpliwości, czy przeciętny obywatel orientuje się, o co tak naprawdę chodzi w sporach o KRS i Sąd Najwyższy. Zmiany zatem są potrzebne, ale zacznijmy od początku, nie od końca. Zastanówmy się nad dostępem do zawodu sędziego, przygotowaniem zawodowym sędziów, systemem awansowania. Z ministerialnej wieży, w której zamknięci są ci, którzy dziś reformują wymiar sprawiedliwości, rzadko widać szarą codzienność sądów pierwszej instancji.

**Życie jest gdzie indziej?**

Sędzia każdego dnia rozstrzyga ludzkie sprawy. To decydowanie o czyimś życiu, a czasem i śmierci cywilnej. Gwałtowne reformy, populizm, wielkie polityczne obietnice są ważne, ale nie może to zastąpić codziennej spokojnej pracy sędziego w kontakcie z obywatelem. Czego sobie i koleżeństwu życzę.

©℗ Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

Historię Piotra przytoczyłem na podstawie reportażu Ludmiły Anannikovej opublikowanego w „Dużym Formacie”.

# I nadszedł ten dzień

MAREK RABIJ

**Z chwilą, gdy potomkowie Czartoryskich zamienili jedną z największych prywatnych kolekcji dzieł na brzęczącą monetę, wyprowadzenie tej gotówki z Polski było kwestią czasu.**

RADEK PIETRUSZKA / PAP

*Adam Karol Czartoryski (z lewej) i minister kultury Piotr Gliński tuż po podpisaniu umowy zakupu przez Skarb Państwa kolekcji Czartoryskich, w skład której wchodzi m.in. „Dama z gronostajem", jedyny obraz Leonarda da Vinci w Polsce. Warszawa, 29 grudnia 2016 r.*

Po założonej w 1991 r. Fundacji Książąt Czartoryskich pozostała w Polsce tylko odkupiona kolekcja dzieł sztuki, za którą rząd zapłacił w 2016 r. 441 mln zł. Pieniądze są w Lichtensteinie, na koncie nowej fundacji Adama Czartoryskiego o nazwie Ce Jour Viendra (z fr. Ten Dzień Nadejdzie), wzorowanej na ich rodowym zawołaniu, która teraz daje też asumpt do dywagacji, czy zerwanie ostatnich finansowo-prawnych więzi z krajem przodków nie było od dawna jednym z większych marzeń księcia.

W sądzie rejestrowym w Krakowie leży jeszcze wniosek o likwidację polskiej fundacji Czartoryskich, która nie ma ani grosza na kontynuowanie działalności statutowej – mimo że jeszcze rok temu była bezsprzecznie najzamożniejszym z blisko 20 tys. tego typu podmiotów zarejestrowanych nad Wisłą. Nic dziwnego, że wielu podatników, którzy złożyli się na te 441 mln zł dla Czartoryskich, ma dziś nieprzyjemne poczucie, że doszło do sytuacji bezprecedensowej. A może nawet niezgodnej z prawem.

Prezes Fundacji Książąt Czartoryskich Maciej Radziwiłł wyjaśnił Radiu ZET, że pieniądze ze sprzedaży kolekcji zostały przekazane aktem darowizny następczyni w Lichtensteinie, która będzie mieć „szerszy zakres działania", a jej fundatorami są również „osoby z rodziny Czartoryskich". Nie wiadomo, co w praktyce ma oznaczać ten „szerszy zakres", przedstawiciele fundacji gospodarują bowiem informacjami na temat tej transakcji w wyjątkowo oszczędny sposób.

Bez odpowiedzi pozostaje również pytanie, czy o darowiźnie wiedziało Ministerstwo Kultury, które nadzorowało fundację, i czy wyraziło na nią zgodę. Nie sposób nawet pobieżnie wyrobić sobie zdania, czy takie działanie było zgodne z najnowszą wersją statutu fundacji, bo nie ma go już na stronie internetowej Muzeum Czartoryskich. Kwestię opłacalności transakcji, która ostatecznie przekazała w ręce Skarbu Państwa kolekcję dzieł sztuki będących i tak pod jego ścisłą kontrolą, w tej chwili możemy odłożyć na bok.

Pewne wydaje się co innego – dzień kiedy miliony za kolekcję, w skład której wchodzi słynna „Dama z gronostajem" Leonarda da Vinci, opuszczą Polskę, musiał rzeczywiście nadejść, zgodnie z zapowiedzią zawartą w nazwie nowej fundacji Czartoryskich. Tak się bowiem składa, że jednym z najskuteczniejszych sposobów na tzw. optymalizację podatkową jest właśnie prowadzenie fundacji.

Regulacje dotyczące ich działalności różnią się w poszczególnych krajach, ich wspólnym mianownikiem pozostaje jednak spora elastyczność, wręcz wyrozumiałość wobec założyciela. Donator przeznacza pieniądze lub inne dobra na cel określony w statucie fundacji. W momencie jej zarejestrowania oddany majątek przestaje być zgodnie z prawem jego własnością, tym samym staje się również niedostępny dla potencjalnych wierzycieli czy spadkobierców. A jednocześnie – dzięki odpowiednim zapisom w statucie – fundator może zachować praktycznie pełną kontrolę nad przekazanym majątkiem. Fundacja może np. kupić mu dom (oficjalnie oddana mu do użytku nieruchomość będzie nadal jej własnością), wypłacać regularnie pieniądze (np. jako wynagrodzenie na zasiadanie w jej władzach, konsultacje czy prelekcje), a nawet pomnażać przekazany majątek (gdy w statucie założyciel upoważni ją do prowadzenia działalności gospodarczej). W wielu krajach dochód wypracowany przez fundacje nie podlega opodatkowaniu – jeśli w całości trafi na cele statutowe.

W Polsce działalność fundacji musi koncentrować się na celach „społecznie i gospodarczo użytecznych", wiele krajów dopuszcza jednak istnienie tzw. fundacji rodzinnych (zwanych także prywatnymi), których zadanie, w uproszczeniu, polega wyłącznie na zabezpieczeniu finansowej przyszłości rodziny donatora lub wskazanych przez niego osób. Powołanie fundacji rodzinnej nie jest więc w istocie niczym innym niż przełożeniem części majątku z jednej kieszeni do drugiej, tylko lepiej chronionej przed wścibstwem fiskusa lub Temidy.

Prawnicy pomagający klientom w tzw. optymalizacji podatkowej wskazują dziś na dwa kraje, w których działalność fundacji rodzinnych cieszy się wyjątkowo dużą swobodą. Pierwszym z nich jest Panama. Drugim Lichtenstein, do którego właśnie przenieśli się Czartoryscy. Zgodnie z tamtejszym prawem fundacje prywatne, które nie prowadzą działalności gospodarczej, płacą zryczałtowany podatek w wysokości 1,8 tys. franków szwajcarskich.

Rocznie. ©℗

ANDRZEJ IWANCZUK / REPORTER

*Premier Mateusz Morawiecki z Angelą Merkel podczas jej wizyty wWarszawie, 19 marca 2018 r.*

# Zadyszka premiera

ANDRZEJ STANKIEWICZ

**Próbuje złapać oddech i załatwić to, do czego został wynajęty: złagodzić politykę i dogadać się z Brukselą. Na przeszkodzie stoi Zbigniew Ziobro – przynajmniej tak sądzi Mateusz Morawiecki.**

Kluczowa była ekspresowa wizyta Angeli Merkel. Kanclerz tuż po zakończeniu wielomiesięcznych negocjacji w sprawie utworzenia swego czwartego rządu najpierw pojechała z wizytą do prezydenta Francji Emmanuela Macrona, a potem szybko zjawiła się w Warszawie. Przywiozła wspólne niemiecko-francuskie przesłanie dla premiera Morawieckiego i całego PiS-u: beztrosko pędzicie na ścianę.

Przedstawiła mu następujący scenariusz. Jeśli PiS nie ustąpi w sporze z Komisją Europejską dotyczącym praworządności, to już w kwietniu szefowie państw członkowskich sięgną po art 7.1 unijnych traktatów i przegłosują uznanie Polski za kraj, w którym jest wyraźne ryzyko zagrożenia demokracji. To słabsza wersja unijnego napiętnowania. Najmocniejsza broń to sankcje z art 7.2, które mogą doprowadzić do zawieszenia głosu w unijnych instytucjach.

O sankcjach jednak od dawna nie ma mowy, bo do ich wprowadzenia trzeba jednomyślności w UE, a Polsce udało się zdobyć poparcie Węgier i Litwy. Merkel wie jednak, że na wielu więcej sojuszników w UE polski rząd nie może liczyć i dlatego zagroziła artykułem 7.1 – wtedy w głosowaniu wystarczą 22 kraje UE. By tę procedurę zablokować, Polska musiałaby mieć po swej stronie sześć krajów – a okazuje się, że nie ma. Wszelkie mityczne Międzymorza, Wyszehrady i Pribałtiki okazały się dla PiS projektami w tej sytuacji niewiele wartymi.

Merkel dołożyła jeszcze jeden argument. Jeśli PiS nie ustąpi, to w maju Komisja Europejska zaproponuje, by w nowym budżecie UE (którego negocjacje ruszają) wypłaty pomocy były uzależnione od przestrzegania unijnych wartości. – Prezes Kaczyński zrozumiał, że przed wyborami samorządowymi w Polskę pójdzie komunikat, że przez PiS stracimy pieniądze. A przecież większość pomocy unijnej ląduje w regionach – zwraca uwagę nasz rozmówca z PiS, wtajemniczony w negocjacje z Unią.

### Plotki i ustępstwa PiS

Bardzo szybko po wyjeździe Merkel pojawiły się plotki, że PiS pospiesznie przygotowuje kompromis, by nie rzec: ustępstwa. Akurat w dniu, gdy Morawiecki odwiedzał Brukselę, plotki stały się ciałem. Obóz władzy zapowiedział wydrukowanie trzech zaległych orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego z 2016 r. oraz zmiany w sądownictwie osłabiające wszechwładną w tej chwili pozycję ministra sprawiedliwości wobec prezesów i wiceprezesów sądów.

Ba, pojawiła się plotka, że jeśli Bruksela będzie nadal kręcić nosem, to PiS zdecyduje się wprowadzić do TK trzech sędziów wybranych pod koniec rządów Platformy. Trybunał za prezesury Andrzeja Rzeplińskiego uznał, że zostali wybrani legalnie. A prezydent nie chce odebrać od nich przysięgi, bo podobnie jak PiS twierdzi, że ich wybór był niezgodny z prawem.

Ale możliwa jest każda wolta. Wszak jeszcze niedawno lider PiS-u Jarosław Kaczyński twierdził, że ówczesnej premier Beacie Szydło może grozić sąd za wydrukowanie tych orzeczeń TK, które teraz on sam godzi się wydrukować.

Oczywiście w pierwszym etapie PiS chce dać Brukseli tak niewiele, jak tylko można.

A zatem wydrukuje orzeczenia TK, które już nie mają znaczenia, bo PiS zdążył pozmieniać ustawy, których one dotyczyły. Co zaś do sądów, to pamiętać należy, że przed przywróceniem zasad ochrony prezesów Zbigniew Ziobro zdążył wymienić część z nich – akurat tych, którzy stanowili dla niego sól w oku. Inna rzecz, że wcale nie wymienił większości, a takie wrażenie chcieli wywołać politycy opozycji. Miotła Ziobry dotknęła mniej więcej co czwartego prezesa i wiceprezesa.

### Potrzeba sukcesu

Abstrahując od scenariusza Merkel, który daje rządowi miesiąc na wyhamowanie przed ścianą, zmiany w sądach i TK mają jeszcze jedną, wewnętrzną przyczynę. Morawiecki dramatycznie potrzebuje sukcesu.

Pierwsze sto dni, swoisty miodowy miesiąc każdego premiera, spędził na dramatycznej walce z kolejnymi politycznymi przeciwnościami. Najpierw – tuż po jego nominacji – Komisja Europejska wszczęła wspomnianą procedurę z art 7. traktatu. Potem przyszedł potężny sztorm w postaci międzynarodowych reakcji na ustawę o IPN. Stawienie mu czoła kosztowało Morawieckiego dużo siły, zabrało wiele czasu i zmusiło do przyjęcia twardej, narodowej retoryki – odpychając liberalny elektorat, który nowy premier miał wszak do PiS przyciągać.

W finale Morawiecki musiał zdecydowanie zareagować w sprawie sutych premii wypłacanych ministrom. Obciął wszystkie bonusy i pokazowo pozbawił stanowisk część wiceministrów, by zademonstrować, że władza zaczyna oszczędności od siebie.

To była próba ucieczki z pułapki, którą sam na siebie zastawił PiS. Partia obiecywała wyborcom w kampanii finansową skromność, by po objęciu władzy uczynić sobie z nagród stałe, dodatkowe źródło apanaży.

Wszystko to kłopoty, które Morawiecki dostał w spadku po rządzie Szydło. Ale rozgrzeszać go nie ma co, wszak był owego rządu prominentnym wicepremierem. Twardo stał przy Szydło i całym PiS, gdy nabrzmiewał konflikt z Brukselą. Nawet jeśli nie ponosi wprost odpowiedzialności za przyjęcie ustawy o IPN, to w kluczowym momencie awantury dolał oliwy do ognia niefortunnym występem na konferencji w Monachium, gdzie mówił m.in. o „żydowskich sprawcach" Holokaustu.

Co do premii, to sprawa jest jeszcze prostsza: on sam też dostawał pieniądze z puli nagród od pani premier. Ba, był w ścisłej czołówce – z 75 tys. zł ustępował jedynie ówczesnemu szefowi MSWiA Mariuszowi Błaszczakowi (82 tys.), wyprzedając nawet samą Szydło (65 tys.). Wówczas mu to nie wadziło. Co więcej, zanim sprawa wyszła na jaw, już jako szef rządu zaordynował premie swoim nowym ludziom w Kancelarii Premiera. Dziś, nieco wstydliwie, są zwracane.

### PR-owcy na ratunek

Sytuacja Morawieckiego stała się tak dramatyczna, że zdecydował się na ruch bez precedensu. Przyjął na nowo do Kancelarii Premiera dwoje speców od wizerunku: Annę Plakwicz i Piotra Matczuka.

Wcześniej przez lata pracowali oni dla PiS, gdy partia była w opozycji. Po wyborach wraz Szydło trafili do Kancelarii Premiera. Odeszli niemal rok temu w atmosferze skandalu – założyli spółkę Solvere, która odpowiadała za kampanię billboardową „Sprawiedliwe sądy", finansowaną przez Polską Fundację Narodową z pieniędzy spółek Skarbu Państwa. Zajęło się nimi nawet CBA, bo okazało się, że firmę stworzyli jeszcze przed odejściem z Kancelarii Premiera, co jest naruszeniem ustawy antykorupcyjnej.

Choć nawet w PiS ten powrót wzbudził kontrowersje, to Morawiecki jest w sytuacji bez wyjścia: musi wreszcie zostawić za sobą kłopoty i uciec do przodu. Plakwicz i Matczuk mają być tej ucieczki współtwórcami. Okazało się, że uważany niemal za maga autopromocji Morawiecki potrzebuje podstawowej pomocy. I że nie ma wokół nikogo innego poza ludźmi PiS – i to po przejściach.

### Bez rozejmu

Sto naznaczonych bolączkami dni Morawieckiego pokazało jeszcze jedno. Nie każdy w PiS cierpi i zamartwia się, gdy premierowi powija się noga. Jedno zwłaszcza nazwisko zwraca uwagę Morawieckiego w sposób szczególny – Zbigniew Ziobro. Panowie nie cierpią się od samego początku współpracy w poprzednim ‚rządzie. Obaj niemal 50-latkowie kalkulują, że w niedalekiej przyszłości stoczą bój o rząd dusz na prawicy. Wygra tylko jeden, stąd ogromne emocje i wzajemne pretensje.

Stronnicy obu panów tuż po zaprzysiężeniu nowego rządu kolportowali plotki, że Morawiecki spotkał się z Ziobro, uzgadniając zawieszenie broni i wyznaczając wzajemne strefy wpływów. Okazało się to nieledwie żartem – nawet jeśli topory zostały na początku roku zakopane, to dziś znów obaj panowie z chęcią wzięli je w dłonie. Wszelkie linie demarkacyjne są już nieaktualne.

Co złego, to Ziobro – taki zarzut nagminnie słychać dziś w kręgach PiS życzliwych Morawieckiemu. Wśród tych, którzy w premierze widzą przyszłość Polski i prawicy, narasta przekonanie, że minister sprawiedliwości jest hamulcowym rządu, lub wręcz że sypie piach w tryby pisowskiej machiny pracującej dziś dla Morawieckiego.

Przykładów jest bez liku. A więc, po pierwsze, kto wpakował Morawieckiego na rafę związaną z ustawą o IPN? Ano, Ziobro. Wszak to w jego resorcie opracowano tę kontrowersyjną ustawę. Faktem jest także to, że Ziobro zaproponował prezesowi Kaczyńskiemu jej szybkie przyjęcie na początku roku, choć wcześniej przez półtora roku leżała zapomniana w Sejmie.

### Wiwisekcja portfela

I tu z ust ludzi Morawieckiego można usłyszeć pierwszą z licznych teorii spiskowych. Oto Ziobro przewidział, że będzie z tego międzynarodowy skandal, na którym straci premier. Czy to możliwe? Tak naprawdę skandalu nie przewidział nikt, łącznie z MSZ, które zna się na polityce zagranicznej – w tym na czułych punktach Izraela i USA – znacznie lepiej od Ziobry.

Spisków jest jednak więcej. Spora część polityków PiS wierzy w plotkę opisaną w jednym z prawicowych tygodników. Według niej, jeśli nie udałoby się poruszyć Żydów i Amerykanów ustawą o IPN, Ziobro miał mieć mocniejszą amunicję – ustawę reprywatyzacyjną. Otóż resort sprawiedliwości miał rozważać ujawnienie kulisów negocjacji z Izraelem oraz USA dotyczących zwrotu przedwojennych majątków żydowskich obywatelom tych krajów. To oczywiście oznaczałoby ↦

↦ ogromne napięcie w kraju i możliwą falę antysemityzmu, podbudowanego obawami części Polaków o utratę majątku.

Ziobrze przypisywane jest nawet inspirowanie publikacji dotyczących majątku premiera, a konkretnie przeniesienia wartych miliony nieruchomości na żonę, by nie kłuły w oczy miłującego ascezę elektoratu PiS-u. Szkopuł w tym, że pretekst dał sam premier. Jeśli po opłacanych milionami latach w dużym zagranicznym banku stanął na czele antysystemowej krucjaty przeciw beneficjentom III RP i zagranicznym inwestorom, to sprawdzenie jego wiarygodności było elementarnym zadaniem dziennikarzy. Do tego długo lawirował w kwestiach finansowych, nie chcąc jako wicepremier ujawnić swego oświadczenia majątkowego. Sam się zatem prosił o wiwisekcję portfela.

Czy te plotki i posądzenia są prawdą czy nie – to w istocie nie jest najważniejsze. Bo najważniejsze jest to, że w taką grę Ziobry wierzy wielu ludzi w PiS-ie, w tym stronnicy Morawieckiego. Dlatego nieprzypadkowo premier przygotowuje się do ostrej rozgrywki ze swym ministrem.

Na razie zbiera siły, by odbić z rąk ludzi Ziobry najpotężniejszy państwowy kombinat finansowy PZU-PEKAO SA. O kontrolę nad tymi instytucjami obaj panowie bili się ostro już za czasów Szydło. Morawiecki usunął wówczas z PZU ziobrowego stronnika Michała Krupińskiego, który jako prezes dał pracę m.in. żonie ministra i jego bratu. Ziobro się nie poddał. Dzięki wsparciu Szydło zachował kontrolę nad PZU, zaś Krupińskiemu zapewnił posadę prezesa PEKAO SA. Morawiecki pamięta to upokorzenie. Dziś jako premier – i były bankier – nie może na dłuższą metę pozwolić, by kluczowy holding finansowy w kraju kontrolował jego najpoważniejszy konkurent. Dlatego plotki o planowanym zamachu na ziobrystów w PZU są coraz intensywniejsze.

**Morawiecki próbuje osłabić pozycję Ziobry** także na jego własnym podwórku. Zaproponowany Brukseli kompromis w sprawie sądów oznacza w istocie znaczące osłabienie resortu.

### Ziobro za, a nawet przeciw

Morawiecki próbuje osłabić pozycję Ziobry także na jego własnym podwórku. Zaproponowany Brukseli kompromis w sprawie sądów oznacza w istocie znaczące osłabienie resortu.

Chodzi nie tylko o to, że bez opinii kolegium sądu oraz Krajowej Rady Sądownictwa minister sprawiedliwości nie będzie mógł odwołać prezesa lub wiceprezesa sądu. Dodatkowo Ziobrze zabrano prawo do decydowania, którzy sędziowie po osiągnięciu wieku emerytalnego będą nadal sądzić – ma to robić prezydent.

Ministerstwo Sprawiedliwości drące z Brukselą koty od dobrych dwóch lat zostało pominięte podczas przygotowywania gruntu pod to porozumienie. Dość powiedzieć, że jeden z najbliższych współpracowników Ziobry o nowelizacji ustaw sądowych dowiedział się ode mnie. A inny parę godzin przed ogłoszeniem projektu dotyczącego TK przekonywał mnie, że nie ma prawnej możliwości wydrukowania zaległych orzeczeń, by później ze zdumieniem przyznać, że nie wiedział, iż PiS wniesie w tej sprawie nową ustawę.

Ziobro został także zmuszony do połknięcia własnego języka w sprawie ustawy o IPN, która wprowadza kary za obarczanie Polaków współodpowiedzialnością za niemieckie zbrodnie w czasach II wojny światowej. Jako prokurator generalny zobligowany był do przygotowania swej opinii na temat tej ustawy przed rozprawą w Trybunale Konstytucyjnym, gdzie skierował ją prezydent. W swej opinii Ziobro uznał, że część kluczowych zapisów ustawy jest „dysfunkcjonalna" i może „podważać autorytet Państwa Polskiego". Chodzi o karanie za złamanie tej ustawy za granicą, niezależnie od tego, jakie przepisy karne obowiązują w kraju popełnienia czynu.

Ziobro próbuje wybrnąć z tej politycznej schizofrenii. Wszak gdy ustawa była przyjmowana przez parlament, sam za nią zagłosował. Tłumaczy więc, że tak naprawdę jego idealną ustawę popsuł Kukiz, wprowadzając do niej zapisy dotyczące karania za negowanie zbrodni ukraińskich nacjonalistów – właśnie to ma być trudne do ścigania za granicą.

Bez względu na to, jak Ziobro uzasadnia swą woltę, to politycy PiS nie pozostawiają złudzeń: został do tego zmuszony, bo Morawiecki szuka możliwości wyjścia z klinczu w relacjach z USA i Izraelem.

### Prezes lubi, jak się biją

Mimo natarcia ze strony Morawieckiego na razie Ziobro śpi spokojnie. Jego współpracownicy mówią, że dostał gwarancje bezpieczeństwa z samej góry, czyli od Jarosława Kaczyńskiego. Potwierdzają to nawet sojusznicy Morawieckiego w rządzie. Choć premier pielgrzymuje ze skargami na Ziobrę do prezesa, to na razie nic nie wskórał. Kaczyński w swym starym, bardzo przewidywalnym stylu chce mieć w partii i rządzie dwie wrogie frakcje i dwóch ambitnych konkurentów. Powód jest jak zwykle ten sam: w takiej sytuacji może dzielić i rządzić, wykorzystując antagonizmy i animozje.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

*Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".*

POŻEGNANIE

W setną rocznicę śmierci Prezydenta Miasta Lwowa

Ś.† P.

Tadeusza Rutowskiego

(zm. 30 marca 1918 r.)

12 kwietnia o godz. 19 w kościele Karmelitów „Na Piasku"
w Krakowie przy ul. Karmelickiej 19
zostanie odprawiona Msza św. w intencji Zmarłego.

Jadwiga Leszczuk z Rodziną

ANNA

# Dziewit-Meller:
## *Trudne rozstania*

A teraz szczerze – ile czasu w święta poświęciliście na bezmyślne gapienie się w ekran i scrollowanie Facebooka, Instagrama albo Twittera? Stawiam to okrutne pytanie, by samej poczuć się nieco lepiej waszym kosztem, spędziłam bowiem święta na wsi, gdzie internet właściwie nie działa, a każda próba podłączenia telefonu do sieci okupiona jest koniecznością założenia ciepłych ubrań, gumiaków oraz czapki i długiego chodzenia po okolicznych łąkach z telefonem w ręce, w celu odnalezienia szczątkowego zasięgu. Te wyzwania natury ogólnej (zwłaszcza gdy za oknem typowa polska wiosna i trochę pada deszcz ze śniegiem) skutecznie zniechęcają do kontaktu ze znajomymi z Facebooka i wyraźnie niwelują trudną do pokonania potrzebę, by być cały czas na bieżąco ze sprawami Polski i świata (żeby móc reagować, jakby co).

Moje święta były zatem niemal wolne od kontaktu z mediami społecznościowymi. Piszę „niemal", ponieważ każdy wyjazd z naszej sieciowej pustyni już na skrzyżowaniu polnych dróg, parę kilometrów od domu, zaczynał się kanonadą powiadomień, które oczywiście kusiły, by je natychmiast sprawdzić. I normalnie pewnie bym je sobie posprawdzała, ale zaczęłam nowy etap w życiu i prowadzę nową walkę z samą sobą. Stało się to trochę za sprawą niepozornej książeczki, wydanej w formie poradnika, która przypadkiem trafiła w moje ręce. „Jak zerwać ze swoim smartfonem" pisze Catherine Price, pisarka i dziennikarka naukowa, absolwentka Yale, publikująca m.in. w „NYT", „Washington Post" i „Best American Science Writing". No właśnie – jak? I czy to w ogóle jest możliwe?

Pierwszy krok w tym kierunku uczyniłam już w grudniu 2016 r., gdy postanowiłam zerwać z Facebookiem. Od tamtej pory nie korzystam z tej aplikacji. I choć służbowo prowadzę dwa fanpejdże, udaje mi się to robić tak, by omijać strumień informacji płynący stamtąd – wystarczy użyć do pracy z nim innych narzędzi, by „wygasić" ten potok na dobre i przestać żyć ciągle życiem innych ludzi. Nie czytając tego, co inni publikują na FB, nie wiem, co moi znajomi myślą o kolejnych ważkich sprawach, dopóki mi tego osobiście nie powiedzą, albo nie napiszą mi w mailu czy esemesie. Na razie nie zubożyło to jednak mej egzystencji jakoś dramatycznie. Co mam wiedzieć, to i tak wiedzieć będę, najwyżej nie od razu. Ten prosty zabieg zaś oddał mi spory kawałek mojego własnego życia z powrotem.

Catherine Price pisze, że smartfony są tak skonstruowane, by nas od siebie uzależnić – żądają naszej uwagi i nagradzają, gdy im ją poświęcamy. Z jakichś powodów zarówno Steve Jobs, jak i małżeństwo Gatesów poważnie ograniczyli swoim własnym dzieciom dostęp do smartfonów. „Nasze dzieci korzystają w domu z technologii w ograniczonym zakresie" – tak odrzekł Jobs zapytany przez dziennikarza „NYT" Nicka Biltona o to, czy jego dzieciom podobał się iPad. „Najwyraźniej owi prezesi firm komputerowych wiedzą coś, czego reszta z nas nie wie" – napisał Bilton. Na przykład coś o tym, że korzyści z używania nowych technologii nie zawsze przewyższają ryzyko. Catherine Price nie bez kozery cytuje przecież w książce powiedzenie dilerów narkotyków, które w przewrotny sposób funkcjonuje w Dolinie Krzemowej: „*Never get high on your own supply*" (Zapomnij o haju od własnego towaru).

W moim domu dzieci również nie korzystają z nowych technologii. Nie mamy iPada, nie gramy w gry, a na telefonach nie instalujemy żadnych atrakcyjnych aplikacji. Catherine Price mogłaby być z nas zadowolona, bo od dawna już trzymamy się zasady, by nie wyciągać telefonu przy posiłkach, które razem jemy. W końcu przecież dzieci uczą się nie poprzez nasze ględzenie, ale przez naśladownictwo. Czasem oczywiście łapię się na myśli, że może moje przedszkolaki coś ważnego omija, i że będą dziwolągami w świecie cyfrowych tubylców – ale skoro sam król smartfononowy poszedł tą drogą, to może nie będzie z nimi tak źle.

Refleksja, do której skłania czytelników książeczka amerykańskiej dziennikarki, nie jest jednak radykalna. Nie chodzi o to, by po lekturze natychmiast wyrzucić swoje smartfony przez okno, lecz o to, by korzystając z tego narzędzia, samemu przestać być jak narzędzie. „Problem nie leży w samych komórkach, lecz w naszej relacji z nimi. (...) Nie dociekamy, dlaczego tak trudno nam odłożyć telefon, ani kto odnosi korzyści, kiedy bierzemy go w dłoń. Nie myślimy o tym, jaki wpływ na mózg ma wielogodzinne klikanie na komórce, ani o tym, że urządzenie, które ma nas łączyć z innymi, w rzeczywistości nas od siebie oddala". ©

OGŁOSZENIE

**Przed Sądem Rejonowym w Złotowie,** Wydziałem I Cywilnym, toczy się pod sygn. I Ns 1335/15, z wniosku Barbary Smolarz, zamieszkałej przy ul. Sportowej 12, 89-310 Łobżenica, postępowanie o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości o łącznej powierzchni 0,0298 ha, położonej w Łobżenicy przy ul. Sportowej 10, składającej się z działki nr 637, dla której prowadzona jest przez Sąd Rejonowy w Złotowie, Wydział IV Ksiąg Wieczystych, księga wieczysta KW o numerze PO1Z/15640/7.

Aktualnym posiadaczem nieruchomości jest Barbara Smolarz, a poprzednio Władysław Smolarz i Antonina Smolarz.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły się do Sądu Rejonowego w Złotowie, ul. Konopnickiej 15, 77-400 Złotów, woj. wielkopolskie, Polska, i wykazały własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

WIARA

# WSPÓLNE SŁOWO BOŻE

Każdy z Kościołów chrześcijańskich czyta Biblię według własnej tradycji. Czy jednomyślne tłumaczenie Pisma Świętego jest możliwe? W Polsce odpowiedź okazała się pozytywna.

MARCIN MAJEWSKI

Ksiądz Jakub Wujek – autor sławnego tłumaczenia Biblii na język polski – tak pisał o niekatolickim przekładzie Szymona Budnego, czyli Biblii nieświeskiej: „Heretycy ku potwierdzeniu swych błędów najwięcej te miejsca psują i fałszują, które baczą, że im są przeciwne".

Czy ks. Wujek miał rację? Czy przekład Biblii ma charakter wyznaniowy, np. katolicki, protestancki czy żydowski? Przecież tłumaczenie tekstu z jednego języka na drugi nie jest kwestią takiej czy innej wiary, lecz dobrej znajomości języka, kontekstu i technik translacji. Dobre tłumaczenie to wynik dobrego warsztatu, a nie denominacji religijnej. A jednak w przypadku Pisma Świętego znakomita większość przekładów ma charakter konfesyjny – historia pokazuje, że bodźcem do powstania nowego tłumaczenia Biblii niemal zawsze było zapotrzebowanie konkretnej wspólnoty. Tak powstał Pięcioksiąg Samarytański (wspólnota Samarytan), Septuaginta (wspólnota Żydów aleksandryjskich), Wulgata (wspólnota Kościoła łacińskiego w IV w.), Die deutsche Bibel Marcina Lutra (rodząca się reformacja), Biblia gdańska (wspólnota protestancka w Polsce XVII w.), Przekład Nowego Świata (wspólnota Świadków Jehowy) czy tzw. Biblia Tysiąclecia (przekład dla Kościoła katolickiego w Polsce).

Opinia Wujka o Biblii nieświeskiej dobrze oddaje historyczny klimat „rywalizacji" różnych przekładów konfesyjnych. Od wieków tłumaczenia biblijne wzbudzały wielkie emocje i kończyły się zażartymi sporami, a nawet aktami przemocy. Dziś przekładowi Pisma Świętego nie towarzyszą już tak wielkie kontrowersje, jednak poszczególne wyznania podtrzymują swoje odrębne tradycje tłumaczeniowe.

### Mozolne początki

Stąd ważnym i pożądanym zjawiskiem na rynku tłumaczeń Biblii są inicjatywy przekładów międzywyznaniowych. 17 marca tego roku zaprezentowano pierwszy polski przekładu Biblii Ekumenicznej. Po 23 latach od rozpoczęcia projektu w 1995 r. polscy chrześcijanie otrzymali Przekład Ekumeniczny (PE). Powstał on z inicjatywy Towarzystwa Biblijnego w Polsce i był odpowiedzią na wezwanie Synodu Plenarnego Kościoła katolickiego w Polsce z 1991 r. Międzywyznaniowy zespół tłumaczy, liczący ostatecznie 30 osób, stworzyli przedstawiciele Kościołów: rzymskokatolickiego, prawosławnego, ewangelicko-augsburskiego, ewangelicko-reformowanego, ewangelicko-metodystycznego, polskokatolickiego, starokatolickiego mariawitów, Chrześcijan Baptystów, Zielonoświątkowego i Adwentystów Dnia Siódmego. W trakcie prac dołączyli także przedstawiciele Kościoła Zborów Chrystusowych. Po stronie katolickiej tłumaczami byli m.in. abp Stanisław Gądecki, ks. Antoni Tronina, ks. Krzysztof Bardski, Krzysztof Mielcarek czy ks. Stanisław Jankowski.

Tłumacze rozpoczęli od przekładu Ewangelii synoptycznych. Pomysł był taki, by zespół zbierał się co pewien czas i wspólnie werset po wersecie tworzył nowe tłumaczenie. Szybko jednak okazało się, że taki tryb pracy jest uciążliwy. Z powodu licznych zajęć poszczególnych członków na spotkaniach zawsze kogoś brakowało. Większą trudnością był fakt, że w tak licznym gronie uzgadnianie brzmienia tekstu, nierzadko wyraz po wyrazie, było bardzo mozolne. Każda z zaangażowanych osób wnosiła przecież nie tylko własną tradycję translatorską ↦

*Ekumeniczne święto Biblii w kościele św. Jana w Gdańsku, maj 2002 r.*

ROMAN JOCHER / AGENCJA GAZETA

↦ i teologię swego Kościoła, ale i własne, różniące się między sobą upodobania i preferencje językowe. Postanowiono więc pozostałe księgi Biblii rozdzielić pomiędzy poszczególnych tłumaczy, a dokonane przekłady poddać rewizji i pracy redakcyjnej.

Ten model stawia pod znakiem zapytania realną interkonfesyjność Przekładu Ekumenicznego. Jeśli międzywyznaniowość projektu sprowadza się w praktyce do tego, że różne księgi tłumaczą przedstawiciele różnych wyznań – którzy pozostają w obrębie własnej konfesji i własnej tradycji – to czy nie jest to międzywyznaniowość pozorna? Czy przekład pojedynczej księgi jest już ekumeniczny dzięki temu, że w całości wydania odrzucono księgi, które nie wchodzą do kanonu innego wyznania oraz zrezygnowano z teologicznych objaśnień w przypisach?

Dyskusja komisji tłumaczy PE rozpoczęła się od uzgodnienia tekstów oryginalnych, które będą podstawą przekładu. Okazało się bowiem, że problem konfesyjności sięga głębiej niż tylko poziom tłumaczenia. Preferencje wyznaniowe pojawiają się już na poziomie doboru samego tekstu, z którego dokonuje się tłumaczenia. Jeśli chodzi o Stary Testament, tłumacze chrześcijańscy wybierają niemal zawsze Kodeks Leningradzki (L) i jego opracowanie w Biblia Hebraica Stuttgartensia (BHS), Żydzi natomiast wyłącznie Kodeks z Aleppo (A). Gdy chodzi o Nowy Testament, do wyboru jest Novum Testamentum Graece w opracowaniu Nestle-Alanda (NA 27), The Greek New Testament (GNT 4) czy choćby tekst bizantyjski (preferowany przez prawosławie). Wpływ doboru tekstu oryginalnego nie jest bez znaczenia i uwidacznia się m.in. w obecności czy braku niektórych fragmentów. Wersety mające słabsze potwierdzenie w zachowanych rękopisach zostały w przekładzie ekumenicznym usunięte (np. Dz 8, 36-38 o ochrzczeniu eunucha).

### Teologiczna powściągliwość

Tłumacze każdego projektu międzywyznaniowego muszą zmierzyć się z ustaleniem podstawowych zasad translacji i odpowiedzią na pytanie o kluczowe pojęcia i terminy teologiczne, inne dla każdego wyznania. Translator, który zarzeka się, że jego tłumaczenie nie ma nic wspólnego z interpretacją teologiczną – a co za tym idzie, z konfesją – oszukuje siebie i czytelnika. Tłumacze są przeważnie ludźmi szczerze wierzącymi i funkcjonują w ramach określonych wyznań. W ten sposób naturalnej interkonfesyjności Pisma Świętego przeciwstawia się realna konfesyjność każdego tłumacza i każdego przekładu. Konfesyjność przekładów z założenia interkonfesyjnych wydaje się największym paradoksem, który teoria i praktyka takiego przekładu musi pokonać.

**Zrezygnowano z dostojnie brzmiących określeń:**
„zaprawdę powiadam wam” zamieniono na „zapewniam was”, „tunikę” zastąpiono „koszulą”, „łotra” – „zbrodniarzem”, a „dzieciątko” i „dziecię” – „dzieckiem”.

W PE terminy teologiczne istotne dla poszczególnych wyznań postanowiono oddawać różnymi odpowiednikami w zależności od kontekstu. Dla przykładu grecki czasownik *μετανοηω* (*metanoeo*) jest tłumaczony raz przez „nawrócić się”, innym razem przez „opamiętać się”, a jeszcze gdzie indziej przez „zmienić sposób myślenia”. Kluczowe wezwanie Ewangelii „nawróćcie się!” (gr. *metanoiete*) brzmi tu „opamiętajcie się!”: „Opamiętajcie się! Królestwo Niebios już blisko!” (Mt 3, 2); „Wydawajcie więc owoc godny opamiętania” (Mt 3, 8). Interpretacja istotnych terminów idzie w PE w kierunku nienacechowanym religijnie, obojętnym. „Odpuszczenie grzechów” (to może tylko Bóg; kojarzy się z katolickim sakramentem) zamieniono na „przebaczenie” (to może każdy, słowo neutralne); „miłosierdzie” zastąpiono „współczuciem” (słowo neutralne, nienacechowane religijnie), „grzech” – „złem”, „cuda” zamieniono na „niezwykłe czyny”, „zdumiewające czyny” itp. Podobnie czasowniki: „objawić” zamieniono na „odsłonić”, a „wybawić” na „ratować”.

Tłumaczenia interkonfesyjne promują w założeniach taką interpretację tekstu, która przenosi wyrazistość problematyki religijnej do wymiaru etycznego – pozostawiając neutralnymi miejsca newralgiczne dogmatycznie. Innymi słowy, w kwestiach teologicznych (zwłaszcza spornych) wybiera się jak najbardziej neutralne ekwiwalenty, najlepiej obojętne teologicznie i niedefiniujące problemów, a zróżnicowaniu podlega tylko sfera moralności i postępowania. W PE przyjęto też zasadę, że przypisy będą zawierały jedynie konieczne informacje historyczne, językowe, geograficzne czy zwyczajowe, bez komentarzy teologicznych, które niezmiernie trudno uzgodnić w tak szerokim gronie przedstawicieli różnych wyznań.

### Mniej dostojeństwa

Dobrze zrealizowanym założeniem PE jest uwspółcześnienie języka w porównaniu z tradycyjnymi przekładami Biblii. Niektóre starożytne terminy – zapewne dla przeciętnego czytelnika dziś niezrozumiałe – zastąpiono współczesnymi odpowiednikami. Dla przykładu w Mk 27, 27 czytamy: „Wtedy żołnierze namiestnika zabrali Jezusa ze sobą na dziedziniec twierdzy” (zamiast „do pretorium”: *πραιτώριον*), „i zgromadzili koło niego cały oddział” (zamiast „kohortę”: *σπεῖρα*). Zrezygnowano z niektórych dostojnie brzmiących i utrwalonych określeń: „zaprawdę powiadam wam” zamieniono na „zapewniam was”, „tunikę” zastąpiono „koszulą”, „łotra” – „zbrodniarzem”, „uczonego w Piśmie” – „nauczycielem ludu”, „kupca” – „handlarzem”, a „dzieciątko” i „dziecię” – „dzieckiem”. „Ujrzał” oddano bardziej neutralnie jako „zobaczył”, „godzien” jako „godny”, a „wszystek” jako „cały” itp. Zmiany te nie tylko wychodzą naprzeciw współczesnemu czytelnikowi, są też bliższe stylowi oryginału, który zarówno w swej szacie hebrajskiej, jak i greckiej nie brzmi szczególnie podniośle. Język Starego i Nowego Testamentu posługuje się literacką formą języka stosowanego wówczas na co dzień. Stąd w PE Jezus „urodził się” w Betlejem, a nie „narodził się”, Maryja jest „żoną” Józefa, a nie „małżonką”, zaś cytat „Oto Panna pocznie i urodzi Syna” został pozbawiony archaicznej formy „porodzi”. We wszystkich powyższych przypadkach większa naturalność języka przekładu zbliża go do brzmienia oryginału.

Nie spotka się też w PE form „któraś”, „tyś”, „niceśmy” itp., czyli przenoszenia do innych wyrazów odczasownikowego „-ś”. Charakterystyczną dla polszczyzny biblijnej przydawkę przymiotną zastąpiono przydawką dopełniaczową, np. „Syn Boga” zamiast „Boży”, „Królestwo

Niebios" zamiast „Niebieskie", „Król Żydów" zamiast „Żydowski" czy „Anioł Pana" zamiast „Pański" – choć uczyniono to niekonsekwentnie. Pozostawiono np. frazę „Syn Człowieczy", a nie „Człowieka", z kolei terminy „Królestwo Boże" i „Królestwo Boga" przeplatają się bez konsekwencji, wydaje się, że rządzi tu przypadek.

PE nie ustrzegł się śladów pracy zbiorowej, gdyż – zapewne nieświadomie – miesza styl potoczny z oficjalnym, np. „przekażcie uczniom" zamiast zwykłego „powiedzcie uczniom", „udać się" zamiast „iść", „zostań tam, dopóki nie dam ci nowego polecenia" zamiast „aż ci powiem"/ „aż ci dam znać" itd. Niepotrzebne chyba są też pewne elementy języka oficjalnego, np. „Jaki wydajecie wyrok, taki i na was wydadzą" (Mt 7, 2). Człowiek najczęściej nie „wydaje wyroków" (to robi sędzia), ale „sądzi" czy „osądza", jak jest w innych przekładach. Niektóre jednak rozwiązania z tego zakresu są ciekawe: np. zamiast „zaprawdę powiadam wam" – „oświadczam wam" czy „zapewniam was".

Są też w PE miejsca, w których pozostawiono archaizujące terminy, jak „niewiasta"– zapewne w przekonaniu, że wołacz „kobieto" w ustach Jezusa do swojej matki, Maryi – czy to w Kanie Galilejskiej, czy na krzyżu – brzmiałby niestosownie. W Nowym Testamencie pozostawiono także dwojaką nazwę Jerozolimy: Jerozolima lub Jeruzalem. Otóż w Ewangelii według św. Łukasza i w Dziejach Apostolskich określenia te wydają się mieć delikatnie inne znaczenia: gdy chodzi o miasto jako takie, dominuje nazwa Jerozolima, gdy natomiast autor ma na myśli teologiczne znacznie stolicy, używa słowa Jeruzalem.

Przykład nieudanego, moim zdaniem, przekładu to fragment: „Ale ty, gdy się modlisz, wejdź do swej komórki" (Mt 6, 6). Słowo „komórka" oznacza pomieszczenie gospodarcze na opał, narzędzia, rupiecie (zob. definicję w „Słowniku języka polskiego" pod red. W. Doroszewskiego), natomiast gr. *ταμεῖον* (*tameion*) oznacza m.in. pomieszczenie wewnętrzne, prywatną izdebkę, własną komnatę – i każde z tych znaczeń wydaje się lepsze niż komórka. Przy lekturze porównawczej ma się czasem wrażenie, że tłumacze PE dążą do oryginalności i dbają o odmienność w stosunku do zastanych wersji, przez co skwapliwie wykorzystują pozostawione jeszcze przez poprzedników możliwości translacyjne. Dobierają takie słowo, którego poprzednie przekłady jeszcze nie wykorzystały. Interkonfesyjność tego przekładu ma miejscami cechę dokonywania wyborów opozycyjnych wobec dotychczasowych przekładów katolickich. Jest to zjawisko pozytywne, gdyż rozszerza nasze spojrzenie na tekst biblijny i zapoznaje czytelnika z wynikami wielu nowych badań egzegetycznych.

**Pozostawiono niektóre archaizujące terminy,** jak „niewiasta". Zapewne w przekonaniu, że wołacz „kobieto" w ustach Jezusa do swojej matki, Maryi – czy to w Kanie Galilejskiej, czy na krzyżu – brzmiałby niestosownie.

W PE zamierzano zastąpić określenia „Żyd/żydowski" terminami zbliżonymi do oryginału – „Judejczyk/judejski" – aby uzmysławiać, że tekst Ewangelii nie dotyczy wszystkich Żydów na przestrzeni wieków, ale ocenia postawę konkretnej grupy w konkretnym czasie. Jednak w trakcie dyskusji zrezygnowano z tej translatorskiej innowacji w przekonaniu, że termin „Judejczyk" traci istotne skojarzenia religijne, przez co gubi sens oryginału. Szkoda.

### Czy przekład się przyjmie?

Problemem dla przyszłości PE, jest pytanie, czy ma on szansę wyjść poza krąg osób zaangażowanych w dialog ekumeniczny. Jak na razie dotychczasowe częściowe wydania PE – Nowego Testamentu czy poszczególnych części Starego – cieszą się minimalnym zainteresowaniem. W negatywnym scenariuszu rola PE sprowadzi się do wspólnej podstawy dialogu na konferencjach ekumenicznych, na których i tak każdy korzysta z tekstów oryginalnych, a nie z przekładów. Oby tak się nie stało.

Mimo tych trudności projekt nowego przekładu trzeba powitać z wielkim uznaniem dla twórców i wszystkich osób zaangażowanych w jego powstanie. Fakt ścisłej współpracy przedstawicieli tylu Kościołów chrześcijańskich w tworzeniu ważnej platformy dialogu, jaką jest Biblia Ekumeniczna, zbliżył je do siebie. Projekt stał się zatem miejscem realizacji ekumenicznego wyzwania dla Kościołów w Polsce – i to już jest jego wartość dodana. Podobne projekty zrealizowane w innych współczesnych językach – jak angielski Revised Standard Version, francuski Traduction œcuménique de la Bible czy włoski La Bibbia Concordata – zyskały znaczące miejsce pośród rodzimych przekładów. Tego samego należy życzyć Biblii Ekumenicznej.

© MARCIN MAJEWSKI

*Autor jest biblistą, wykładowcą Pisma Świętego, archeologii biblijnej oraz języka hebrajskiego m.in. na UPJPII i UJ. Jest członkiem komisji weryfikacji V wydania Biblii Tysiąclecia.*

POŻEGNANIE

Wszystkim, którzy uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych
oraz żegnali w modlitwach
naszą kochaną Mamę, Babcię i Prababcię

Ś.† P.

Elżbietę Weymanową

z domu Szeptycką

córkę Leona i Jadwigi z Szembeków, prawnuczkę Aleksandra Fredry,
ostatnią ze swego pokolenia,
serdecznie dziękujemy, Bóg zapłać!

Pogrążeni w żałobie

CÓRKA BARBARA NAGANOWSKA I SYN JERZY WEYMAN Z RODZINAMI

# Ambona, która dryfuje

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

**W prawej ręce kaznodziei powinna być Biblia, a w lewej gazeta – powtarza się na zajęciach z homiletyki. Homilia powinna mieć związek z życiem.**

W artykule „Ambona, która parzy" („TP" nr 12/2018 oraz na powszech.net/grzechy-kazan) Artur Sporniak wymienia siedem grzechów głównych polskiego kaznodziejstwa. Jak rozumiem, nie jest to jego czysto autorski ranking, ale wypadkowa opinii kapłanów, których przepytał, i jego własnych obserwacji. Zaskoczyło mnie umieszczenie politykowania na miejscu pierwszym. Przyznam, że rozpolitykowanego kaznodziei dawno nie słyszałem. Może to osąd wyprowadzony na podstawie ocen okolicznościowych kazań biskupów, ale kaznodziejstwo parafialne rzadko zajmuje się polityką. Zastanowiłem się więc nad kryterium doboru tych kaznodziejskich grzechów. Czy chodzi o te teologicznie najcięższe, to znaczy te najbardziej sprzeniewierzające się naturze homilii, czy też może najpowszechniejsze? Postanowiłem więc napisać suplement. Tym razem będzie to opinia autorska, bo wynikająca z ponad 20-letniego nauczania homiletyki (teorii) i kaznodziejstwa (praktyki). I nie chodzi nawet o to, jakie grzechy najbardziej się u tych początkowych kaznodziejów panoszą, ale z czym – jako kościelni mówcy – mają największy problem. Niestety, bywa, że te błędy młodości z czasem się utrwalają, stając się kaznodziejską drugą naturą.

### Zarządzanie poczuciem winy

Młodzi kaznodzieje nie rwą się wcale do politykowania, i chyba wcale nie dlatego, że w seminarium by im na to po prostu nie pozwolono. Przede wszystkim rwą się do wzbudzania u słuchaczy poczucia winy. Nie chodzi nawet o moralizowanie, na które słusznie zwrócił uwagę ks. prof. Wiesław Przyczyna, a które „polega na nakładaniu obowiązków bez pokazania, gdzie jest źródło siły do ich realizacji". Chodzi o coś bardziej fundamentalnego, o istotę teologicznego rozumienia relacji Boga z człowiekiem. I jest to problem nie tyle homiletyczny, co teologiczny. Kaznodziejstwo jest bowiem odbiciem osobistego rozumienia soteriologii, a więc prawdy o zbawieniu człowieka. Ta relacja jest wciąż opisywana o wiele częściej w kategoriach powinności, wysiłku i obowiązku niż w kategoriach radości i wdzięczności. Tak jakby kaznodzieje się bali tego stanu, który tak dobrze opisuje prefacja z pierwszej modlitwy eucharystycznej o tajemnicy pojednania: „Wdzięczni za tajemnicę Twojej dobroci, pełni podziwu i radości z odnalezionego zbawienia". A w gruncie rzeczy chodzi o władzę, ów duchowy „rząd dusz".

Generowanie poczucia winy daje przekonanie sprawowania władzy nad człowiekiem. Przepowiadanie radości to proklamowanie wolności odzyskanej w Jezusie. Nad człowiekiem wolnym panuje się trudniej. Wciąż nam się wydaje, że pedagogia grzechu jest skuteczniejsza od pedagogii miłosierdzia. Czy to wina seminaryjnego kształcenia? Myślę, że nie. W kaznodziejstwie ujawnia się bowiem nie tyle teologiczna wiedza, co teologiczne, wewnętrzne przekonanie, z którym się już przychodzi, będąc ukształtowanym przez parafialne kaznodziejstwo. A wszystko z braku poprawnie rozumianej teologii miłosierdzia, która – jak się wielu mylnie wydaje – unieważnia wszelką bojaźń Bożą. Pedagogika strachu wydaje się i bezpieczniejsza, i skuteczniejsza.

Przed laty Biblioteka Kaznodziejska zrobiła ankietę wśród świeckich na temat homilii. Do dzisiaj trzymam te wypowiedzi, ponieważ redakcja prosiła mnie o podsumowanie. Jeden z ankietowanych pisał: „Razi bijąca z polskich ambon retoryka negacji, nierzadko groźby i ciągłego utwierdzania wiernych w przekonaniu, że są nikczemni i źli. (...) Ciągłe założenie kaznodziei, że sytuacja moralna społeczeństwa, zwłaszcza jego części obecnej w kościele, jest wręcz katastrofalna, często nie zachęca, a wręcz zniechęca do słuchania i tym samym uczestnictwa w głoszeniu Bożego słowa. Dobra Nowina posiada tożsamość przepełnioną radością z jej doświadczania. Tak więc nadawanie jej szczególnie ponurego i dekadenckiego charakteru nie służy z całą pewnością Bożemu celowi, który jej przyświeca". Cza-

JAKUB WŁODEK / REPORTER

*Święto Bożego Ciała, Kraków, 15 czerwca 2017 r.*

sami nawet sześć lat studiów filozoficzno-teologicznych nie wystarczy, by przekonać młodego adepta kaznodziejstwa do innej wizji zbawienia, *ergo* – innego tonu jego przepowiadania.

### Niewiara w słowo Boże

Drugi problem, który się pojawia, to swoista niewiara w słowo Boże. Wiem, brzmi strasznie, ale niestety tak to czasami wygląda. Fundamentalnym źródłem dla homilii jest liturgia słowa Bożego danego dnia. To stamtąd homilia bierze swoją moc zobowiązującą. Moc słowa Bożego wynika – jak zresztą przypomina Katechizm – z jego autorstwa. W adhortacji „*Verbum domini*" Benedykt XVI cytuje słowa św. Jana od Krzyża, który tak mówi o Jezusie, „jedynym Słowie Boga": Bóg „przez to jedno Słowo powiedział nam wszystko naraz. I nie ma już nic więcej do powiedzenia". Jakiekolwiek prywatne objawienie w niczym nie uzupełnia ostatecznego objawienia przyniesionego przez Jezusa, ale – przypomina papież – może „skutecznie pomagać w lepszym rozumieniu i przeżywaniu Ewangelii w obecnej epoce".

Niestety, zdarza się, że właściwa relacja między objawieniem prywatnym a słowem Bożym zostaje zachwiana. Tak jakby Ewangelia nie wystarczała i trzeba ją było uzupełniać czymś bardziej przekonującym: wizjami, przesłaniami, orędziami. W kazaniach pasyjnych dominującym źródłem stają się wówczas wizje św. Katarzyny Emmerich, a kazania eucharystyczne koncentrują się na tzw. cudach eucharystycznych, a nie na nauce Jezusa. Nadprzyrodzoność słowa Bożego zostaje wyparta przez cudowność wizjonerów i stygmatyczek, których autentyczność przesłania bywa przez Kościół oficjalnie kwestionowana. Trzeba jednak pamiętać, że jest to tylko – jak przypomina papież – „pomoc, którą otrzymujemy, ale nie mamy obowiązku z niej korzystać".

Skąd taka popularność tego typu objawień czy wizji? A trzeba by do tego jeszcze doliczyć wypowiedzi egzorcystów, które traktowane są jako nieomylna wykładnia nauki o diable, którego – bywa – cytuje się na ambonie! Nazwałbym to „przywilejem bezpośredniości źródła". Wszyscy oni wiedzą to, co wiedzą, bezpośrednio od Pana Boga, Maryi, aniołów, a może i samego diabła. Przynajmniej w założeniu. Niestety, prywatne objawienia potwierdzone przez Kościół często mieszają się z wątpliwymi teologicznie wizjami, co w konsekwencji prowadzi do zamętu w duszach wiernych. Ja wiem, człowiek potrzebuje nieustannego potwierdzania, że Pan Bóg działa. Jeśli nie dostrzega Jego działania w tym, co naturalne, szukać Go będzie w tym, co niezwykłe, nadnaturalne, cudowne. I to prawda, że Bóg czasami tak daje o sobie znać, ale – jak przypomina cytowany przez Benedykta św. Jan od Krzyża – „jeśliby ktoś jeszcze pytał Boga albo pragnął od Niego jakichś widzeń czy objawień, postąpiłby nie tylko błędnie, lecz również obraziłby Boga, nie mając oczu utkwionych w Chrystusie, całkowicie, bez pragnienia jakichś innych nowości". No właśnie: oczy utkwione całkowicie w Chrystusie, bo w Chrystusie jest całość.

### Dydaktyzm zamiast mistagogii

Najtrudniejszą kwestią pozostaje jednak aktualizacja słowa Bożego w odniesieniu do liturgii i do codziennej egzystencji. Posoborowa teologia homilii przypomniana także przez Franciszka w „*Evangelii gaudium*", jak i w Dyrektorium homiletycznym, podkreśla, że misterium Chrystusa objawia się najpierw w dziełach Bożych w historii zbawienia, a następnie ponawia się w znakach liturgicznych i jest obecne w życiu wierzących. Nie jest łatwo to zrozumieć, a cóż dopiero nauczyć, choć wydaje się to takie oczywiste, że – przykładowo – śmierć Jezusa dokonała się raz w historii, uobecnia się wciąż w liturgii Eucharystii oraz powinna nadawać życiu chrześcijańskiemu pasyjny charakter.

W konkrecie nie jest to jednak proste. Homilia winna się bowiem stać pomocą w aktualnym przeżywaniu wspominanych wydarzeń. Franciszek powie, że „pamięć wiernego ludu, podobnie jak pamięć Maryi, powinna obfitować w zadziwiające dzieła Boże". „Nie chodzi o abstrakcyjne prawdy i zimne sylogizmy" – mówi papież – ale o to, by wprowadzić słuchaczy w tajemnicę. Zawsze powtarzam swoim studentom, że – dla przykładu – kazanie pasyjne jest po to, by pomóc wejść „w przepaść Męki". Podobnie jest w przypadku wszystkich misteriów zbawienia. Umieli robić to Ojcowie Kościoła, dla których teologia była bardziej życiem i mistycznym doświadczeniem niż intelektualną refleksją. Dzisiaj z trudem uczymy się na nowo takiego misteryjnego języka. Dyrektorium homiletyczne daje wiele podpowiedzi, jak historia zbawienia ujawnia się w liturgii. I tak na przykład w propozycjach na uroczystość Zesłania Ducha Świętego czytamy: „Przyjęcie w tym dniu Komunii Świętej przez wiernych staje się dla nich wydarzeniem Pięćdziesiątnicy". To jedno z takich zdań, w które łatwiej się zanurzyć, niż je zrozumieć. Na tym jednak polega mistagogia – na stopniowym zanurzaniu się w misterium.

Trudność „przetłumaczenia" historii zbawienia na doświadczenie liturgiczne, które ma prowadzić do przemiany życia, prowadzi do tego, że szybko i chętnie dryfujemy w kierunku prostej dydaktyki i pytamy się o naukę, o pouczenie, jakie wynika ze słowa Bożego danej niedzieli czy uroczystości. Być może nawet dydaktyzm jest częstszy niż moralizatorstwo. Jak by nie patrzeć, Ewangelia nie jest jednak podręcznikiem etyki, ale proklamacją zbawienia i wynikającej z niego nowej egzystencji człowieka. Dlatego homilia powinna stać się miejscem konfrontacji słuchacza z orędziem zbawczym, z czego ma wypłynąć motywacja dla osobistej przemiany, aby stać się w świecie świadkiem Zmartwychwstania. Ja wiem, że to trudne, o wiele łatwiej skupić się na konkretnym wykroczeniu moralnym i wygłosić tyradę o jego złu. A pretekst się zawsze znajdzie. I tak w Niedzielę Miłosierdzia ↦

↦ Bożego zawsze można rozliczyć z odmawiania koronki i posiadania obrazka Jezusa Miłosiernego, zamiast wygłosić homilię o tym, że „w Jego ranach jest nasze zdrowie", o czym namacalnie chciał się przekonać św. Tomasz. Cóż bowiem po obrazku, gdy nie będzie wiary? Bez intensywnego, osobistego obcowania ze światem Słowa nie da się jednak nikogo – że użyję wyrażenia prof. Zbigniewa Mikołejki – „do wnętrza Pisma" wprowadzić.

### Wietrzenie języka

Pozostaje jeszcze nauczyć znalezienia związku między słowem Bożym a życiem. We wspomnianej ankiecie jedna z osób pisała, że w homilii „na świeckie pytania należy odpowiedzieć w duchu prawdy zbawczej". Te „świeckie pytania" to inaczej pytania przynoszone ze świata. Niestety, istnieje niebezpieczeństwo, że te pytania – wraz z postępującym wyłączeniem się „z ludu" – stają się dla kleryka, a potem kapłana coraz mniej słyszalne. Czy musi tak być? Oczywiście, że nie. Istotnym łącznikiem między księdzem a światem – prócz niczym niezastępowalnego osobistego, socjalnego doświadczenia – są teksty kultury. Po pierwsze, teksty kultury wyrażają to, czym żyje współczesny świat, opisują jego problemy, aspiracje, niepokoje. Czynią to w sposób syntetyczny, obrazowy, opisując powszechne doświadczenie za pomocą jednostkowej historii, obrazu, jakiejś metafory. Po drugie, teksty kultury uczą języka. Pozwalają nieustannie – że tak powiem – ubogacać język przepowiadania, który ma tendencję do zamykania się w teologicznym żargonie. A ten język trzeba nieustannie wietrzyć. Bez kontaktu ze współczesną kulturą nie da się tego zrobić.

**Homilia powinna stać się miejscem konfrontacji** słuchacza z orędziem zbawczym. Z tego ma wypłynąć motywacja dla osobistej przemiany, by stać się w świecie świadkiem Zmartwychwstania.

W homiletyce mówi się o tzw. tworzywie homiletycznym. Stanowi je wszystko to, co może być w homilii twórczo wykorzystane: literatura, muzyka, sztuki plastyczne, ale także doniesienia medialne, telenowela czy osobiste przeżycie. Wielką umiejętnością Jezusa była zdolność teologicznego czytania rzeczywistości. Pozwalała ona Jezusowi na budowanie czytelnych metafor, które egzystencjalne doświadczenie podnosiły do rangi objawienia. Jest to zapewne sztuka, której każdy kościelny mówca uczy się przez całe swoje kaznodziejskie życie. Nie da się jednak tego nauczyć bez bezpośredniego obcowania z tekstami kultury.

Wszyscy chyba wykładowcy kaznodziejstwa wiedzą, że węgierski biskup Tihamer Tóth mawiał, iż w prawej ręce kaznodziei powinna być Biblia, a w lewej – gazeta. Złośliwi twierdzili, że Biblia nie wystarczy, że po jej stronie trzeba jeszcze położyć dokumenty soborowe, katechizm, encykliki papieży i co tam jeszcze, może nawet kodeks prawa kanonicznego. A z drugiej – tylko gazeta. Dzisiaj zamiast gazety są środki komunikacji elektronicznej, w których żyjemy jakby zanurzeni. Ilość informacji wcale jednak nie przechodzi w ich jakość. Z tego, co do niego dociera, kaznodzieja też musi się nauczyć wybierać to, co dobre, wartościowe, co pomoże mu zrozumieć współczesny świat i temu światu – w jego języku – powiedzieć to, co jest zbawczą odpowiedzią na pytania, które usłyszał.

Ktoś powiedział, że dramatem kaznodziei byłoby odpowiadanie na pytania, których nikt nie stawia. A czasami się tak staje. I wtedy słuchacz wychodzi z kościoła z przekonaniem, że to, co usłyszał, nie dotyczy go. Myślę jednak, że równie dramatyczne byłoby nieodpowiadanie na pytania, z którymi ludzie przychodzą. Wracaliby bowiem z kościoła z przekonaniem, że w słowie Bożym nie ma na ich pytania odpowiedzi. Otóż są. Tylko czasem kaznodzieja tych pytań po prostu nie słyszy. Albo – jeszcze gorzej – nie zna na nie odpowiedzi. Słuchania Boga i świata każdy musi się jednak sam nauczyć.

Zastanawiałem się, skąd ten tytuł: „Ambona, która parzy". Czy ma on sugerować niechęć księży do głoszenia słowa Bożego? Nie wchodzą na nią, bo parzy? Nie wiem. A jeśli nawet tak, to z czego miałoby to wynikać? Może z poczucia odpowiedzialności? A może ze świadomości własnych braków? Ze słabego przygotowania? Wydaje mi się, że od retorycznych kompetencji ważniejsza jest teologiczna tożsamość kaznodziei. To właśnie braki w tożsamości sprawiają, że ambona staje się jak łódź, która dryfuje. Niestety, czasami rozbija się na rafach. I to wcale nie na rafach własnych niekompetencji, ale – bądźmy oględni – na rafach jakichś niedoborów wiary w to, kim jest, i w to, jaka jest prawdziwa wartość jego służby Słowu.

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

TP

## *Kluby „TP" zapraszają*

**BERLIN, czwartek, 5 kwietnia, godz. 19.00** – spotkanie „Tischner czyta katechizm". Miejsce: klasztor oo. dominikanów (Oldenburger Str. 46)

**GDAŃSK, czwartek, 12 kwietnia, godz. 18.30** – spotkanie „Czy istnieją granice sacrum i profanum w sztuce i kościele?". Gościem będzie Piotr Sikora. Miejsce: Fundacja Hospicyjna (ul. Kopernika 6).

**KRAKÓW, niedziela, 8 kwietnia, godz. 17.00** – debata „O wizji Polski wg Krzysztofa Kozłowskiego". Gośćmi będą: Michał Komar, Maciej Kozłowski i Andrzej Romanowski. Prowadzenie: Andrzej Brzeziecki. Miejsce: Centrum Kultury Żydowskiej (ul. Meiselsa 17).

**RZESZÓW, środa, 11 kwietnia, godz. 19.00** – spotkanie z Zenonem Kruczyńskim, autorem książki „Farba znaczy krew". Miejsce: klasztor oo. dominikanów (ul. Dominikańska 15).

**WARSZAWA, wtorek, 10 kwietnia, godz. 18.00** – spotkanie „Hartwig. Wdzięczność". Gośćmi będą: prof. Anna Legeżyńska, Anna Piotrowska i Maja Komorowska. Miejsce: Państwomiasto (ul. Andersa 29).

# Młot na kaznodziejów

MACIEJ MÜLLER

**S. Małgorzata Borkowska, benedyktynka i pisarka, przez kilkanaście lat trzymała w szufladzie felietony o odwiedzających jej klasztor kaznodziejach. Postanowiła je wydać, aby wywołać dyskusję o duchowieństwie.**

Z tekstów wyłania się obraz na pierwszy rzut oka śmieszny, w rzeczywistości – straszny. „Młody salezjanin oświadcza nam z kazalnicy z promiennym uśmiechem, że do rekolekcji dla zakonnic to on się nie przygotowuje, bo wiadomo, że im wszystko dobre" – wspomina. W innym miejscu pisze: „Cztery razy do roku zjawiał się u nas pewien kanonik. Był nam bardzo życzliwy, starał się nas pocieszać w tym naszym poniżającym sposobie życia. Po jakimś czasie zorientowałam się ze zdumieniem, że chodzi mu po prostu o to, że same sobie musimy buty czyścić i kartofle obierać".

Jaka jest zakonnica w oczach kaznodziei? Głupia. Bo „gdyby głupia nie była, toby zakonnicą nie została. A skoro została, to jej psi obowiązek ścierać pył z podłogi przed godnością kapłana, i do niczego innego potrzebna nie jest".

Ofiarą wszechobecnej kościelnej mizoginii padają nie tylko zakonnice, ale również... osoby kanonizowane. S. Borkowska wspomina wspólne z tynieckimi benedyktynami prace nad brewiarzem monastycznym. Kiedy spytała, dlaczego ze świąt i uroczystości św. Agnieszki, Scholastyki czy Gertrudy uczyniono jedynie wspomnienia (czyli oczko lub nawet dwa niżej w hierarchii obchodów), dowiedziała się, że „przecież nie można wymagać od ojców, żeby [je] obchodzili". A „od nas można i trzeba wymagać, żebyśmy obchodziły uroczyście świętych panów" – konstatuje zakonnica.

Jaki jest sens opowiadać mniszkom w kazaniach o aborcji, etyce seksualnej i o komercjalizacji Bożego Narodzenia? Pół biedy, kiedy kaznodzieja nieudolnie streszcza Sienkiewicza. Gorzej, kiedy z ambony płyną szkodliwe brednie. Choćby taka, rojąca się od błędów teologicznych: „Ojciec przed wiekami stworzył Syna i obiecał Mu radość, ale nie mógł tej obietnicy dotrzymać, bo w międzyczasie zaszedł bunt aniołów i dlatego Chrystus zamiast tej radości musiał przyjąć krzyż".

*Małgorzata Borkowska OSB*
**OŚLICA BALAAMA.**
**APEL DO DUCHOWNYCH PANÓW**
*Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, Kraków 2018*

S. Borkowska zauważa, że tekstami Pisma Świętego kaznodzieje dowolnie manipulują, „natomiast sformułowania pochodzące z prywatnych objawień traktuje się jak prawdy absolutne, doszukując się w każdym słowie głębi znaczenia". Do tego tła pasuje ksiądz, który podczas rekolekcji odczynia rzucone na mniszki uroki („były tam długie spisy najprzedziwniejszych praktyk magicznych, których się trzeba było po kolei odrzekać"). A także chora pobożność maryjna, w której Matka Boża jest kimś na kształt czwartej osoby Trójcy Świętej.

O czym benedyktynka radzi więc głosić? „Pamiętam, z jakim zachwytem i zdumieniem słuchałyśmy pewnego pallotyna, który nam powiedział całe rekolekcje o Bogu, nie wspominając ani razu o aborcji!".

Usłyszeć żenujące kazanie czy doświadczyć radosnej twórczości liturgicznej można nie tylko w klasztorach benedyktynek w Staniątkach czy Żarnowcu. Opisane w książce sytuacje wskazują szerszy problem Kościoła: kryzys tożsamości księdza, szczególnie diecezjalnego, wychowywanego pod seminaryjnym kloszem w poczuciu swoistej elitarności. Bywa, że w tym poczuciu utwierdza księży też tzw. formacja stała. Autorka książki niegdyś przepisywała na maszynie diecezjalną instrukcję o kapłańskim posłuszeństwie i wyczytała w niej, że „jest [ono] różne od zakonnego, a to dlatego, że zakonnik jest posłuszny dla umartwienia, a kapłan – dla naśladowania Chrystusa".

Trochę szkoda, że s. Borkowska nie poszukuje głębiej przyczyn tego zjawiska. Mając w dorobku wybitne prace z dziedziny historii życia zakonnego, miałaby zapewne niejedno do powiedzenia o procesie tworzenia się wśród kapłanów owego poczucia elitarności (jaki wpływ na to miały reformy Soboru Trydenckiego, tworzenie seminariów, sutanna?).

Walnąć ręką w stół warto, inaczej Kościół się nie zmieni. S. Borkowska nie mogła zdzierżyć kanonika, który opowiadał o poniżającym sposobie życia mniszek. „Kiedy przestałam już być onieśmieloną nowicjuszką, a stałam się znaną siekierą, powiedziałam mu, że w moim rozumieniu poniżające zajęcie to by było pod latarnią. I odtąd już tak nie mówił, nawet jeśli nadal tak myślał".

Szczera rozmowa okazuje się skuteczna. Jeśli nie zaczniemy rozmawiać ze sobą o tym, co nas boli w Kościele i jak temu wspólnie zaradzić, nieduża książeczka mniszki z Żarnowca pozostanie tylko zbiorem celnych anegdot.

„Myślę, że narzekanie na »dzisiejszy świat« jest dowodem, że w rzeczywistości, która nas otacza, nie potrafimy się znaleźć; a jednak to jest przecież rzeczywistość, w której nas Bóg postawił, i dał nam w niej jakieś zadanie do spełnienia. I chyba raczej nie jest tym zadaniem lamentowanie" – zauważa słusznie autorka. ©℗

REKLAMA
ANTYKWARIAT KWADRYGA
KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI.
DOJEŻDŻAMY.
TEL. 22 622 11 54

# Już zostaliśmy wskrzeszeni

PIOTR SIKORA

**Okres wielkanocny, celebrujący najważniejszą tajemnicę naszej wiary, jest w naszej codzienności słabo obecny. Chcemy to zmienić. Dlatego proponujemy refleksję nad zmartwychwstaniem.**

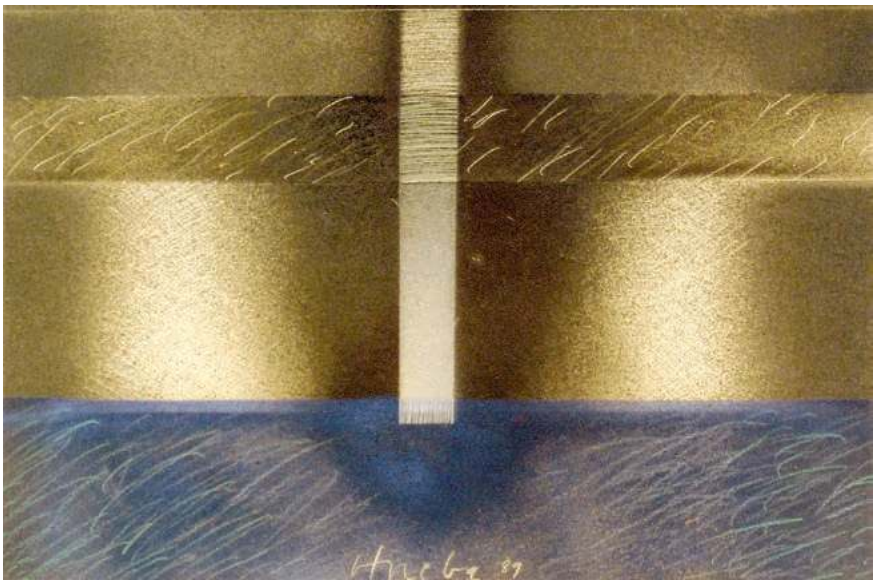

ARCHIWUM ARTYSTY

*Ryszard Otręba „56d", rysunek, 1989 r.*

W Wielkim Poście uczestniczymy w rekolekcjach, podejmujemy postanowienia, angażujemy się w rozmaite duchowe ćwiczenia. Liczba wielkopostnych oraz pasyjnych pieśni i nabożeństw wskazuje na intensywność przeżywania przygotowania do Wielkanocy. Po świętach nasze zaangażowanie spada. Życie na powrót staje się powszednie. A przecież już nic nie powinno być takie samo. Św. Paweł przypomina: „Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i aż dotąd pozostajecie w swoich grzechach" (1 Kor 15, 17). Nasze zbawienie dokonuje się już teraz poprzez wejście w rzeczywistość zmartwychwstania.

W Liście do Efezjan możemy przeczytać zaskakujące słowa, że Bóg nas „martwych w przewinach, razem z Chrystusem ożywił (...) razem wskrzesił i posadził na wyżynach niebiańskich w Chrystusie Jezusie" (Ef 2, 5-6). Autor Listu za natchnieniem Boga odkrył, że zmartwychwstanie Jezusa nie jest wydarzeniem z przeszłości, dotyczącym jednego, choćby najważniejszego człowieka. Jest raczej czymś, co się stało i co się dzieje – lub może się dziać – z nami. Nie ma czego szukać w przeszłości ani oczekiwać w przyszłości, jeśli nie nadchodzi ona właśnie teraz. Pismo jest tu jednoznaczne: zmartwychwstanie – nasze i Chrystusa – już się dokonało. On już wspólnie z nami „siedzi na wyżynach nieba".

Zmartwychwstanie nie działo się i się nie dzieje w żadnym innym punkcie czasoprzestrzeni niż nasze obecne życie. Nie ma zatem sensu wybierać się za morze i stać w kolejce do pustego grobu w jerozolimskiej bazylice. Tam Go nie ma. Poszukując Zmartwychwstałego trzeba raczej „powrócić do siebie". Przewiny bowiem, w których tkwimy martwi, to – jak sugeruje greka oryginału Pisma – błędy, fałszywe kroki w krainę ułudy.

Nie bez znaczenia jest w tym kontekście to, że List do Efezjan mówi nie o z martwych powstawaniu, lecz o przebudzeniu: *synegeiro*. Żyjemy, ale śnimy. Błąkamy się w świecie, który – choć się zdaje rzeczywisty – ma naturę raczej sennej mary. Trzeba nam się zbudzić, odzyskać przytomność – przyjść do siebie.

We wczesnochrześcijańskim piśmie, tzw. Traktacie o zmartwychwstaniu, autor (którego imienia dziś nie znamy) poucza swego ucznia Reginosa: „Zbawiciel pochłonął śmierć. Powstał i wchłonął to, co widzialne, przez to, co niewidzialne, i tak otworzył nam drogę do naszej nieśmiertelności. (...) Uwolnij się od podziałów i więzów, a wtedy już dostąpisz zmartwychwstania".

Niewidzialne pochłonęło widzialne – zmartwychwstanie-przebudzenie nie wiedzie do żadnego „specjalnego" doświadczenia. Otwieramy oczy i jesteśmy, gdzie byliśmy, choć wszystko jest inaczej.

Śmierć to rozkład i rozpad. Zanik jednej zasady harmonijnie integrującej całość biologicznego, ale też i duchowego organizmu. Zerwanie jedności. Podział. Dlatego uwolnij się od podziałów, a wejdziesz w rzeczywistość zmartwychwstania. Wylecz wewnętrzne pęknięcia. Konflikty sprzecznych pragnień i dążeń. Rozdźwięk pomiędzy tym, co jest, a tym, co chciałbyś, aby było. Niezgodę pomiędzy sferą myśli i uczuć. Sprzeczności w samym myśleniu, brak spójnego obrazu siebie i świata. Dokuczliwą różnicę pomiędzy takim obrazem a rzeczywistością – jaka jest.

By podziały znikły, trzeba jednak uwolnić się od więzów, czyli od przywiązań. One bowiem rodzą cierpienie: gdy brak nam tego, czego chcemy, a spotyka nas to, czego nie chcemy. Największe cierpienie zaś rodzi się z przywiązania do naszego nieuchronnie przemijającego „ja" (życia, duszy – *psyche* – na tym świecie) i podziału „ja" – „nie-ja", „moje" – „nie-moje".

Człowiek uwolniony od podziałów i przywiązań trwa pogodzony z sobą i z tym, co wokół niego nadchodzi i mija (jeśli w ogóle ma tu sens rozróżniać wnętrze i zewnętrze). Osadzony w zawsze jedynym „teraz", nie wyrywa się ani za tym, co minęło, ani ku temu, co nadchodzi. Niczego nie chce uniknąć, niczego nie musi osiągnąć. Po prostu zawsze jest. ©℗

SZYMON

# Hołownia:
## *Między nami obrońcami*

Nie jest tak, że jeśli nie dołączyłem do „czarnego protestu", to jestem za dręczeniem kobiet. Nie jest też tak, że jeśli nie poszedłem na „marsz biały", to jestem za zabijaniem dzieci. Te pierwsze to wcale nie były żadne „marsze śmierci", te drugie – triumfalne pochody przemocowych katolickich bigotów. Jestem pewien, że w większości jednym i drugim chodziło o to samo: żeby na świecie było mniej, a nie więcej cierpienia.

Niestety: prawdopodobnie nigdy się nie spotkają. Która to już moja wojna okołoaborcyjna? Przy dwunastej też wszystko będzie podobnie. Znowu jedni wyjdą na ulicę ze zdjęciami rozszarpanych szczątków, inni z wieszakami. Znowu aborcja wejdzie do kanonu imieninowych tematów, znowu ktoś będzie rozdzierał nie swoje szaty w internecie. Czy jest wyjście z tego pata?

Jest. Wymagające najpierw zmiany myślenia o przeciwnej stronie sporu. Obóz *pro-choice* powinien wreszcie pogodzić się z tym, że są w tym kraju ludzie (np. ja), którzy sądzą, że aborcja nie jest wyłączną sprawą kobiety, ponieważ jest w nią włączone jako podmiot również dziecko. Bo dla nas to nie jest „płód", tylko „dziecko". Dla jednych z nas – z powodów metafizycznych, dla innych – z czysto racjonalnych. Bo coś nie gra w koncepcji, że na minutę przed końcem 11. tygodnia to jeszcze nie jest człowiek, a minutę po już tak (a jeśli mówimy o kimś z zespołem Downa, to jest to jeszcze dwa tygodnie później). A co, jeśli nieprecyzyjnie wyznaczyliśmy początek ciąży? Trzeba się zdecydować: albo aborcja jest dopuszczalna do porodu i możemy sobie wyznaczać arbitralne progi „hominizacji", np. uznać, że „płód" staje się człowiekiem, gdy po raz pierwszy pokaże buźkę na USG, albo należy powiedzieć: aborcja nigdy nie jest OK i basta.

Mają ludzie prawo do takich przekonań? Mają. Darcie się na nich: „ręce precz od mojej macicy" – nie rozwinie dialogu. Co innego, gdy postawi się im kwestię tak: uważacie, jak uważacie, więc aborcji sobie nigdy nie róbcie. Nie wszyscy jednak w tym państwie myślą tak jak wy, dlatego my chcemy postępować w nim zgodnie ze swoimi przekonaniami.

I tu otwiera się realne, ambitne wyzwanie dla obozu *pro-life*. Jedyne, co mogłoby posunąć tu sprawy do przodu, to rozbicie tej chorej antynomii: „my walczymy o kobiety" *versus* „my walczymy o dzieci". Pokazanie, że wiemy, jak praktycznie, a nie tylko werbalnie, walczyć i o kobiety, i o dzieci.

Oczywiście chciałbym, żeby nie było ani jednego przypadku aborcji dziecka z zespołem Downa czy Turnera. Pracuję z dziećmi, które w świetle prawa mogły zakończyć życie na etapie ciąży. Rozmawiałem z genetykami, neonatologami, rodzicami dzieci, u których rozpoznano wady letalne, stąd wnoszę, że nie istnieje ludzkie życie niewarte tego, by się urodzić. Życie śmiertelnie chorego dziecka wcale nie musi – przy dzisiejszej medycynie – być oceanem cierpienia. Problem przecież nigdy nie jest w tym, że rodzice marzą o śmierci ciężko chorych dzieci, ale w tym, że przyjęcie takiego życia może być ponad czyjeś siły.

W sprawę włączył się także mój Kościół, oficjalnie uznając projekt legislacyjny jednej z organizacji za swój, a następnie „pilotując" go w Sejmie. Rozumiem, że zdaniem biskupów (oraz 830 tys. moich współbraci) ta metoda jest właściwa. Mam inne zdanie. Takie oto, że jedynym projektem, jaki chciałbym widzieć tak gorąco nadzorowanym, winien być projekt budowlany. Kolejnego domu dla matek i dzieci, których urodzenia owe matki się podjęły, ale trud wychowania jest dla nich po prostu nad miarę.

Kościół to w Polsce największa po państwie instytucja wspierająca ludzi w kryzysach. O tym trzeba mówić ludziom, do tego wciągać, a nie przeć na pomieszanie porządku konfesjonału z porządkiem komendy rejonowej. Nawet najbardziej szczytny cel nie jest wart przejścia z piętra, na którym zawsze najważniejszy jest – tak czy siak myślący – człowiek, na piętro, na którym robi się wielkie systemowe ruchy i politykę. Gdzie panuje logika „ofiary muszą być". Bo teraz tak czy siak one będą.

Nie wiem, ile dzieci uda się uratować tą legislacyjną zmianą, wyraźnie już widać, w ilu ludziach ta zmiana zabije inny rodzaj życia: więź z Kościołem. To już nie czasy, gdy wystarczyło, że biskup zaapeluje do cesarza, cesarz zarządzi, a lud pokłoni się i „kupi". Dziś, gdy chce się ludziom mówić: „my wam powiemy, co macie robić" bez powiedzenia najpierw: „pomożemy wam robić tak, jak wypada robić" – to już lepiej nic nie mówić.

Kościół zrzesza przecież i tych z czarnych marszów, i tych z białych, i tę większość, która nie była ani tu, ani tu. Powtórzę: wszystkim nam chodzi o to samo, o mniej cierpienia. Zacznijmy więc od komunikatu: nie jesteśmy teoretykami noszenia nawzajem swoich brzemion i „konsekwentnej etyki życia"; zobaczcie, zdzieramy sobie nie tylko gardło, ale i ręce, i kieszenie w walce z karą śmierci, głodem, odczłowieczeniem z powodu ubóstwa, koloru skóry, chorego stosunku do środowiska, chorej gospodarki.

Dołączcie do nas, ale nie malujmy transparentów, bo nimi się jeszcze nikt nie najadł (podobnie jak tym, że „biskupi polscy wyrażają troskę"). Pokażmy, jak wygląda prawdziwa wspólnota, która zawsze jest tak silna, jak jej najsłabszy członek. Wyciągnijmy praktyczne wnioski z raportu Uniwersytetu Papieskiego JPII, który alarmuje o dyskryminacji osób z zespołem Downa przez urzędników, nauczycieli i duszpasterzy (*sic*!). Czytam, że dominikanki z Broniszewic nie mają na wykończenie domu dla chłopców, którzy urodzili się z ciężkimi zespołami niepełnosprawności. Natychmiast kończymy im ten remont! Stawiamy następne domy. Robimy spójny program, zatrudniamy fachowców nie tylko od pomocy duchowej (bo nie tylko wierzący cierpią), ale i logistycznej. Rozwijamy sieć hospicjów perinatalnych. To głos Episkopatu, na który czekam: nic nie jest dla nas tak ważne, jak to, by i dzieci, i kobiety, i mężczyźni cierpieli od dzisiaj mniej. Nie wkładamy na ludzi ciężarów palcem ich nie dotykając.

Wygramy, gdy nasz program *pro-life* zacznie się ludziom kojarzyć ze zdaniem: „dbają o życie naprawdę pomagając je przyjąć", a nie z: „umieją skutecznie zakazać nieprzyjmowania". Chcemy oczekiwać od ludzi heroizmu? Najpierw upewnijmy się, że stworzyliśmy im do tego warunki. ©

# BRUTALNY I ELASTYCZNY

„Ojczyzna jest jedna”
– tak Viktor Orbán zatytułował kiedyś swoją książkę.
Ale gdy zdobył władzę, wykluczył z ojczyzny
wszystkich swych przeciwników.
Wkrótce znów wygra wybory.

DOMINIK HÉJJ Z BUDAPESZTU I VESZPRÉM

Stawka wyborów parlamentarnych, które w niedzielę 8 kwietnia odbędą się na Węgrzech, jest znacznie wyższa, niż mogłoby się wydawać. Ponowne zwycięstwo rządzącej koalicji Fideszu i Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej (KNDP) jest pewne. Otwarte – i kluczowe – pozostaje natomiast pytanie, jak dużą większość uda się jej uzyskać w 199-osobowym Zgromadzeniu Narodowym.

Gdyby opozycja była sprawna i zorganizowana, możliwe byłoby niedopuszczenie do sytuacji, w której Orbán miałby większość 133 mandatów – pozwalającą na samodzielne zmiany konstytucji (w tej chwili jego koalicja posiada 131 mandatów). Plany opozycji były więc ambitne, padały deklaracje wspólnego startu. Tymczasem wyszło jak zwykle.

### Opozycyjny rozgardiasz

Wydawało się, że będzie to niespotykane w najnowszej historii Węgier porozumienie, w którym pod wspólnym szyldem staną ugrupowania od lewicowej Węgierskiej Partii Socjalistycznej (MSZP) przez Koalicję Demokratyczną (DK) byłego premiera Ferenca Gyurcsányego poprzez „języczek u wagi", jakim jest balansująca na granicy progu Polityka Może Być Inna (LMP), aż po określany mianem skrajnej prawicy Jobbik. Tymczasem w przeddzień wyborów mamy koalicję opozycyjną złożoną tylko z trzech formacji: MSZP, DK i małej partii Párbeszéd (czyli Dialog; to rozłamowcy z LMP).

Węgierski system wyborczy ma charakter mieszany. Spośród 199 posłów 106 wybieranych jest w okręgach jednomandatowych, a pozostałych 93 z listy krajowej w taki sposób, jak podczas wyborów do polskiego Sejmu. Pierwotny plan zakładał jeśli nie wielką koalicję w stylu „wszyscy przeciw Fideszowi", to szeroką współpracę w okręgach jednomandatowych. To w nich w 2014 r. aż w 96 okręgach wygrali kandydaci koalicji Fidesz-KDNP.

Zgodnie z ordynacją, aby jakaś partia mogła mieć listę krajową, musi wystawić – w przynajmniej dziewięciu komitetach (województwach) i w stolicy – łącznie 27 kandydatów w okręgach jednomandatowych. Planowano więc, aby taktycznie, tuż przed wyborami, kandydaci opozycyjni z okręgów wycofywali się, popierając tego, który miałby największe szanse w starciu z kontrkandydatem koalicji rządowej. Sympatycy opozycji głosowaliby wtedy na najsilniejszego kandydata, a swe preferencje partyjne wyrażali na liście krajowej (tu głosuje się na partię, a nie osobę). Ale w styczniu Narodowa Komisja Wyborcza zdecydowała – doprecyzowując interpretację ordynacji – że takie współdziałanie nie jest możliwe.

### Lekcja nieodrobiona

W zasadzie tym, co łączy opozycję, jest wspólny plakat kampanii... Fideszu. Liderzy partii opozycyjnych zostali przedstawieni na nim w towarzystwie amerykańskiego miliardera i filantropa George'a Sorosa. Autor plakatu przedstawił ich, jak stoją przy zniszczonym ogrodzeniu, symbolizującym 175-kilometrowy płot antymigracyjny na granicy z Serbią, w dłoniach trzymając nożyce do cięcia drutu. Całość wieńczą napisy: „Oni chcą obalenia płotu" lub (w drugiej wersji) „Powstrzymajmy kandydatów Sorosa" (Orbán twierdzi, że istotą tych wyborów nie jest pokonanie „małych partyjek", tylko potężnej „sieci Sorosa").

Wracając do taktyki opozycji: dodatkowym impulsem dla złączenia jej sił miała być wygrana niezależnego kandydata na burmistrza 50-tysięcznego miasta Hódmezővásárhely. Péter Márki-Zay zwyciężył tam ze znaczną przewagą i przy wysokiej frekwencji – choć nikt nie dawał mu szans, jako że murowanym zwycięzcą wydawał się namaszczony przez Orbána kandydat Fideszu. Dziś Márki-Zay występuje na wiecach i mówi o „powiewie zmian". Ale choć przemawia poetycko, to kreowany przezeń obraz zjednoczenia narodu przeciw Fideszowi nie znajduje odzwierciedlenia w rzeczywistości.

Opozycja nie odrobiła lekcji z wyborów w 2014 r., gdy dopiero pod koniec kampanii partie lewicowe zjednoczyły się w bloku Összefogás 2014 (Razem 2014) i osiągnęły fatalny rezultat. Dziś w mediach wciąż słyszymy o możliwych sojuszach, ale wyborcy są coraz bardziej zdezorientowani. Liderzy opozycji nie dostrzegli, że to nie oni rozdają karty, nie oni narzucają dyskurs, że są zaledwie jego echem – głównie w kwestii imigracyjnej. Jakby nie zauważyli, że system wyborczy stworzony jest tak, że nie ma w nim miejsca na personalne animozje i rywalizację o to, kto jest najważniejszy.

Rywalizacja programowa ogranicza się w zasadzie do kwestii wewnętrznych. Punktem zaczepienia oferty szeroko rozumianej opozycji jest zapowiedź zmiany systemowej, odejścia od „systemu Orbána", ukarania winnych afer korupcyjnych (wydano „czarną księgę" punktującą niechlubne przypadki), podniesienia poziomu służby zdrowia i edukacji oraz powstrzymania masowej emigracji młodych Węgrów.

Największym problemem dla opozycji było określenie się wobec kryzysu migracyjnego. Nikt nie odważył się postulować rozebrania płotu na południowej granicy. Na wyobraźnię Węgrów nadal oddziałuje wspomnienie setek tysięcy ludzi, którzy przewinęli się przez kraj w 2015 r., w tym kilkudziesięciu tysięcy koczujących wokół dworców w stolicy.

### Większość, ale jaka?

Tymczasem wydawać by się mogło, że rządzący osiem lat Fidesz osiągnął już wszystko, co był w stanie osiągnąć.

Sięgnijmy na moment do 2015 r., do dwóch miast blisko Balatonu: Veszprém i Tapolca. Odbyły się tu wówczas wybory uzupełniające, w związku ze śmiercią posła z Tapolcy i odejściem posła z Veszprém na stanowisko komisarza w Brukseli. W obu przypadkach wygrali kandydaci opozycji: jeden niezależny (kojarzony z lewicą), drugi z Jobbiku.

Orbán utracił tym samym większość konstytucyjną (bo w wyborach parlamentarnych w 2014 r. jego koalicja zdobyła dokładnie 133 mandaty). Premier w wywiadach uspokajał, że nie jest ona do niczego potrzebna. Ale, jak pokazała praktyka, co najmniej w dwóch przypadkach jej brak okazał się dla niego przeszkodą. Najpierw w listopadzie 2016 r. – wtedy w sprawie zmian w konstytucji uniemożliwiających wprowadzenie mechanizmu relokacji uchodźców (co miało być realizacją obietnicy Fideszu po referendum z października 2016 r.). Potem, przed kilkoma miesiącami, gdy próbowano zmienić ustawę o partiach politycznych.

Stawka jest dziś wysoka. A konstytucyjna większość służy na Węgrzech nie tylko do tego, by uchwalić nową konstytucję. Jest niezbędna także przy uchwalaniu ustaw dotyczących różnych działów państwa, tzw. ustaw kardynalnych, do których zalicza się ustawa o partiach. Ich geneza sięga porozumień Trójkątnego Stołu, w czasie którego ustalono zasady przejścia od komunizmu do demokracji. Obecnie jest 31 ustaw kardynalnych, a ich ↦

*Premier Węgier Viktor Orbán, 2015 r.*

PHILIPP HORAK / ANZENBERGER / FORUM

↦ liczba znacząco wzrosła po 2010 r., za rządów Orbána.

Ich waga jest nie do przecenienia, bo gdyby Fidesz kiedyś przegrał wybory, to żeby zmienić system, jego przeciwnicy musieliby uzyskać właśnie większość konstytucyjną. Inaczej „system Orbána" będzie trwać nawet mimo przegranej Fideszu.

### Kampania najbrutalniejsza

No i wreszcie: większość konstytucyjna jest gwarantem dalszego istnienia owego systemu, zbudowanego przez Orbána. W najbliższych czterech latach (2018-22) dobiegną bowiem końca kadencje szefów kilku istotnych dla tego systemu urzędów – takich jak przewodniczącego Krajowego Biura Sądownictwa (sprawuje praktycznie jedynowładztwo nad sądami), sędziów Sądu Konstytucyjnego czy przewodniczącego Rady Mediów Narodowych.

Bez posiadania konstytucyjnej większości koalicja Orbána nie będzie w stanie dalej realizować swojej wizji państwa konsekwentnie i skutecznie. Będzie zmuszona do szukania doraźnych koalicjantów, a to może oznaczać konieczność ustępstw na rzecz potencjalnych partnerów – bądź paraliż instytucjonalny państwa. Tak było w przypadku nieobsadzenia przez kilka miesięcy wakatów w Sądzie Konstytucyjnym.

Dalej: Fidesz forsuje dziś pakiet ustaw, który ma uniemożliwić wspieranie nielegalnej imigracji przez organizacje pozarządowe. Projekt jest już w parlamencie. Uchwalenie ustawy, która jest osią tego projektu, wymaga większości dwóch trzecich, której Orbán nie ma. Głosowanie nad nią odbędzie się zapewne już po sformowaniu nowego parlamentu.

Koalicja rządowa rzuciła więc na pokład wszystkie ręce, aby przekonać do siebie wyborców. Nie ma dnia, żeby premier nie jechał w teren, by wspierać lokalnych kandydatów. Do kampanii zaprzęgnięto państwowe media, które publikują materiały mające dyskredytować przeciwników Orbána. Głównie Jobbik, któremu zarzuca się... proislamskie nastawienie (np. doszukując się w partyjnym logo analogii do tureckich symboli narodowych).

Pod względem retorycznym to najbrutalniejsza jak dotąd kampania. Premier mówi, że gdy znów wygra, będzie miał moralne prawo do odwetu na politycznych przeciwnikach. Ci z kolei deklarują, że kiedyś poślą Orbána do więzienia.

**Aby „system Orbána" funkcjonował skutecznie,** premier musi zdobyć większość konstytucyjną. Z kolei żeby zdemontować ten system, taką większość musi zdobyć (kiedyś) opozycja.

Tymczasem z sondaży wynika, że nawet 40 proc. elektoratu nadal nie wie, na kogo oddać głos lub nie chce brać udziału w wyborach. Zresztą frekwencja, choć wyższa niż w Polsce, od lat systematycznie spada. Sytuacji nie ułatwia fakt, że na karcie do głosowania będą aż 23 ugrupowania. Wiele utworzono w ostatnich miesiącach. Mnożą się doniesienia, że przy rejestracji kilku list doszło do nieprawidłowości, ale Komisja Wyborcza nie reaguje.

### Wobec Brukseli i Putina

Co czeka Węgry po tych wyborach? Zapewne możemy się spodziewać „odwilży", także retorycznej – choć nie od razu, lecz stopniowo. Przy czym politykę zagraniczną zdominują sprawy europejskie: negocjacje nowego budżetu Unii, brexit czy kwestia praworządności na Węgrzech (komisja Parlamentu Europejskiego przełożyła procedowanie w tej kwestii z marca na powyborczy czwartek – to ukłon w stronę Budapesztu).

Bruksela wydaje się dochodzić też do przekonania, że koniec końców Węgry poprą rozdzielnik uchodźców, jeśli tylko będą mogli wybrać, kogo zechcą przyjąć. Podstawą do takiego przypuszczenia jest retoryczna ekwilibrystyka Orbána. Wprawdzie premier powtarza, że Węgry nie poprą niczego, „co zwie się kwotami", i przy tej okazji mówi o imigrantach czy „hordach najeźdźców" – ale, uwaga, nie używa określenia „uchodźcy". Zadeklarował nawet, że Węgry być może wezmą udział w tworzeniu mechanizmu relokacji uchodźców. To niby językowe niuanse, na koniec jednak mogą okazać się kluczowe.

Skąd taka elastyczność? Węgry chcą mieć mocny głos podczas negocjacji budżetowych i podczas dyskusji o instytucjonalnej reformie Unii. Zapewne będą zabiegały też o poprawę relacji z USA, które nie są dobre. Po wyborach najpewniej dojdzie również do wyczekiwanej wizyty Władimira Putina na Węgrzech, w czasie której oficjalnie zacznie się budowa nowych reaktorów w elektrowni atomowej w Paks (stawia je rosyjska firma).

Być może wówczas poznamy też szczegóły nowej umowy gazowej z Rosją, która da odpowiedź, czy Węgrzy dywersyfikację źródeł energii pojmują tak jak Polska lub Rumunia – czy też jedynie markują zainteresowanie polskimi inicjatywami, aby wynegocjować lepsze warunki od Rosji.

### Pamięć i przyszłość

Nie bez znaczenia jest i to, że w 2020 r. przypada setna rocznica traktatu z Trianon. Podpisany przez zwycięzców I wojny światowej i państwo węgierskie (potraktowane osobno, jako autonomiczna część przegranych Austro-Węgier), do dziś postrzegany jest przez Węgrów jako jeden z najważniejszych momentów w XX wieku. Runęła wtedy potęga Wielkich Węgier, dwie trzecie ludności z 1914 r. znalazło się poza terytorium państwa, okrojonego o 70 proc. powierzchni. Ogromna mniejszość węgierska miała odtąd zamieszkiwać Rumunię (Siedmiogród), a także Słowację.

Mit Wielkich Węgier wciąż jest żywy, szczególnie po 2010 r. Budowanie tożsamości na podstawie pamięci o dawnej potędze można obserwować na każdym kroku. W przemówieniu, wygłoszonym w 170. rocznicę wybuchu Wiosny Ludów, Orbán przyrównał kryzys migracyjny do Trianon. Można zaryzykować tezę, że w 2020 r. owa „tożsamość potrianońska" osiągnie apogeum (trudne jeszcze do zdefiniowania).

Wyzwania, z którymi w najbliższej kadencji zmierzy się rząd Viktora Orbána, będą więc najpoważniejsze od lat. Tu nie wystarczy zwykła większość i samodzielne rządy. Jeśli „system" ma funkcjonować, koalicja Fidesz-KNDP musi uzyskać większość konstytucyjną.

Będzie to trzecia z rzędu wygrana Orbána. Widać, że władza kosztuje go wiele zdrowia. Zapowiadają się więc też cztery lata, podczas których będzie on zapewne zastanawiał się nad spadkobiercami swego dzieła. A także nad kolejnymi przekształceniami, które pozwoliłyby na dalsze rządy po roku 2022. © DOMINIK HÉJJ

*Autor jest politologiem, redaktorem naczelnym portalu www.kropka.hu poświęconego węgierskiej polityce.*

*Na moście Tower Bridge w Londynie, 25 grudnia 2017 r.*

EACHAT / ISTOCK / GETTY IMAGES

# Ministerstwo samotności

PATRYCJA BUKALSKA

**Brytyjczycy są bardzo samotni. Skala zjawiska jest tak duża – chodzi o 9 mln obywateli – że problemem oficjalnie zajmuje się rząd.**

Samotność trudno zmierzyć, trudno określić jej natężenie w jakiejś statystyce. W badaniach dotyczących szczęścia, zadowolenia ze związków czy innych wskaźników dobrego życia Brytyjczycy – w porównaniu z innymi europejskimi nacjami – nie wypadają ani najgorzej, ani najlepiej. Jeśli np. chodzi o ogólne zadowolenie z życia, to w 2014 r. na skali od zera (oznaczającego, mówiąc umownie, niezadowolenie całkowite) aż do dziesięciu (szczęście absolutne) Brytyjczycy ocenili je przeciętnie na „mocne 6,8". To trochę więcej niż średnia w krajach Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD).

Zarazem ci sami Brytyjczycy okazują się bardziej samotni niż większość nacji z europejskiego kontynentu. Kilka lat temu przeprowadzono badania, z których wynika, że Brytyjczycy nie bardzo mają kogoś bliskiego, na kim mogą się oprzeć (gorzej wyglądało to tylko u Francuzów i Duńczyków; za to u Słowaków niemal idealnie). Słabsze są też u nich więzi sąsiedzkie (jeśli chodzi o sąsiadów, gorzej wypadli tylko Niemcy). „Brytania to europejska stolica samotności" – alarmował w 2014 r. Office for National Statistics, urząd statystyczny.

Postanowiono więc przyjrzeć się sprawie dokładniej i pod koniec 2017 r. opublikowano raport. Okazuje się, że ponad 9 mln Brytyjczyków jest zawsze lub często samotnych. To więcej niż liczy populacja Londynu. I choć samotność to sprawa subiektywna, widać, że przekłada się na problemy zdrowotne obywateli. A to z kolei oznacza dla państwa koszty.

Stąd decyzja rządu, aby sprawą zająć się poważnie i systemowo.

### Wyzwanie pokoleniowe

„Panią minister do spraw samotności" została w styczniu tego roku Tracey Crouch, podsekretarz stanu ds. sportu i społeczeństwa obywatelskiego. Wcześniej problemem samotności zajmowała się Jo Cox, posłanka Partii Pracy. „Nie będę mieszkać w kraju, gdzie tysiące ludzi żyją samotnym życiem, zapomniani przez resztę z nas" – mówiła z determinacją.

Jo Cox została zamordowana w 2016 r., w drodze na spotkanie z wyborcami podczas kampanii poprzedzającej referendum ws. brexitu (śledztwo wykazało, że sprawca, mający poglądy skrajnie prawicowe, działał w pojedynkę). Po jej śmierci międzypartyjna komisja kontynuowała jej pracę i kilka miesięcy temu zaprezentowała raport.

„Dla zdecydowanie zbyt wielu ludzi samotność jest smutną rzeczywistością nowoczesnego życia" – stwierdziła premier Theresa May i jak na rządowe standardy zareagowała bardzo szybko, delegując na front walki z samotnością właśnie Tracey Crouch.

Crouch jest młodą polityczką, ma niewiele ponad 40 lat, ale spore już doświadczenie w pracy parlamentarnej i ministerialnej. Potrafi też iść pod prąd i głosować inaczej niż jej partyjni koledzy oraz koleżanki. Jest przeciwniczką polowań na lisy (ich zakaz zamierzała znieść premier May) i popiera małżeństwa osób tej samej płci. Jest też pierwszą panią minister z Partii Konserwatywnej, która w 2016 r., po urodzeniu dziecka, po prostu poszła na urlop macierzyński (potem jej partner wziął ↦

↦ urlop tacierzyński). „Co roku dziesiątki tysięcy pracujących zawodowo kobiet rodzi dzieci. Poradzę sobie z macierzyństwem tak jak każda kobieta" – mówiła wtedy.

Raport w sprawie samotności opracowywała wspomniana międzypartyjna komisja, którą kierowały dwie kobiety: Seema Kennedy z Partii Konserwatywnej i Rachel Reeves z Partii Pracy. Teraz pałeczkę przejęła konserwatystka Crouch (a to, że konserwatystka z niej trochę nietypowa, może jej w tej pracy chyba tylko pomóc). Zapowiada, że nad tym „pokoleniowym wyzwaniem" będzie chciała pracować w poprzek podziałów partyjnych.

Wyzwanie nie jest łatwe, ale szlak został już przetarty przez Jo Cox.

### Gorsza niż papierosy

Z raportu Komisji Jo Cox (bo tak nazwano ów ponadpartyjny zespół, aby uczcić pamięć zamordowanej) wynika, że samotnych jest – jak już wspomniano – 9 mln dorosłych Brytyjczyków.

Samotność ta ma różne oblicza. Okazuje się, że 200 tys. starszych ludzi nie rozmawiało z nikim dłużej niż przez miesiąc (*sic*!). Z kolei dla 3,6 mln Brytyjczyków po 65. roku życia to telewizor jest głównym towarzyszem.

Ale choć samotność kojarzy się właśnie z osobami starszymi – mieszkającymi z dala od rodziny, niewychodzącymi z domu – jest to problem także ludzi młodych. I tak, ponad 40 proc. ludzi młodych między 17. a 25. rokiem życia, korzystających ze wsparcia organizacji Action for Children, jest samotnych. Dla 58 proc. imigrantów i uchodźców w Londynie to właśnie samotność jest największym wyzwaniem. Samotności doświadczyło też ponad 50 proc. rodziców. Trzech na czterech lekarzy pierwszego kontaktu mówi, że każdego dnia przyjmuje pacjentów, którzy przyszli tylko dlatego, że czują się samotni.

Lista kategorii osób dotkniętych samotnością, wyszczególniona przez twórców raportu, jest więc długa: młode matki, dzieci, niepełnosprawni, imigranci czy osoby na stałe opiekujące się bliskimi. Wśród tych ostatnich aż ośmiu na dziesięciu czuje się samotnymi.

Tymczasem życie w poczuciu samotności ma konsekwencje fizyczne, psychiczne i emocjonalne. Uważa się, że bycie samotnym może zwiększać ryzyko zachorowania na choroby serca, cukrzycę czy artretyzm, często prowadzi do niepokoju i bezsenności (choć akurat jeśli chodzi o sen, działa to też w drugą stronę – tzn. bardziej prawdopodobne jest, że samotna będzie osoba śpiąca zaledwie 3-5 godzin na dobę niż ta śpiąca dłużej).

„Udowodniono, że samotność jest dla zdrowia gorsza niż wypalenie 15 papierosów dziennie" – stwierdził Mark Robinson z Age UK, brytyjskiej organizacji charytatywnej pracującej z ludźmi starszymi. To właśnie na osobach starszych samotność wydaje się najbardziej odbijać i może nawet przyczynić się do śmierci.

### Męskie warsztaty i wielki lunch

Z definicją samotności jest zresztą pewien kłopot. Jako samotne deklarowały się nieraz osoby żyjące w stałych związkach, mające rodziny. Z kolei jako nieodczuwające zupełnie samotności – osoby, które mieszkają same. Najbardziej ogólnie można by powiedzieć, że samotność to poczucie izolacji oraz braku przynależności lub braku towarzystwa. Co ważne, wbrew obiegowym opiniom samotność nie jest tożsama z depresją (choć może zwiększać jej ryzyko).

Jak zatem problem samotności rozwiązać? Współpracownicy Jo Cox powtarzają za nią: „rozmowa za rozmową", czyli krok za krokiem. Trzeba od czegoś zacząć. Choćby porozmawiać z sąsiadem. W pracy nad raportem wspierało ich i udostępniało dane 13 organizacji charytatywnych. One zaczęły działać już wcześniej.

I tak, projekt Big Lunch (Wielki Lunch) polega na organizowaniu na ulicy sąsiedzkich spotkań – odbywają się co roku w pierwszą niedzielę czerwca. W ubiegłym roku wielki lunch zjadło razem ponad 9 mln ludzi w całej Wielkiej Brytanii.

Jednym z najbardziej samotnych miast w kraju jest 35-tysięczne Blyth (problemem tym dotknięta jest zresztą spora część hrabstwa Northumberland, gdzie leży Blyth). W tym mieście uruchomiono więc program Connecting Communities (Łącząc Społeczności), do którego mogą zwrócić się osoby samotne – po radę i może coś więcej. Tym czymś okazała się zarośnięta działka, którą wspólnymi siłami zamieniono w warzywny ogród komunalny. Ważne było nie tylko poinformowanie samotnych ludzi o takim projekcie, ale też podbudowanie ich i wsparcie emocjonalne – przekonanie ich, że dadzą radę.

W tym roku planowana jest wielka kampania społeczna, mająca zwrócić uwagę na problem samotności. Wciąż jeszcze jest to bowiem swego rodzaju tabu. Łatwiej przyznać się do jakichś fizycznych dolegliwości i problemów, niż powiedzieć: „Jestem samotny/samotna". Jak wynika z raportu komisji, szczególnie trudne jest to dla mężczyzn – więcej niż jeden na dziesięciu ankietowanych deklarował, że jest samotny, ale nie odważyłby się do tego nikomu przyznać.

Na mężczyznach koncentruje się jedna z organizacji, Men's Sheds (Męskie Szopy lub w bardziej swobodnym przekładzie: Męskie Warsztaty). W tym projekcie mężczyźni, szczególnie ci już na emeryturze, mogą wspólnie pracować w drewnie, majsterkując, a jednocześnie po prostu będąc razem.

### Strategia na przyszłość

Wyznaczenie minister do spraw samotności było jedną z rekomendacji, sformułowanych przez Komisję Jo Cox. W tym roku zostanie także opublikowana rządowa strategia walki z samotnością, oparta na współpracy władz centralnych i lokalnych, służb publicznych i wolontariuszy. Biuro statystyczne ma zaś opracować odpowiednie wskaźniki samotności, tak aby kwestia ta była uwzględniana w kolejnych badaniach (obecne dane pochodzą z różnych badań, prowadzonych różnymi metodami). No i oczywiście pieniądze – na zwalczanie zjawiska samotności mają znaleźć się dodatkowe środki.

Może Wielka Brytania i jest europejską stolicą samotności, ale to uczucie nie jest czymś charakterystycznym tylko dla Brytyjczyków (choć brexit i ich chęć odcięcia się od Europy mogą prowokować tu do pewnych złośliwości).

Nie dlatego też Brytyjczycy mają swoją minister od samotności, że potrzebują jej bardziej niż inni, lecz dlatego, że tu uznano, iż samotność to realny problem naszych czasów i wymaga skoordynowanego działania. Być może w ślady Brytyjczyków powinny też pójść kolejne kraje.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**PATRYCJA BUKALSKA** będzie gościem Pawła Sulika w audycji Popołudnie radia TOK FM w środę 4 kwietnia o godz. 15.40

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

# Egipt–Etiopia: wojna o wodę

WOJCIECH JAGIELSKI Z ASUANU (EGIPT)

**Dwa afrykańskie mocarstwa spierają się o dostęp do Nilu. Bez jego wody Egipt umrze z pragnienia. Tymczasem Etiopia, gdzie Nil ma swoje źródła, chce przegrodzić go wielką tamą i zbudować największą w Afryce elektrownię wodną.**

Od początku istnienia Egiptu, czyli od co najmniej ośmiu tysięcy lat, wody Nilu były dla tego kraju i jego mieszkańców sprawą życia lub śmierci. „Egipt jest darem Nilu" – tak o egipskim państwie mawiali ponoć jego starożytni władcy, faraonowie. Tak pisał o nim grecki historyk Herodot. Bo też niemal całą potrzebną mu wodę zawsze zapewniał Egiptowi – Nil.

W starożytnych czasach czczono go w Egipcie jako bóstwo. Ale również współcześnie rzeka traktowana jest jak świętość. Za rzucony w telewizji żart o brudnych wodach Nilu egipska piosenkarka Szerin Abdel Wahab została skazana na sześć miesięcy więzienia. Artystka odwołała się od wyroku, złożyła publiczną samokrytykę i teraz liczy, że kara zostanie zamieniona na grzywnę...

### Układy, targi, spory

Powołując się na historyczne prawa do Nilu, kolejni władcy Egiptu – począwszy od faraonów po czasy panowania Arabów, Persów, Turków i Brytyjczyków – starannie pilnowali, aby nikt nie zagroził ich dominacji na rzece.

Żegnając się w 1922 r. z Egiptem jako kolonią, Brytyjczycy podarowali na odchodne (w 1929 r.) układ, przyznający Egipcjanom dwie trzecie wody Nilu. Pozostałą jedną trzecią musiał zadowolić się Sudan – wtedy wciąż brytyjski (układ ten został potwierdzony w 1959 r., gdy Sudan był już niepodległym państwem).

Etiopię w tych targach sprzed niemal stu lat zupełnie pominięto. Inne kraje z basenu Nilu – Kongo-Kinszasa, Kenia, Uganda, Tanzania, Burundi, Rwanda i Południowy Sudan – nie istniały wówczas jeszcze jako niepodległe państwa.

*Sprzedaż towarów pasażerom statku po Nilu. Esna, Egipt, 2006 r.*

P.M. LOURO / ISTOCK / GETTY IMAGES

↦ W 2010 r. w wyniku starań Etiopii, ale także Ugandy i Kenii (ich liczba ludności wzrosła od niepodległości czterokrotnie), państwa basenu Nilu podpisały własną umowę o „zgodnym wykorzystywaniu wód" liczącej prawie 7 tys. km rzeki (najdłuższej w Afryce i, jak twierdzą niektórzy, może najdłuższej na świecie; konkurentką Nilu w tym sporze jest Amazonka).

Postanowiono wtedy, z grubsza biorąc, że tak jak żaden kraj nie ma wyłącznego prawa do Nilu (zakwestionowano tym samym prawo weta, jakie uzurpował sobie Egipt w każdej sprawie dotyczącej rzeki), tak żaden nie może korzystać z jego wód ze szkodą dla innych.

Egipt, podobnie jak Sudan, do nowego układu nie przystąpił, a dalsze negocjacje doprowadziły do ogólnego wyrzeczenia się działań na szkodę innych. Ale trudne szczegóły pominięto, nie chcąc pogłębiać różnic i prowokować zbrojnych konfliktów. A właśnie z nich, ze szczegółów, wziął się poniekąd dzisiejszy egipski kłopot z etiopską tamą.

### Koszmarny sen Egipcjan

Gdy tylko pojawiły się takie możliwości techniczne, dla kolejnych przywódców z Kairu sama wizja, że obce państwo przegrodzi rzekę w jej górnym biegu, oraz że – mając w ręku możliwość regulowania poziomu rzeki – może odciąć Egipt od potrzebnej mu wody, była jednoznaczna ze śmiertelnym zagrożeniem dla egzystencji państwa. Wizją niemal jego zagłady, koszmarem straszniejszym od wszystkich plag, jakie wedle Biblii spadły kiedyś na państwo faraonów.

Wojskowi dyktatorzy Gamal Abdel Naser (rządził w latach 1954-70), Anwar Sadat (1970-81) i Hosni Mubarak (1981–2011) grozili wprost, że każdą próbę pozbawienia Egiptu wód Nilu traktować będą jako wypowiedzenie wojny. Obalony w wyniku Arabskiej Wiosny Mubarak przechwalał się niedawno (będąc na politycznej emeryturze), że gdyby nadal był prezydentem, etiopską zaporę na Nilu kazałby natychmiast zbombardować.

Następca Mubaraka, przedstawiciel Bractwa Muzułmańskiego Mohammed Mursi – jedyny współczesny przywódca Egiptu wybrany w wolnych wyborach, w 2012 r. – zanim po roku został obalony w wojskowym zamachu stanu, straszył Etiopię, iż ta zapłaci krwią „za każdą kroplę skradzioną z Nilu". Marszałek Abdel Fattah el-Sissi, który w 2013 r. kierował puczem przeciw Mursiemu i rządzi w Kairze do dziś jako prezydent, nie groził Etiopczykom wojną. Ale podczas pojednawczych wizyt w Addis Abebie powtarzał, że etiopscy gospodarze muszą pamiętać, iż Egipt nie może liczyć na deszcze i jedynym jego źródłem wody jest Nil.

„Bez Nilu Egipt żyć nie może, dlatego tama na rzece jest dla nas sprawą życia lub śmierci" – powtarza Sissi również teraz, zmartwiony prognozami znawców demografii i klimatu. Przepowiadają oni, że w 2025 r. liczba ludności Egiptu przekroczy 130 mln – i że dla tylu ludzi może zabraknąć wody niezależnie od tego, czy ktoś przegrodzi Nil, czy też nie.

### Symbol etiopskiego odrodzenia

Ale dla Etiopii tama na Nilu też jest sprawą życia lub śmierci. A także urażonej dumy narodowej. Etiopia, już w czasach starożytnych będąca królestwem, od dawna czuje się lekceważona przez Egipt.

W latach 70. i 80. XX w., gdy cierpiała z powodu wojny domowej, biedy i komunistycznej tyranii, pogodzona z losem nie myślała o konkurencji z Kairem. Sytuacja zmieniła się pod koniec stulecia, kiedy po obaleniu dyktatury pułkownika Mengistu Hajle Mariama nastał pokój, opłacony dodatkową zgodą na secesję prowincji Erytrea (co równało się utracie przez Etiopię dostępu do morza). Wzorując się bardziej na Chinach niż na Zachodzie, Addis Abeba zaczęła błyskawicznie rozwijać swoją gospodarkę, stając się regionalną potęgą.

Aby się rozwijać i zapewnić podstawowe potrzeby wciąż rosnącej, już prawie 100-milionowej ludności kraju, Etiopia potrzebuje jednak prądu, z którego brakami boryka się na każdym kroku. Temu problemowi mają zaradzić wielka zapora, sztuczne jezioro i elektrownia wodna na Nilu. Ich budowa ma kosztować prawie 5 mld dolarów.

Zaporę i elektrownię – największą w Afryce i jedną z największych na świecie – nazywa się w Etiopii „Wielką Tamą Etiopskiego Odrodzenia". Addis Abeba marzyła o niej jeszcze w XX w., gdy była monarchią rządzoną przez cesarza Hajle Selasjego. Wtedy na taką inwestycję nie mogła sobie pozwolić. Podobnie jak i na to, by przeciwstawić się dyktatowi Egiptu.

Teraz, dzięki rozwijającej się w dwucyfrowym tempie gospodarce, sytuacja się zmieniła. A emblematem nowych czasów ma być właśnie Wielka Tama, symbolizująca powrót do czasów świetności i ostateczne pożegnanie z epoką ubóstwa, tyranii, suszy i głodu.

Rząd z Addis Abeby robi wszystko, by tama stała się czynnikiem jednoczącym obywateli, narzekających na dyktaturę i nierówności społeczne. Władze zamawiają u poetów wiersze o tamie, zorganizowano loterię narodową, by zebrać pieniądze na jej budowę, a urzędnicy, w „czynie społecznym", zrzekają się co roku jednej miesięcznej pensji na rzecz budowy tamy.

Dla rewolucyjnego Egiptu z lat 60. XX w. takim samym symbolem była wielka tama, którą prezydent Naser zbudował w Asuanie (z pomocą ZSRR). Etiopczycy chętnie przypominają o tym Egipcjanom, słysząc dziś skargi na ich Wielką Tamę.

### Szybciej czy wolniej

Mimo egipskich lamentów, próśb i gróźb – etiopska tama na Błękitnym Nilu (drugie ramię, Biały Nil, wypływa z jeziora Wiktorii, a oba łączą się w Chartumie) jest już w trzech czwartych gotowa. Zapewne prędzej niż później zostanie oddana do użytku. Kiedy utworzone przy zaporze sztuczne jezioro zacznie się zapełniać wodą, dla Egiptu nastaną sądne dni. Potem, gdy zalew będzie pełen, sytuacja wróci do normy.

Do zapełnienia sztucznego jeziora potrzeba mniej więcej tyle wody z Nilu, ile zużywa jej co roku Egipt. Etiopia chciałaby napełnić jezioro jak najszybciej, aby wprawić w ruch elektrownię i zacząć wytwarzać w niej prąd niezbędny gospodarce. Addis Abeba chce też sprzedawać prąd sąsiednim krajom, w tym również Egiptowi.

Im szybciej jednak Etiopczycy będą zapełniać zalew, im więcej wody zostanie za zaporą, tym mniej spłynie jej rzeką w dół, do Egiptu. Zrozumiałe więc, że Egipcjanie domagają się, aby Etiopczycy zapełniali zalew możliwie jak najwolniej – tak, żeby nie odczuli tego egipscy chłopi i egipska gospodarka.

Obliczono, że jeśli zalew będzie zapełniany przez siedem lat, wtedy do Egiptu docierać będzie w tym czasie o jedną czwartą wody mniej niż zwykle. Jeśli w dwanaście lat, jak chce Kair, wtedy egipscy chłopi nawet tego nie odczują. Jeśli jednak Addis Abeba będzie upierać się przy pomyśle, aby zalew zapełnić już w trzy lata, Egiptowi zagrozi klęska suszy.

Dla Kairu etiopski pośpiech jest więc nie do przyjęcia. Ale Etiopczycy czekać nie

chcą i nie mogą, bo inaczej grożą im antyrządowe rozruchy rozczarowanej tempem zmian młodzieży.

Zarówno w Addis Abebie, jak też w Kairze panują policyjne reżimy. Ani jeden, ani drugi nie może pozwolić sobie na poważniejsze antyrządowe bunty (w Etiopii i tak dochodzi do nich sporadycznie od dwóch lat; w marcu 2018 r. rząd znów wprowadził stan wyjątkowy). Ale choć czas nagli, egipsko-etiopskie rozmowy w sprawie tempa napełniania zapory wloką się, przynosząc do tej pory ledwie kilka ogólników.

Egipt, urażony już samym pomysłem dzielenia wód Nilu po nowemu, nigdy nie przestał podejrzewać Etiopii o złą wolę. Pamięta, że to właśnie ona wszczęła bunt przeciw staremu porządkowi i egipskiemu monopolowi.

Egipcjanie pamiętają też Etiopii, że budowę wielkiej zapory zaczęła w 2011 r., gdy do Kairu dotarła właśnie Arabska Wiosna. Na placu Tahrir rewolucja obalała prezydenta Mubaraka i kraj miał inne problemy niż zajmowanie się Nilem.

### Sudańskie ambiwalencje

Tymczasem Addis Abeba przekabaca na swoją stronę Sudan. Jeśli się jej to powiedzie, w sprawie wód Nilu Egipt będzie musiał walczyć w pojedynkę. Egipcjanie sami się trochę o to prosili. Sudańczycy zawsze narzekali, że Kair traktuje ich jak młodszych braci, że komenderuje i wyzyskuje. Zanim Sudan ogłosił niepodległość, Egipcjanie próbowali go przejąć od Brytyjczyków i włączyć do własnego państwa, jako prowincję.

Mimo tych animozji i ambiwalencji, stare interesy i braterstwo (islamskiej) wiary popychały Egipt i Sudan ku sobie. Także w sprawach Nilu. Sudan ustępował pierwszeństwa Egiptowi, ale sam zadowalał się rolą tego jedynego, z którym Kair gotów był dzielić się życiodajnymi wodami.

Ostatnio jednak relacje między obiema stolicami bardzo się popsuły. A prawdziwa epoka lodowcowa zapanowała pod koniec 2017 r., gdy gazety w Addis Abebie ujawniły, że Egipcjanie proponowali Etiopczykom, aby wspólnie podzielić między siebie wody Nilu, pomijając innych – z Sudanem włącznie.

W przeżywającym kłopoty gospodarcze Chartumie nie ukrywają, że etiopska zapora i elektrownia, budowane tuż nad sudańską granicą, bardzo im się mogą przydać. Zapewnią prąd dla przemysłu, pomogą zapanować nad powodziami.

**Spór o Nil dotyczy nie tylko wody.**
Walka toczy się również o utrzymanie starego lub zaprowadzenie nowego porządku w tej części świata.

Ten sudański entuzjazm dla etiopskiej tamy odbierany jest w Kairze jako akt nieprzyjazny. Kair podejrzewa też władze z Chartumu o wspieranie egipskich Braci Muzułmanów, marzących o zemście na prezydencie Sissim, który zdobył władzę obalając Mursiego, jednego z Braci. Sudan uważa Sissiego za uzurpatora – choć sudański prezydent Omar al-Baszir w 1989 r. doszedł do władzy również w wyniku zbrojnego puczu.

### Nowy system sojuszy

W styczniu Sudan zamknął granicę z Erytreą, twierdząc, że Egipt przerzuca tam wojska. Wiadomość wywołała w regionie – zwanym Rogiem Afryki – popłoch. Erytrea od lat jest wrogiem Etiopii. Najpierw stoczyła z nią kilkudziesięcioletnią wojnę secesyjną, zakończoną w 1993 r. ogłoszeniem niepodległości. Potem, po krótkim okresie pokoju, a nawet przyjaźni, na przełomie wieków między Etiopią i Erytreą doszło do nowej wojny, granicznej, w wyniku której zginęło prawie 100 tys. ludzi.

Wieści o egipskich wojskach lądujących w Erytrei – oraz o wojskach erytrejskich, gromadzących się nad granicą z Sudanem – zrodziły pogłoski, że Kair zamierza wykorzystać Erytrejczyków do sprowokowania „zastępczej" wojny z Sudanem lub Etiopią. A nawet, że na egipskie zlecenie erytrejscy dywersanci spróbują wysadzić etiopską tamę. Równo rok temu Addis Abeba wprost oskarżyła władze Erytrei o szkolenie sabotażystów, dybiących na zaporę.

Na początku tego roku do pogorszenia się i tak złych stosunków między Kairem i Chartumem przyczyniło się wznowienie granicznego sporu o „Trójkąt Halayeb" w okolicach egipskiego Asuanu i sudańskiej Wadi Halfy. A także wizyta w Chartumie prezydenta Turcji, którą Egipt uważa za konkurentkę w rywalizacji o wpływy na Bliskim Wschodzie (Egipt sprzymierzony jest tu z Arabią Saudyjską).

Wściekłość w Kairze oraz w saudyjskim Rijadzie wywołała decyzja Sudanu o wydzierżawieniu Turkom portu w Suakin, w pobliżu Portu Sudan. Dwa lata wcześniej Sudańczycy i Turcy awanturowali się, gdy Egipt przekazał Saudyjczykom wyspy Sanafir i Tiran, które zamykają wejście do Zatoki Akaba na Morzu Czerwonym. Z kolei niedawno, w marcu, pojawiły się informacje, że Egipt namawia Południowy Sudan (a więc wroga Sudanu) do przystąpienia do Ligi Państw Arabskich, mającej siedzibę w Kairze. W ten sposób, w naturalnym przeciwniku Sudanu Egipcjanie zyskaliby sojusznika w rywalizacji o wody Nilu.

### Stawka najważniejsza

Wracając do tego, od czego zaczęła się ta opowieść: Egipt martwi się więc dzisiaj, że zanim etiopski zalew zapełni się wodą, zmniejszony poziom Nilu zamieni w pustynię nadrzeczne uprawy. Tym bardziej że nowe sztuczne jezioro może sprawić, iż co roku Nil będzie tracił więcej wody w wyniku zwiększonego parowania.

W Kairze nie dają wiary etiopskim zapewnieniom, że tama nie tylko nie obniży poziomu wody w rzece, lecz pomoże ją oczyścić i utlenić. Egipcjanie obawiają się, że w rzeczywistości skończy się jak w przypadku ich własnej tamy asuańskiej, która zubożyła deltę Nilu o minerały, spływające dotąd z gór i użyźniające deltę, będącą rolniczym zagłębiem kraju. Prezydent Sissi podobno już kazał przeliczać, ile miliardów dolarów będzie musiał wydać na odsalanie wody morskiej. Nie pociesza go myśl, że podobna perspektywa czeka wszystkie kraje Bliskiego Wschodu.

Najważniejszą – przynajmniej w krótszej perspektywie – stawką w rozgrywce o wody Nilu wydaje się jednak nie ekonomia ani przyroda, lecz geopolityka. I to właśnie najbardziej trapi przywódców z Kairu.

„Ten spór dotyczy czegoś więcej niż wody – uważa Raszid Abdi, szef badań nad Rogiem Afryki z ośrodka badawczego International Crisis Group. – Walka toczy się o utrzymanie starego lub zaprowadzenie nowego porządku w tej części świata. Po raz pierwszy w historii kraj położony w górnym biegu Nilu ma szansę podyktować swoje warunki krajom z dolnego biegu rzeki. Idzie tu o to, czy Egipt pozostanie hegemonem nad Nilem, czy też tytuł ten odbierze mu Etiopia".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

# RZECZPOSPOLITA RUSKA

PROF. ANDRZEJ GIL:

Prawosławna tradycja Pierwszej Rzeczypospolitej, uosabiana przez Metropolię Kijowską, nie miała nic wspólnego z Moskwą. To były dwa odrębne światy. Kreml zawłaszcza dziś jej dziedzictwo.

**TOMASZ TARGAŃSKI: W powszechnym odczuciu pojęcie „ruski" utożsamiane jest dziś z pojęciami „rosyjski" czy „moskiewski". Kiedyś było inaczej?**

**ANDRZEJ GIL:** Pojęcie „ruski" oznacza świat ludzi, których spadkobiercami są dzisiejsi Ukraińcy i Białorusini. Tamci Rusini, żyjący na terenie państwa polsko-litewskiego, nie mieli wiele wspólnego z Moskwą-Rosją oraz z dzisiejszymi Rosjanami. To były dwie różne rzeczywistości. Rozdzielała je granica pomiędzy państwem polsko-litewskim a państwem moskiewskim.

**Jak wyglądała ta ruska mozaika pod koniec XIV stulecia, w przeddzień unii polsko-litewskiej?**

Ruś jako jedność polityczna należała już wtedy do przeszłości. Zachodnia część terenów podległych Metropolii Kijowskiej, wraz z Kijowem, była we władaniu Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Królestwa Polskiego. Zaś wschodnia część była podzielona między szereg lokalnych księstw, m.in. moskiewskie, twerskie czy nowogrodzkie. Z czasem wszystkie one

dostały się pod dominację książąt moskiewskich. Stąd utrwalił się podział na dwie odrębne przestrzenie wschodniosłowiańskie: „ruską: polsko-litewską" i „russką: moskiewską". W tamtych czasach to wyznanie decydowało, kim się było, a głównym elementem tożsamości „zachodnich" Rusinów była przynależność do Metropolii Kijowskiej.

**Kiedy po raz pierwszy pojawia się termin „russki" w odniesieniu do księstwa moskiewskiego, który z czasem oznaczać będzie tyle co „rosyjski"?**

To ciekawa sprawa, opisana niedawno przez świetnego rosyjskiego historyka prof. Borysa Klossa. Wcześniej funkcjonowała hipoteza, że współczesna nazwa „*Rossija*" pochodziła od średniowiecznych Greków. Zdaniem Klossa powstała ona w Rzeczypospolitej, w środowisku kijowskiego duchowieństwa prawosławnego. Tam na przełomie wieków XVI i XVII, pod wpływem kultury sarmackiej – która kazała stosować charakterystyczne podwojenie liter, np. w nazwiskach Poczobutt czy Radziwiłł – średniowieczne greckie słowo „*Rhōssía*" zmieniło się w „*Россия*". Środowisko kijowskich duchownych przeniosło je do Moskwy, gdzie z czasem zostało przyjęte na poziomie państwowym w połowie XVII stulecia.

**Wielkie Księstwo Litewskie, mimo nazwy, było w większości państwem Rusinów. Jak ono wyglądało w dobie unii z Polską?**

Na terenie Wielkiego Księstwa mamy do czynienia z ogromną przewagą ludności ruskiej, górującej kulturowo nad elementem litewskim. W chwili chrztu Litwy i zawiązania jej unii z Polską Rusini byli chrześcijanami już od czterech wieków. Wykształcili silną tożsamość, zakorzenioną w Bizancjum i kulturze greckiej. W efekcie część elit litewskich szybko się rutenizowała i przyjmowała prawosławie. Wspólnie z dr. Skoczylasem postawiliśmy tezę o Rusi jako trzecim faktycznym członie państwa polsko-litewskiego, silniejszym niż Litwa rozumiana w sensie etnicznym.

**Skoro komponent ruski w Rzeczypospolitej był tak silny, to jak tłumaczyć brak jego reprezentacji politycznej?**

Zdecydował czynnik religijny. Jeśli władcą był katolik, to z natury rzeczy faworyzował współwyznawców. Po zawarciu unii z Koroną Polską w 1385 r. Litwini tworzyli elitę polityczną, gdyż byli katolikami. Przez to w teorii prawosławni Rusini mieli ograniczony dostęp do szeregu urzędów. Ale praktyka pokazała, że elita ruska w pełni uczestniczyła w sprawowaniu władzy w Wielkim Księstwie. W istocie to było państwo litewsko-ruskie. A jeśli chodzi o strukturę ludności, polsko-rusko-litewskie.

**Stawiacie tezę, że rolę reprezentacji politycznej Rusinów pełniła instytucja religijna, czyli Metropolia Kijowska.**

Metropolia integrowała ich wewnętrznie i wyrażała ich interesy na zewnątrz. Miała też wiele atrybutów instytucji politycznej. Na czele stał metropolita, zależny w teorii tylko od króla, władcy Rzeczypospolitej. Miała aparat administracyjny pod postacią hierarchii cerkiewnej i sprawną strukturę terytorialną. A także obejmowała swymi granicami ogromny obszar państwa polsko-litewskiego. Co istotne, opiekunem Metropolii Kijowskiej i reprezentantem interesów prawosławnych, a później unitów, był król. Nie była to teoria, np. katoliccy królowie dwukrotnie fundowali ruskie diecezje. Wszyscy królowie aż po Stanisława Augusta Poniatowskiego dbali o Metropolię Kijowską, gdyż uznawali się za spadkobierców dawnych książąt ruskich.

**Jakie znaczenie miało utworzenie w Moskwie niezależnego patriarchatu w 1589 r.?**

Patriarchat ten powołano w niekanonicznych okolicznościach. Gdy patriarcha Konstantynopola przyjechał do Moskwy, wtrącono go po prostu do więzienia i poddawano, mówiąc delikatnie, presji, aż wyraził zgodę. Utworzenie tego patriarchatu miało znaczący wpływ polityczny na Europę Wschodnią. Odtąd Moskwa mogła oddziaływać na cały świat ruski i wszystkich prawosławnych Rusinów, także tych mieszkających w Rzeczypospolitej.

**Unia brzeska z 1596 r. zajmuje ważne miejsce w dziejach Europy Wschodniej. Dziś uważa się, że połączenie Cerkwi prawosławnej, istniejącej na terenie I Rzeczypospolitej, z Kościołem katolickim wykopało przepaść między katolikami a prawosławnymi i pchnęło tych drugich w objęcia Moskwy.**

Unia to jeden z najbardziej mitologizowanych epizodów naszej historii. Mitów jest tu tak wiele, że zapominamy o realiach epoki. Królem był wtedy Zygmunt III z dynastii Wazów, jego celem było odzyskanie tronu Szwecji, choć daleki był od dążenia do nawracania swej szwedzkiej ojczyzny na katolicyzm. Z kolei Kościół katolicki po reformach trydenckich stawał się Kościołem triumfującym, gotowym do „odrobienia" strat, jakie poniósł w wyniku Reformacji. Wbrew obiegowej opinii głównym zagrożeniem dla prawosławia nie był wtedy katolicyzm, lecz wyznania protestanckie. Elity ruskie masowo przechodziły do Kościołów reformowanych.

Pod koniec XVI w. przed wspólnotą ruską w Rzeczypospolitej były więc dwa wyjścia: nie robić nic i czekać, ale to była droga do samozniszczenia, lub zaryzykować i poświęcić coś, aby uratować to, co było możliwe do uratowania. Unia z Kościołem katolickim była realizacją tej drugiej drogi. ↦

**TO MOCNY GŁOS** w obronie autentycznego dziedzictwa Rusi, ruskiej tożsamości i kultury. Gdy książka „Kościoły wschodnie w państwie polsko-litewskim w procesie przemian i adaptacji. Metropolia Kijowska w latach 1458–1795" ukazała się kilka lat temu, nie wzbudziła zainteresowania poza gronem historyków. Tymczasem jej przesłanie staje się dziś coraz ważniejsze – w sytuacji, gdy propaganda Kremla utożsamia Ruś z Rosją i wykorzystuje jej pamięć dla agresywnej polityki, kreując ideę „wspólnoty ruskiej = rosyjskiej". Autorzy, Polak i Ukrainiec – prof. Andrzej Gil z KUL i dr Ihor Skoczylas z Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie – ukazują dzieje Rusi w innym świetle, pokazując ją jako istotną część składową federacji polsko-litewskiej, a potem Pierwszej Rzeczypospolitej. Proponują też inne spojrzenie na wojny Chmielnickiego: widzą w nich bratobójczy konflikt wewnątrzruski, a nie tylko polsko-ukraiński. © TT

*Światosław Szewczuk, ukraiński patriarcha Kościoła greckokatolickiego – powstałego w wyniku unii brzeskiej w 1596 r. – prowadzi procesję Niedzieli Palmowej w Kijowie, 5 kwietnia 2015 r.*

IGOR GOLOVNOV / ALAMY / BEW

**Unia brzeska spowodowała jednak „rozłam świata" ruskiej ortodoksji.**

W wyniku unii brzeskiej Metropolia Kijowska została włączona do Kościoła katolickiego, co dla części prawosławnych było nie do przyjęcia. Stąd dla wielu ortodoksów Rusinów unia oznaczała odejście nie tylko od prawosławia, lecz także od ruskiej tożsamości. Ale realia były nieubłagane. Z jednej strony była wspólnota wiernych licząca kilka milionów ludzi, a z drugiej globalny katolicki Kościół. Zwolennicy unii podjęli ryzyko i w 1596 r. w Brześciu ogłoszono powstanie nowej wspólnoty: unitów, tj. katolików obrządku wschodniego. Z perspektywy trzeba przyznać, że unici wykorzystali szansę i osiągnęli ogromny sukces. Doszło do tego, że w XVIII w. pod względem liczby parafii była to największa w Rzeczypospolitej wspólnota wyznaniowa, większa od łacińskiego katolicyzmu.

**W wiekach XVI i XVII na arenę z impetem wkracza Kozaczyzna. Pan uważa, że ruch Kozaków niewiele miał wspólnego z tradycją ruską.**

Kozacy byli produktem pogranicza słowiańsko-tureckiego, u swego zarania mieli więcej wspólnego ze światem islamskich koczowników niż z Rusią. Problem Kozaków pojawił się w chwili, gdy Rzeczpospolita chciała objąć swe wschodnie województwa ściślejszą kontrolą. Zaczął się proces zasiedlania stepowych pustkowi, pojawiły się liczne miasta i wsie, temu zaś towarzyszyło wprowadzanie prawa. W tym nowym porządku, niemającym nic wspólnego z późniejszym zachodnioeuropejskim kolonializmem, Kozacy byli elementem destruktywnym. Podjęta przez nich walka z modernizacją – wprowadzaną nie tylko polskimi, ale i ruskimi rękoma – była typowym konfliktem między siłą nastawioną na niszczenie, a w najlepszym razie na pasożytowanie na wspólnotach miejskich i wiejskich z jednej strony oraz nowym porządkiem ekonomiczno-politycznym z drugiej. Kozacy stali się grupą nieprzystosowaną społecznie, ich walka na początku nie wpisywała się ani w model konfliktu religijnego, ani narodowego. Dopiero splot okoliczności politycznych dał im możliwość wystąpienia w roli obrońców prawosławia. Na początku Kozacy byli dość obojętni w kwestiach religijnych.

**Dla wielu Ukraińców Chmielnicki i Kozaczyzna są jednym z pierwszych ogniw w łańcuchu walk o ukraińską narodowość. Pan widzi to inaczej.**

To niezwykłe, jak bardzo mit przesłania tu realia epoki. Dziś patrzymy na wojny Chmielnickiego jak na konflikt polsko-ukraiński. Ale dla współczesnych była to w dużej mierze wojna Rusi z Rusią. Ówczesna Kozaczyzna była zaprzeczeniem wolności religijnej. Projekt Chmielnickiego był wykluczający, bo uwzględniał tylko prawosławnych Rusinów. W jego państwie, gdyby powstało, nie byłoby miejsca dla Żydów, Polaków (katolików i protestantów), a zwłaszcza dla Rusinów unitów. Rozumieli to doskonale unici. Podczas bitwy pod Beresteczkiem w 1651 r. unicki biskup chełmski Jakub Susza, zwracając się do Rusinów walczących po stronie Rzeczypospolitej, mówił, że to oni są „prawdziwą Rusią" w przeciwieństwie do tych, którzy niszczą ją wespół z muzułmańskimi Tatarami, rozpętując bratobójczą wojnę.

**W 1686 r., w wyniku tzw. pokoju wieczystego z Rosją, Kijów został oderwany od Rzeczypospolitej, a Metropolia Kijowska znalazła się we władaniu patriarchy z Moskwy. Czy rywalizacja o „serca i umysły" Rusinów była przegrana?**

Rok 1686 jest podwójnie tragiczny. Z jednej strony włączono bowiem tę część Metropolii Kijowskiej, która pozostała przy Rosji, w granice Patriarchatu Moskiewskiego. Z drugiej zaś strony prawosławni w Rzeczypospolitej poddani zostali kontroli tegoż Moskiewskiego Patriarchatu, przez co Kreml uzyskał nad nimi także wpływ polityczny. Tym samym Rzeczpospolita utraciła możliwość oddziaływania na sytuację na wschodzie. Później, w XVIII stuleciu, Moskwa świetnie rozgrywała kwestię prawosławnych na niekorzyść Polski.

**Wskazujecie, jak duże różnice dzieliły prawosławie moskiewskie i kijowskie. Jak to się ma do „wspólnoty" Rosjan, Ukraińców i Białorusinów oraz idei „russkiego miru", tak silnie promowanego dziś przez rosyjską Cerkiew?**

Rzekoma wspólnota Ukraińców, Białorusinów i Rosjan jest hasłem politycznym, ona ma na celu podkopać poczucie ukraińskiej i białoruskiej odrębności. Prawosławna tradycja Rzeczypospolitej, uosabiana przez Metropolię Kijowską, nie miała nic wspólnego z Moskwą. To były dwa odrębne światy. Inne obyczaje liturgiczne, inne świątynie, ikony, święci. Przypomnijmy, że Cerkiew rosyjska nakazywała w XVII w. powtórne chrzczenie nie tylko katolików czy protestantów, ale też prawosławnych pochodzących z Rzeczypospolitej, Bałkanów czy ziem greckich. Głównym wrogiem rosyjskiej Cerkwi był jednak Kościół unicki. Dlatego wszędzie, gdzie było to możliwe, był on prześladowany i niszczony. Ostatnią unicką diecezję – chełmską – na terenie Imperium Rosyjskiego zlikwidowano w 1875 r.

**Dlaczego Rosja od wieków zawłaszcza tradycję Rusi i kijowskiego chrześcijaństwa?**

Tak kiedyś, jak i dziś Rosja potrzebuje ideologicznej podbudowy pod politykę ekspansji. Dlatego wykorzystuje ideę „*russkiego miru*". To manipulacja. Nie było i nie ma takiej wspólnoty. W ustach Putina „*russkij mir*" niewiele różni się od świata sowieckiego, to narzędzie czysto polityczne. Gdy spełni swą rolę, kremlowscy polit-technolodzy wynajdą nowe hasła.

**Na czym polega znaczenie Rusi w dziejach Europy Środkowo-Wschodniej?**

Tradycja ruska – rozumiana jako tradycja prawosławnej i potem unickiej Metropolii Kijowskiej – jest rozdziałem historycznie zamkniętym, ale niezmiernie ważnym w dziejach naszego regionu. Była ona wyjątkową próbą połączenia elementów świata bizantyjsko-ruskiego z intelektualną tradycją Europy Zachodniej. Tradycja ruska była też alternatywą dla moskiewskiego prawosławia, które chciało zjednoczyć pod sobą cały świat ruski. Historia pokazała, że to się nie udało. Nie ma i nigdy nie było jednej Rusi. Dlatego nikt nie może jej – tak współcześnie, jak i w kontekście historycznym – zawłaszczyć. Na szczęście.

© Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI

RADIO KRAKÓW

**Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".**

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

**www.radiokrakow.pl**

WOJCIECH

# Bonowicz:
## *W swoim pokoju*

Jak działa to, co ukryte? Tego właśnie nie wiem. Jak działa – na innych, w świecie – duchowy wysiłek ludzi, którzy nas o nim nie informują? Którzy nie rozgłaszają na dachach, o czym myśleli w samotności, co kontemplowali lub omodlili, czemu poświęcili swoją milczącą uwagę?

Jest oczywiste, że ów wysiłek przekłada się na zewnętrzną aktywność takich wewnętrznie ożywionych ludzi. Na ich relacje z innymi, na ich uważność, gotowość do reakcji, na ich poglądy i sposób ich wyrażania, krótko mówiąc – na ich styl bycia. Ludzie wewnętrznie ożywieni bywają na ogół bardziej skupieni, skłonni dłużej i cierpliwiej słuchać, nie spieszą się z odpowiedziami, starannie ważą pojedyncze słowo. Z tego powodu niekiedy wydają się wręcz bezradni, zagubieni bądź niezdecydowani; przyzwyczailiśmy się cenić tych, którzy odpowiadają szybko i celnie, mają zdecydowany i jasny pogląd, umiejętnie ripostują. A człowiek „wewnętrzny" jest ostrożniejszy, nie tylko dba o to, by innych nie zranić, ale też nie stara się ich olśnić czy uwieść. Jeśli się odzywa, wyprowadza słowa powoli, niczym ludzi odnalezionych w podziemnym korytarzu.

Ale czy jego wysiłek działa także szerzej, na tych, z którymi nie styka się on bezpośrednio? I nie myślę tu o perspektywie, jaką daje wiara religijna – że wszystko, co czynimy, również w zamkniętym pokoju ducha, trafia ostatecznie do wspólnej puli, którą ktoś wspaniałomyślnie zarządza. Myślę raczej o tym, w jaki sposób ów wysiłek jest wartością sam w sobie – nie jako „składka" na innych, nie jako orędownictwo. Oto ktoś wpatruje się w piękny krajobraz, albo w krajobraz pięknie namalowany. Oto ktoś, siedząc na ławce, obserwuje z czułością przechodzących ludzi, przygląda się, jak stawiają kroki, jak układają ręce, jak mówią. Oto ktoś zamyka oczy i patrzy w jeden kąt wewnętrznego pokoju. To, co tam widzi, nie jest z początku ani ciemne, ani jasne, w miarę wpatrywania się nie nabiera kształtów, a jednak jest dojmująco obecne, istniejące, na swój sposób wyraźne... Co z takimi doświadczeniami? Czy one promieniują, czy pozostają w tym jednym, jedynym miejscu?

Nie każdy wysiłek musi kończyć się dziełem. I znów: nie w tym sensie, że jeśli nie kończy się dziełem, to kończy się porażką, a z porażki – jak uczą mistrzowie – można wyciągnąć przecież jakąś naukę. Chodzi mi raczej o to, że jest wiele takich wysiłków, które z natury swej zmierzają donikąd, w nieokreślone. Nie są żadnym zadaniem, żadnym planem, żadnym postanowieniem. Bezcelowe, bezinteresowne, puste przebiegi. Ale puste tylko dla tego, kto oczekuje wyników, kto „zadaniuje" i rozlicza, kto myśli w kategoriach celów i interesów.

Co światu po takich „wewnętrznych" ludziach? Jeżeli powstrzymują się od przemocy – a z pewnością oni właśnie najprędzej potrafią się powstrzymać – to już niemało. Można odnieść wrażenie, że historię tworzą duchy spragnione zdarzeń, niespokojne i zdobywcze, niecofające się przed niczym. Ale to chyba złudzenie i historia ludzkości zbudowana jest raczej z aktów wewnętrznego ograniczenia, wycofania, skupienia. „Po każdej wojnie ktoś musi posprzątać...". Pomniki buduje się tym, którzy szli po trupach, i samym trupom. Pomniki ludzi „wewnętrznych" stoją między nami jak niewidzialne słupy. Podtrzymujące niebo, żeby nie spadło nam na głowy. ©

TP

*„Tygodnik Powszechny" zaprasza na*

**DNI TRANSTRÖMEROWSKIE**

**– dwudniowe wydarzenie literacko-muzyczne, które odbędzie się po raz drugi w Katowicach i Krakowie w dniach 7–8 kwietnia.**

Festiwal skierowany jest do osób zainteresowanych eksplorowaniem niematerialnego dziedzictwa, poszukujących informacji o specyfice poezji, jej kontekstach kulturowych. Wśród gości Dni Tranströmerowskich znajdą się m.in.: Adam Zagajewski, Ewa Lipska, Justyna Bargielska, Ryszard Koziołek, Tadeusz Sławek i znakomici artyści: Maja Komorowska, Krzysztof Globisz, Jerzy Trela, Joanna Freszel oraz Royal String Quartet. W wydarzeniu weźmie udział córka Poety, Paula Tranströmer.

**Honorowym gościem Dni będzie ADAM ZAGAJEWSKI, laureat Nagrody Tomasa Tranströmera z 2000 r.**

Pełny program wydarzenia: **fundacjamiastoliteratury.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

# ODKRYCIE NA WAGĘ ZŁOTA

Skąd na świecie wzięło się złoto?
Co sprawia, że ołów i złoto różnią się od siebie?
Czy można przemienić jedno w drugie?
Dziś znamy odpowiedzi na pytania, które spędzały sen z powiek alchemikom.

SEBASTIAN J. SZYBKA

W Antwerpii przełomu XVI/XVII w. liczba malarzy znacznie przekraczała łączną liczbę piekarzy i rzeźników. Jednym z tamtejszych artystów był Pieter Bruegel młodszy – malarz przełomu epoki renesansu i baroku, doskonały kopista. Jego warsztat powielał dzieła ojca artysty, znakomitego Pietera Bruegla starszego. On sam tworzył także obrazy na podstawie rycin ojca. Jednym z takich dzieł jest „Alchemik".

Tygle, kolby, miechy, wielki i zapewne drogi aparat do destylacji, porozrzucane w nieładzie naczynia, kartki z notatkami – istny bałagan. Kuchnia pełniąca równocześnie funkcję laboratorium. Po lewej stronie, tuż obok paleniska, alchemik, w dziurawych spodniach i podartej koszuli, o rozwichrzonych niczym Einstein włosach i nieogolonej twarzy, nachylony nad swoją pracą zdaje się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się wokół. Właśnie ma zamiar przetopić ostatnią srebrną monetę, którą z sakiewki przed chwilą wyciągnęła stojąca tuż za nim żona. Pomocnik alchemika, w kapturze przydającym mu ośle uszy, klęczy z miechem w rękach, posłusznie wykonując polecenia. Całość pracy odbywa się pod dyktando uczonego w nienagannym stroju, wyraźnie wyróżniającym go na tle biedy i bałaganu domostwa. Być może uczony nie uczestniczy w pracy bezpośrednio, lecz pojawia się za pośrednictwem „mądrości" zapisanych w wielkich księgach, którym zawierzył szalony alchemik. W jednej z nich słowny kalambur: „*Alghe Mist*", czyli „wszystko zawiodło". W tle widać dzieci bawiące się w pustej spiżarni, a za oknem ostateczna przestroga – to, na co teraz nikt nie zwraca uwagi, a co wydarzy się za chwilę: nasz alchemik wraz z żoną odprowadza dzieci do przytułku.

Jakie szaleństwo ogarnęło przedstawionego na obrazie mężczyznę? Wyposażenie pracowni sugeruje, iż próbuje on w drodze transmutacji uzyskać złoto. Czy kieruje nim chciwość, chęć łatwego wzbogacenia się, czy też szlachetne pragnienie poznania tajemnic natury? Obraz Bruegla zdaje się nie pozostawiać w tej kwestii wątpliwości: alchemia to szarlataneria prowadząca naiwnych ślepców do ruiny i upadku. Dzisiaj wiedzą o tym nawet dzieci, jeśli uważnie wsłuchały się w „Opowiadanie wiatru" Andersena albo „Rumpelsztyka" braci Grimm. Mimo to alchemia nie zawsze była oceniana negatywnie. Tylko w malarstwie niderlandzkim XVII w. istnieje co najmniej kilkadziesiąt obrazów o tej tematyce. Alchemik czasami jest przedstawiany jako naiwny głupiec, a czasami jako szlachetny uczony.

Nawet wśród najwybitniejszych postaci rodzącej się nauki nie brakowało takich, którzy parali się alchemią.

### Alchemik Newton

W 1936 r. dom aukcyjny Sotheby's wydał katalog opisujący 329 manuskryptów Newtona, z czego ponad jedną trzecią stanowią notatki alchemiczne. Wśród nich znajdują się również takie, które dotyczą przemiany metali nieszlachetnych w złoto. Kto jednak posądza Newtona o naiwność, popełnia błąd. Racjonalność jego postępowania należy oceniać w kontekście stanu wiedzy ówczesnej epoki.

Arystoteles uważał, że wszelkie substancje składają się z czterech elementów: ognia, ziemi, powietrza i wody. Jeśli tak, to przemiana np. ołowiu w złoto polega na zmianie proporcji tych elementów. Co więcej, doszukiwano się dowodów na to, że taki proces faktycznie zachodzi w przyrodzie. Prawie wszystkie znajdowane rudy ołowiu zawierają odrobinę

DOMENA PUBLICZNA

*Pieter Bruegel młodszy „Alchemik”, ok. 1600 r.*

srebra, a prawie wszystkie rudy srebra zawierają trochę złota. Łatwo błędnie zinterpretować tę obserwację: z biegiem lat ołów może przemieniać się w srebro, a srebro w złoto. Alchemicy próbowali przyspieszyć proces, który według nich zachodził w naturze.

Dzisiaj wiemy, zgodnie z intuicją Newtona, że przemiana metali nieszlachetnych w złoto jest możliwa. Fizyka XX w. spełniła to marzenie alchemików: złoto zostało wyprodukowane w laboratoriach. Chociaż nasza ciekawość została zaspokojona, to ludzka chciwość nie – jak dotychczas koszty produkcji wielokrotnie przewyższają wartość uzyskanego złota.

Wyobraźmy sobie, że zamiast renesansowego uczonego na obrazie Bruegla pojawia się współczesny fizyk. Stare księgi znikają, a na ich miejscu widzimy aktualny zestaw podręczników akademickich. Jakich podpowiedzi udzieliłby alchemikowi fizyk?

### W poszukiwaniu atomów

Użyjmy siły naszej wyobraźni. Mamy przed sobą nieznaną substancję i chcemy zrozumieć, czym ona tak naprawdę jest. Po pierwsze, możemy sprawdzić jej właściwości: co się stanie, gdy ją podgrzejemy, co będzie, gdy wymieszamy ją z inną substancją? Można zadać wiele podobnych pytań, ale zanim zabrniemy zbyt daleko, zauważmy, że substancja, którą poddajemy badaniom, może się składać z kilku innych, bardziej pierwotnych substancji. Rozsądniej będzie więc, jeśli rozdzielimy naszą próbkę na elementy składowe i zajmiemy się badaniem właściwości podstawowych składników. Właśnie dlatego na obrazie Bruegla widać tygle i aparat do destylacji. Kwintesencją tego typu alchemiczno-chemicznych studiów jest odkryta w XIX w. tablica pierwiastków, zwana układem okresowym pierwiastków lub tablicą Mendelejewa. Powstała wskutek pogrupowania podstawowych elementów ze względu na ich właściwości chemiczne. Zrozumienie struktury układu okresowego nastąpiło dopiero w XX w. Okazało się, że położenie pierwiastka w układzie okresowym zdeterminowane jest przez strukturę wewnętrzną atomów, z których ten pierwiastek się składa.

Jak przekonać się o istnieniu atomów? Zwykły mikroskop nic tutaj nie pomoże. Chociaż hipoteza atomistyczna powstała jeszcze w starożytnej Grecji, to dopiero w XIX w. uzyskano silne naukowe argumenty na jej poparcie. Przyczyniło się do tego wiele osób, lecz jedną z najważniejszych był Ludwig Boltzmann. Założył on, iż substancje składają się z wielkiej ilości drobnych elementów spełniających prawa fizyki statystycznej. Hipoteza ta pozwoliła uzasadnić niektóre właściwości substancji. Te drobne elementy to atomy, np. wodór, tlen lub cząsteczki (molekuły) utworzone z atomów połączonych za pomocą wiązań chemicznych (np. cząsteczka wody utworzona z połączenia dwóch atomów wodoru z atomem tlenu). Początkowo środowisko fizyków i filozofów przyrody bardzo sceptycznie przyjęło to odkrycie. Boltzmann załamał się i w 1906 r. popełnił samobójstwo. Jedne z kluczowych wyników przemawiających za poprawnością teorii atomistycznej przedstawili niezależnie Albert Einstein i polski fizyk Marian Smoluchowski.

Z teorii atomistycznej wynika, że aby zrozumieć różnicę pomiędzy ołowiem a złotem, trzeba poznać strukturę wewnętrzną odpowiadających im atomów. W porównaniu do setek lat mało owocnej pracy alchemików tym razem sprawy potoczyły się prędko.

### Rutherford, to transmutacja!

Pod koniec XIX w. odkryto elektron – cząstkę ponad tysiąc razy lżejszą od hipotetycznych wówczas atomów, obdarzoną ujemnym ładunkiem elektrycznym. Lekki elektron stał się świetnym kandydatem na element składowy atomu. Jeśli atomy są elektrycznie obojętne, to musi istnieć drugi składnik o ładunku dodatnim. Na początku XX w. istniało już kilka konkurujących ze sobą modeli. W 1913 r. Niels Bohr przedstawił swoją hipotezę: dodatnio naładowane ciężkie jądro okrążane przez elektrony. W 1920 r. odkryto cząstkę o ładunku dodatnim, czyli proton, a w 1932 r. elektrycznie neutralny neutron. Na początku XX w. powstała mechanika kwantowa. W ramach niej model atomu był prawie kompletny: ciężkie jądro składające się z protonów i neutronów otoczone przez chmurę elektronów. Transmutacja polega na zmianie liczby protonów w jądrze atomu.

Dwa atomy o tej samej liczbie protonów, lecz różnej liczbie neutronów, określa się mianem izotopów. Pierwiastki, a nawet różne izotopy jednego pierwiastka, mogą ↦

↦ różnić się między sobą stabilnością. Od końca XIX w. było znane zjawisko promieniotwórczości. Odkrył je Henri Becquerel, który razem z Pierre'em Curie i Marią Skłodowską-Curie w 1903 r. za swoje badania otrzymał Nagrodę Nobla. W 1901 r. podczas jednego z eksperymentów Ernest Rutherford i jego student Frederick Soddy zrozumieli, czym jest rozpad promieniotwórczy. Soddy wykrzyknął słynne słowa: „Rutherford, to transmutacja!". Promieniowanie, które wysyłane jest przez niektóre pierwiastki, to nic innego jak produkty samoczynnego rozpadu ciężkich niestabilnych atomów na lżejsze.

Pierwiastki naturalnie występujące na Ziemi są stabilne lub rozpadają się powoli. Jeśli chcemy wyprodukować z nich złoto, to trzeba je do takiej przemiany pobudzić. Można to zrobić na kilka sposobów. Rozszczepienie jądrowe polega na rozbiciu cięższych jąder na mniejsze. Synteza jądrowa to z kolei proces, w którym lżejsze jądra łączą się, tworząc cięższe. Jądra atomów cięższych niż żelazo (np. złota) zawierają wiele protonów, więc posiadają duży dodatni ładunek elektryczny. Bardzo trudno do nich przyłączyć inne jądra atomowe (dodatnie ładunki odpychają się) – synteza jądrowa przestaje być energetycznie opłacalna. Neutron nie posiada ładunku elektrycznego, a zatem łatwiej spowodować, by przyłączył się nawet do ciężkiego jądra. Proces ten nazwano wychwytem neutronu. Takie dodatkowe neutrony w jądrze często zmieniają jego stabilność. Jeśli neutrony w jądrze przemienią się w protony (tzw. rozpady beta), to zwiększy się liczba protonów i otrzymamy nowy cięższy pierwiastek.

Fizycy próbowali różnych sposobów, by zmusić atomy do transmutacji. Produkty naturalnego rozpadu promieniotwórczego poruszają się z dużymi prędkościami umożliwiającymi syntezę jądrową. Próbowano również zaprząc do pracy wyładowania elektryczne, czyli elektrony. W 1924 r. Japończyk Hantaro Nagaoka wraz ze współpracownikami, oraz niezależnie berlińczycy Adolf Miethe i Hans Stammreich, ogłosili, że udało się im spełnić marzenie alchemików: rtęć przemienili w złoto. Do dzisiaj status tych eksperymentów nie jest jasny. Okazało się, że najbardziej skuteczna metoda wymaga zastosowania akceleratorów cząstek. W 1941 r. Rubby Sherr, Kenneth Tompkins Bainbridge i Herbert Anderson rozpędzili w akceleratorze jądra ciężkiego wodoru (proton i elektron) i za ich pomocą zbombardowali lit. Powstały poruszające się z dużymi prędkościami neutrony, które zostały wychwycone przez atomy rtęci. Cały proces doprowadził do powstania niewielkich ilości trzech izotopów złota. Niestety, były one niestabilne.

Byłoby to iście bajkowe zakończenie historii alchemika, któremu udało się stworzyć złoto, ale okazało się ono fałszywe, a w dodatku po chwili zniknęło – brakowało tylko, by rozpadając się na inne pierwiastki, zabiło swojego twórcę. Ale historia na tym się nie zakończyła.

W 1980 r. Glenn Seaborg z Lawrence Berkeley National Laboratory rozszczepił atomy bizmutu. Jednym z produktów były stabilne atomy złota. Zamiast bizmutu można użyć ołowiu – choć koszty w ten sposób przeprowadzonej transmutacji pozostają o wiele większe niż wartość uzyskanego złota.

Jeśli tak trudno na Ziemi wyprodukować nawet odrobinę złota, to w jaki sposób powstało ono w przyrodzie?

### Jak umierają gwiazdy

Weźmy do ręki złotą biżuterię. Śledząc historię atomów, które trzymamy w ręce, poprzez sklep jubilerski trafilibyśmy do jednej z kopalń złota. Wiedza alchemików nie pozwalała sięgnąć im dalej. Nauka pozwala nam dzisiaj cofnąć się aż do chwili, gdy te atomy powstały.

Po Wielkim Wybuchu pozostały wodór, hel i odrobina litu. Cięższe atomy, aż do żelaza włącznie, zostały wyprodukowane w gwiazdach w procesie syntezy jądrowej. To grawitacja ściskając atomy we wnętrzu gwiazd umożliwia rozpoczęcie procesu syntezy. Lekkie atomy łącząc się w cięższe wydzielają olbrzymie ilości energii – to dlatego gwiazdy świecą. Znaczna część materii, która nas otacza, nawet tej, z której zbudowane są nasze ciała, pochodzi z gwiazd. Proces wychwytu neutronów może zachodzić w gwiazdach, ale nie są one efektywną „fabryką" atomów cięższych niż żelazo.

Wszechświat wypełniony jest niezliczoną ilością galaktyk. Galaktyki skła-

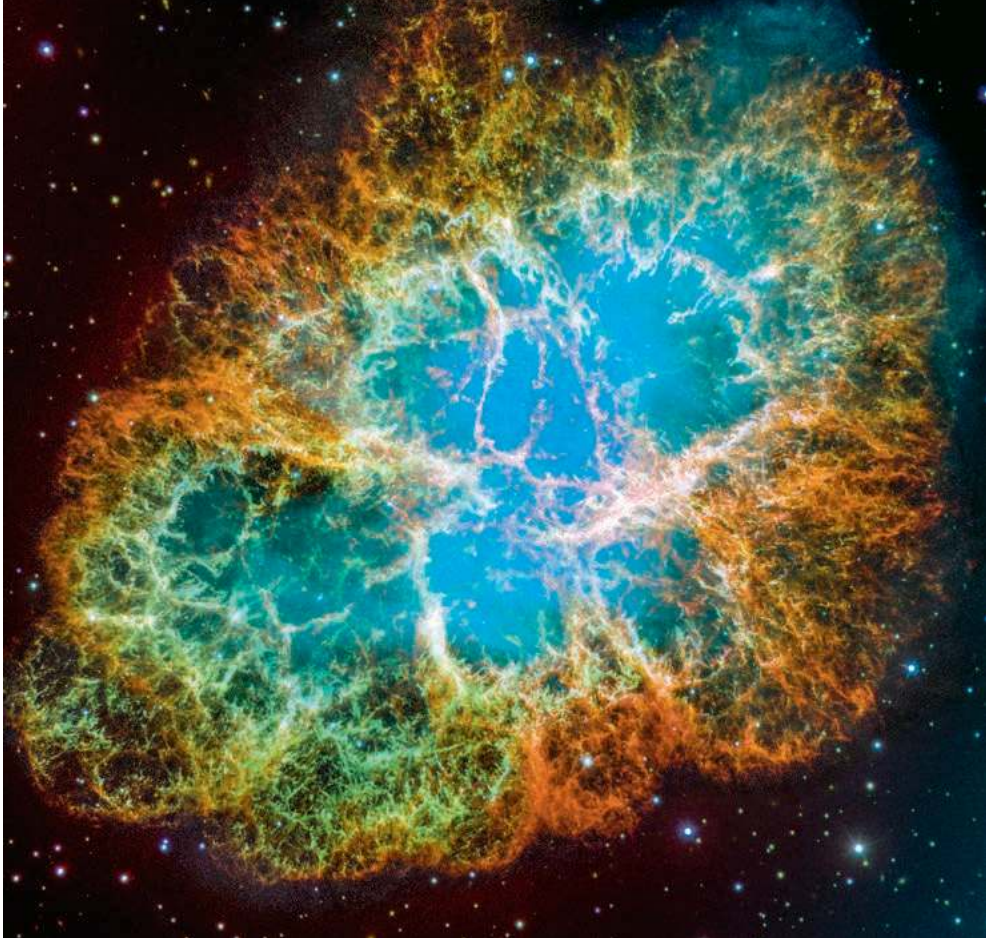

NASA

*Mgławica Kraba*

RDC POLSKIE RADIO

**SEBASTIAN SZYBKA**
**będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 4 kwietnia**
**o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

dają się z setek miliardów gwiazd. Choć w skali galaktycznej pojedyncza gwiazda niewiele znaczy, to od czasu do czasu jesteśmy świadkami niezwykłego przedstawienia: powstaje supernowa – wybuch gwiazdy, który swoim blaskiem może przyćmić nawet całą galaktykę. Jeden z mechanizmów prowadzących do powstania supernowych związany jest ze śmiercią masywnych gwiazd, które zaczynają się gwałtownie kurczyć, co prowadzi do gigantycznej eksplozji. W krótkim czasie uwalniane są wielkie ilości energii. Od lat 50. XX w. wierzono, że w trakcie takiej eksplozji istnieją dogodne warunki, by za pośrednictwem procesu wychwytu neutronów powstały w dużych ilościach wszystkie ciężkie pierwiastki. Współczesne precyzyjne komputerowe symulacje nie potwierdzają tej hipotezy.

Po wybuchu szczątki supernowej tworzą spektakularną mgławicę, jak np. Mgławica Kraba. W centrum pozostaje czarna dziura lub gwiazda neutronowa. Gwiazda neutronowa jest niewyobrażalnie gęsta, składa się głównie z neutronów i przypomina wielkie jądro atomowe, powiększone do rozmiarów ok. 20 km. Choć zawiera wszystko, co jest niezbędne do syntezy ciężkich pierwiastków, to potężne więzy grawitacyjne uniemożliwiają rozpoczęcie tego procesu. Wiele lat temu przedstawiono hipotezę, iż kolizja gwiazdy neutronowej z inną gwiazdą neutronową lub czarną dziurą uwalnia zawarty w niej materiał i uruchamia proces syntezy poprzez wychwyt neutronów.

Do niedawna ten alternatywny mechanizm powstawania ciężkich pierwiastków, w tym złota, był uważany za mało prawdopodobny. Choć jest on bardzo efektywny, to przypuszczano, że takie zderzenia, ochrzczone mianem kilonowych, występują niezmiernie rzadko. Pierwszą kilonową dostrzeżono w 2013 r., ale nie udało się wtedy przeprowadzić precyzyjnych obserwacji. Kilonowe są kilkaset milionów razy jaśniejsze od Słońca, ale i tak znacznie mniej jasne od supernowych.

Olbrzymia grawitacja gwiazd neutronowych nie tylko ściska zawarte w niej neutrony, ale także zniekształca strukturę czasu i przestrzeni. Prawie cała energia zderzenia takich gwiazd uwalniana jest w postaci fal grawitacyjnych – zmarszczek na strukturze czasu i przestrzeni, przemierzających wszechświat niczym fale powierzchnię oceanu.

### Kosmiczna kolizja

17 sierpnia 2017 r. po raz szósty w historii dokonano detekcji fali grawitacyjnej. Ta detekcja pod wieloma względami wyróżniała się na tle pozostałych. Sygnał odpowiadał zderzeniu dwóch gwiazd neutronowych, a nie czarnych dziur, co dawało nadzieję na zaobserwowanie skutków zderzenia za pomocą zwykłych teleskopów. Rzeczywiście, niecałe dwie sekundy po fali grawitacyjnej pojawił się błysk (wysokoenergetyczne fotony). Detekcji fali grawitacyjnej dokonały dwa amerykańskie detektory LIGO i uruchomiony kilka tygodni wcześniej europejski detektor Virgo. Potrójna detekcja umożliwiła ustalenie kierunku, z którego nadbiegł sygnał. Wszczęto alarm. Około stu instrumentów na wszystkich kontynentach i w przestrzeni kosmicznej wpatrzyło się w stronę, z której nadbiegł sygnał. Dostrzeżono kilonową.

Bezprecedensowa kampania umożliwiła zgromadzenie wielu danych. Tylko 16 października 2017 r., tuż po odtajnieniu obserwacji, pojawiło się ponad sto prac naukowych na ten temat. Jedna z nich została podpisana przez ponad cztery tysiące astronomów, co stanowi jedną trzecią wszystkich profesjonalnych astronomów żyjących obecnie na Ziemi.

Obserwacje zmiany koloru kilonowej potwierdziły, że w zderzeniu gwiazd neutronowych wyprodukowane zostały olbrzymie ilości ciężkich pierwiastków. Szacuje się, iż masa złota, które powstało, jest niewiele mniejsza od masy Jowisza, czyli dziesiątki razy przekracza masę Ziemi. Jednak ilość wyprodukowanego złota nie jest najważniejsza. Równoczesna detekcja fali grawitacyjnej i obserwacja jej źródła rozpoczęły nową erę w historii astronomii. To zupełnie nowy sposób na poznawanie wszechświata. Wydarzenie z 17 sierpnia 2017 r. głęboko zrewidowało naszą wiedzę. Czekamy na następne!

Czy alchemik z obrazu Bruegla byłby oczarowany takim rozwiązaniem tajemnicy złota? To zależy, czy kierowała nim ciekawość, czy chciwość, bo na kosmicznym zderzeniu, które zaobserwowaliśmy, trudno zarobić. Wydarzyło się ono 130 mln lat świetlnych od nas.

© SEBASTIAN J. SZYBKA

*Autor jest doktorem habilitowanym, pracuje w Zakładzie Astrofizyki Relatywistycznej i Kosmologii w Obserwatorium Astronomicznym UJ.*


DEBATY KLUBÓW TYGODNIKA POWSZECHNEGO

CYKL „RELIGIA W SPOŁECZEŃSTWIE OBYWATELSKIM: ANTAGONIZM I DIALOG"

DEBATA

CZYŃCIE SOBIE ZIEMIĘ PODDANĄ

Udział wezmą:
o. Stanisław Jaromi
dr Janusz Steinhoff
Ryszard Kulik

Poniedziałek
9 kwietnia 2018 r.
godz. 17.30

Gliwice
Klub Pracowników
Politechniki Śląskiej
ul. Banacha 3

KLUBY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" TP KlubTygodnika.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

Konrad Adenauer Stiftung

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# PREZYDENCKI KANON NIEPODLEGŁOŚCI

Nie oburza mnie ten zestaw lektur
ani nie martwi widomy zamysł ideologicznego wykorzystania literatury.
To przedsięwzięcie raczej mnie rozczula.

RYSZARD KOZIOŁEK

Czytam Prezydencki Kanon Niepodległości. Utwór po utworze, fragment po fragmencie. Większość po raz kolejny, niektóre po długiej przerwie, kilka po raz pierwszy. Czytam z ciekawością nieco niezdrową, dociekając niejawnych motywów niektórych wyborów (Kochowski, Małaczewski, Wencel), dziwiąc się nieobecności wielu (Dąbrowska, Gombrowicz, Herling-Grudziński, Iłłakowiczówna, Iwaszkiewicz, Nałkowska, Prus, Strug), ciesząc się kilkoma bardziej (Fredro, Pasek, Miłosz).

Czytam, ale nie idzie mi łatwo, gdyż twórcom starczyło gorliwości na przedstawienie 44 tytułów tekstów, ale już nie na podlinkowanie ich lub załadowanie pełnych utworów na prezydencką stronę. A przecież większość adresatów Prezydenckiego Kanonu nie posiada pewnie na półkach domowych utworów Szymona Starowolskiego, Wespazjana Kochowskiego, Cypriana Godebskiego czy Eugeniusza Małaczewskiego.

### Ciemny nadchodzi poganin

Czytam więc, wklejając w wyszukiwarkę kolejne tytuły, lub biegam między półkami, ściągając dawno niedotykane książki. Ten brak udostępnionych utworów obnaża powierzchowność i okazjonalność tej listy, jakby jej twórcom wcale nie chodziło o czytanie, ale manifestację tytułów złączonych w kabalistyczną sumę 44. Jak wiemy, Mickiewicz użył jej jako sekretnego anagramu własnego imienia, dodając wskazówkę o pochodzeniu przyszłego zbawcy Polski, który ma być z „obcej matki", a „krew jego dawne bohatery". Ksawery Branicki wspominał, że sam Mickiewicz objaśnił mu ten fragment, mówiąc: „Mój ojciec z Mazurów, matka moja Majewska z wychrztów, jestem więc na pół Lechitą, na pół Izraelitą... i tym się szczycę!"". Jeśli więc Mickiewiczowskie „44" patronuje kanonowi niepodległości, to niech ona znaczy też, że święte teksty polskiej literatury napisali Litwini, Mazurzy, Izraelici... i Inni.

Czytam zatem i nie oburza mnie ten zestaw ani nie martwi widomy zamysł ideologicznego wykorzystania literatury. Całość przedsięwzięcia raczej mnie rozczula. Wiele z tych utworów jest tak bezbronnych wobec obecnego stanu kultury (nie)czytania, jakby wręcz chciały okazać pragnienie niepodobania się. Rozumiem plan użycia literatury jako środka transmisji przesłania ideologicznego, ale nie pojmuję, jak – poza przymusem szkolnym – skłonić młodzież do lektury Wespazjana Kochowskiego czy Szymona Starowolskiego. Nie tylko więc nie czuję się indoktrynowany, ale sam siebie i innych zachęcam: „weź, czytaj!", ponieważ to szlachetna praca. Poza tym nawet słuszna ideologicznie, ale dobrze napisana literatura zawsze zmąci ideowe manipulacje urzędnika od kultury.

Weźmy pierwszy z brzegu kawałek, czyli proponowany rozdział „Starej baśni" Kraszewskiego, w którym czytelnik być może powinien zobaczyć prapiastowskie źródła polskiego antygermanizmu. Kraszewski racjonalizuje legendarną scenę wizyty aniołów na uczcie Piasta Kołodzieja. W powieści to wędrowni mnisi, którzy chcą nawrócić pogańskiego pra-Polaka na chrześcijaństwo, które, niestety, przychodzi z Niemiec:

„– Jamci jest Koszyczka synem – odpowiedział Piastun – żyję swym obyczajem, drzwi moje nie zamykają się przed nikim, ale dostatku, do jakiegoście może nawykli, nie znajdziecie u mnie. Kmieciem jestem i bartnikiem, żyję jak ojcowie (...) Przy dawnym obyczaju stoję (...) Dzikimi nas za to zowią, a my dzikimi zowiemy tych, co odzież nosząc lepszą i oręż piękniejszy, serca drapieżne mają (...) Że na gród was nie puszczono, dziwić się nie powinniście, niepokój tam musi panować wielki...

– Cóż to się dzieje? – spytał gość.

– Między kmieciami a kneziem sprawa – mówił Piastun. – Niemkinię za żonę wziął i po niemiecku zażywać nas chce, a myśmy do swobody nawykli i obcego prawa ani obyczaju znać nie chcemy.

*Jan Matejko, Wernyhora, 1883-1884 r.*

PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

↦ Gość się na to uśmiechnął.

– Czy wiarę też nową – spytał – myślał zaprowadzać?

– O tej my od niegośmy nie słyszeli – odparł Piastun – choć o niej inni ludzie różne wieści głoszą... Obcego nic znać nie chcemy.

– Dobrze czynicie – rzekł gość – ale nie wszystko cudze złym jest. Z mowy naszej poznajecie, że my Niemcami nie jesteśmy, ani ja, ani towarzysz mój, ale co dobrym mają, to od nich wziąć się godzi.

– A cóż dobrego stamtąd przywożą? – mówił gospodarz – nie wiem. Jeśli oręż, co zabija, zbójeckie to dobro, jeśli świecidła, co niewiasty płochymi czynią, trucizna to. Mamy ziemię swą, co nas żywi, pieśni swe i dzieje, które karmią, bogi nasze (...) cudzego nic nie potrzebujemy.

Gość młodszy westchnął.

– Wiele z Niemiec idzie – rzekł – ale przez Niemcy tylko przechodzi i nie jest niemieckim. A gdyby przez ich kraj płynęło błogosławieństwo i pokój dla świata?

– Pokój? Błogosławieństwo? – spytał Piastun – święte to rzeczy są, ale jakżeby przez ręce ludzi, co łupieżą i morderstwem żyją, iść one mogły?".

No i jak tu „ciemnemu poganinowi" wyjaśnić, że krzyż miecza i krzyż Chrystusa trzymane w tych samych rękach niosą i morderstwo, i Dobrą Nowinę? A jak zabawnie i kłopotliwie współczesny jest ten fragment czytany dziś. Eksport do Niemiec jest OK, a różne marki aut stamtąd tak bardzo pożądane, że nawet limuzyny rząd polski i prezydent kupują od wroga odwiecznego Polaków. Poważniej zaś – także kwestia niepodległości komplikuje się w tym prostym dialogu i dzieli na co najmniej trzy poszczególne: etniczną (wobec Niemców), stanową (wolni chłopi wobec Popiela), religijną (poganie wobec chrześcijaństwa). Kraszewski uruchamia wyobraźnię czytelnika, który razem z Piastem musi się głowić, jakiej niepodległości bronić, a jaka jest nie do obrony, a wręcz czy jej utrata nie okaże się historycznie korzystna?

Czytanie rozumiejące okazuje się natychmiast rozważaniem rozmaitych odmian polskiego losu egzystencjalnego i historycznego. A że literaturze właściwe są wieloznaczność i prymat estetyki nad ideologią, toteż Kraszewski miesza w powieściowym garnku legendę, historię, gusła, czary, politykę, źródła historyczne, aluzje do zaborców. Ta narracja chce się podobać, wdzięczy się bezwstydnie fabularną atrakcją, która wyziera spod ideowych pouczeń.

### Wiktoryja szczęśliwa

Wywrotowy efekt czytania Kanonu szczególnie dobrze widać we fragmentach militarnych, których patriotyczne przesłanie wydaje się oczywiste. Tymczasem na fragmentach o bitwie pod Wiedniem opisanej przez Jana Chryzostoma Paska zęby połamie sobie każdy misjonarz literatury.

„Pamiętniki" to dzieło genialnego gaduły, dzikiego naturszczyka opowiadania, którego popęd mowy wiedzie, gdzie chce, i chroni przed polerowaniem oraz tuszowaniem przygód wojennych. Szczerze więc Pasek wyznaje, że pod Wiedeń doprowadziła go w równym stopniu misja walki z islamem, co nadzieja na bogate łupy. Wylicza ze skrupulatnością magazyniera, co tam można w obozie tureckim znaleźć, czemu towarzyszy mimowolny podziw dla muzułmańskiej kultury życia codziennego i poszanowania cudzej własności:

„Powiadali nasi, jakie to tam Turcy mieli wygody w tych swoich namiotach, co to i wanny, i łaźnie ze wszystkim jako w miastach aparamentem i zaraz przy nich studnie śliczne cembrowane, mydła perfumowane, po listwach stosami leżące, wódki pachniące w baniach; aptyczki znowu osobne z rożnymi balsamami, wódkami i innymi należytościami, śrebrne naczynia do wody, nalewki i miednice takież do umywania, noże, andżary, rubinami i diamentami nasadzane, zegarki specjalne, na złotych obiciach wiszące, pacierze albo szafirowe, albo, jeżeli koralowe, rubinami albo jakim drogiem kamieniem nasadzane, nawet piniądze, albo stosami w workach na ziemi leżące, albo tak goło na ziemi w namiocie na kupach posypane, nigdzie w szkatułach, chyba u tych mniej dostatnich to w sepeciku zasznurowane – bo tam nie masz zwyczaju, żeby miał jeden drugiemu ukraść, i złodzieja między Turkami nie znajdzie – victualia zaś rożne specjalne od ryżow, miąs, chlebów, mąki, maseł, cukrów, oliw i inszych. (...)

Miła tedy i ochotna każdemu ma być wojna na Turczyna, nie żal i skory szczerze nadstawić, kiedy wiem, że zwyciężywszy, będzie za co plasterek kupić i czym ranę zawinąć".

Przeczucia i nadzieje się spełniają, gdyż „stanęła ta wiktorya szczęśliwa dnia 12 września; rozweseliła wszystko chrześcijaństwo, rozweseliła cesarza zdesperowanego, Bogu się tylko w opiekę oddającego; rozweseliła całą Rzeszą niemiecką, a osobliwie incolas miasta wiedeńskiego". Czytamy więc dalej o triumfie wiedeńskim we fragmencie „Psalmodii polskiej", gdzie Wespazjan Kochowski potwierdza powszechną radość, także tych, co na niej materialnie skorzystali: „Mało trzy dni było do zbierania korzyści. Brali nie tylko żołnierze odbieżane dostatki, ale i dzieci mało z pospolitym gminem" („Psalm XXVI »Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie«").

### Nie wywinie się biskup

Czytane po kolei utwory z Kanonu wcale nie układają się w spójną ideowo całość. Przeciwnie, nieprzygotowanemu czytelnikowi zaczyna się nieźle mącić w głowie. Tylko trzy przykłady jasno to pokazują. Piast u Kraszewskiego wiedział, że Niemcy są wrogami, a tymczasem u Paska cała potęga armii Sobieskiego staje w ich obronie, co – pisze autor – „narodowi naszemu wieczystą zjednała sławę, gdyż i teraz przyznają to narody. Słyszałem to z ust jednego godnego pana, z francuskich [krajów] człowieka, który mówił, że *Poloni sunt genitores Germaniae*". Nie na długo jednak, bo już w utworze pod numerem trzynastym przeczytamy gorzkie pytanie Cypriana Godebskiego:

*Ale czyż dla Polaka tak jest przeznaczono,*
*Żeby od tych brał ciosy, których był obroną?*
*Myślałyż nasze dziady pod Wiedniem za Jana,*
*Że zamiast przyjaciela, dadzą wnukom pana?*

(„Wiersz do legiów polskich")

No to może ci tureccy mahometanie nie tacy najgorsi – pyta czytelnik – skoro Turcja nie uznała rozbiorów i udzielała gościny XIX-wiecznym żołnierzom i spiskowcom, takim jak m.in. Tadeusz Czacki, Józef Bem, Michał Czajkowski, Adam Mickiewicz, Marian Langiewicz? Czujemy zawrót głowy i to jest dobre, bo literatura jest bezcennym zapisem indywidualnego doświadczenia, które nie jest spójne, ale pełne sprzeczności i emocji. Im bardziej dziwne i niepojęte przeżywanie życia przez jednostkę i zbiorowość, tym bardziej domaga się ono adekwatnej formy, aby być rozumiane i przekazywane.

Ale jest przede wszystkim literatura grą słów, badaniem możliwości języka, wystawianiem na próbę czytelnika, popisem talentu autora. Dla przykładu, pod numerem dziesiątym znajdujemy słynny „drugi" hymn narodowy (po „Bo-

gurodzicy", a przed „Mazurkiem Dąbrowskiego"), czyli „Hymn do miłości ojczyzny" Ignacego Krasickiego:

*Święta miłości kochanej Ojczyzny!*
*Czują cię tylko umysły poczciwe!*
*Dla ciebie zjadłe smakują trucizny;*
*Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!*
*Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,*
*Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe!*
*Byle cię można wspomóc, byle wspierać,*
*Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!*

Niedawno Jaś Kapela, przerabiając fragment „Mazurka Dąbrowskiego" („Marsz, marsz, uchodźcy, z ziemi włoskiej do Polski, za naszym przewodem łączcie się z narodem") został skazany prawomocnym wyrokiem na grzywnę plus koszty sądowe. Biskup Krawsicki nie wywinąłby się tysiącem złotych za parodię swojego hymnu, jakiej dokonał w „Monachomachii":

*Wdzięczna miłości kochanej szklenice!*
*Czuje cię każdy, i słaby, i zdrowy;*
*Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,*
*Dla ciebie znośna duszność i ból głowy,*
*Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice.*
*W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.*
*Byle cię można znaleźć, byle kupić,*
*Nie żal skosztować, nie żal się i upić.*

Czy to obniża rangę wzoru? Nie, ponieważ śmiech i poczucie humoru także są produktem literatury, a w czasach marnych jedną z ostatnich form manifestowania przez jednostkę niepodległości umysłu. W tej wolności przekształcania arcydzieł kryje się wreszcie niepodległość samej literatury.

### Oskurowany perszeron

Są w Kanonie Niepodległości teksty różnej wartości artystycznej, ale nie krzywię się na to, ponieważ znalazły się tam jako świadectwa ważnych momentów w dziejach Polski. Tak jest z „Pieśnią konfederatów barskich", która zaśpiewana np. przez Jacka Kaczmarskiego robi wrażenie, natomiast tylko czytana już mniej:

*Stawam na placu z Boga ordynansu,*
*Rangę porzucam dla nieba wakansu.*
*Dla wolności ginę –*
*Wiary swej nie minę,*
*Ten jest mój azard.*

**Wolałbym, żeby ten Kanon był wynegocjowany** w formie społecznej akcji. Zyskałby wiarygodność i szansę trwałego oddziaływania na kulturę czytania w Polsce.

Jedynie obecność dwóch utworów wśród 44 wywołuje moją zdecydowaną niechęć. Ostatni (wiersz pt. „Epigonia"), ponieważ jego autor zapomniał o „kwestii smaku", która powinna nas ratować przed głupstwem, także politycznym, kiedy co innego zawodzi. Mocniejszy opór budzi jednak numer 32, czyli „Koń na wzgórzu" Eugeniusza Małaczewskiego. Zebrane tam opowiadania mówią o doświadczeniach autora podczas I wojny światowej i wojny z bolszewikami 1920 r. Małaczewski, niewątpliwie wstrząśnięty doświadczeniami wojennym, operuje mieszaniną sentymentalnego kiczu i makabry. Wyruszając na wojnę zostawia siostrę:

„W charakterze dziedziczki samorządnej pozostała w domu siostra, dużo ode mnie młodsza dzieweczka siedemnastoletnia, typowa »panienka ze dworu«, błękitnooka i jasnowłosa istota z rumieńcami wiejskiego zdrowia na wiecznie przekornej buzi. Przepasana fartuszkiem z różowego perkalu, rządziła się w całym domu jak szara gąska. (...) Kochaliśmy się ogromnie".

Siostra popełni samobójstwo rzucając się do studni podczas ucieczki przed próbującymi ją zgwałcić rosyjskimi żołnierzami. Powracający do zrujnowanego dworu brat spogląda w głąb studni. Na tym idyllicznym tle pojawią się kontrastowe sceny wojennego okrucieństwa, na czele z jedną z najpotworniejszych scen w polskiej literaturze. W tytułowym opowiadaniu bohater na czele małego oddziału natyka się na tytułowego konia.

„Był to potężny koń, z rasy koni pociągowych, tak zwany perszeron. Ale był to koń – odarty ze skóry. Wzdychając głęboko i postękując ludzkim prawie głosem, wgramoliło się po coś to żyjące ścierwo końskie aż na szczyt wzgórza. Jakże ohydnie świeciła ta poruszająca się kupa mięsa odartego dokładnie ze skóry, oprócz końskiego łba, który zwisał do ziemi ciężarem nie do udźwignięcia!

– Patrzcie, koledzy, ten koń ma nogę złamaną. Nie mogli go zabrać ze sobą, to, psiekrwie, skórę z niego zdarli i z sobą zabrali! – objaśniał kapral żołnierzy".

Czytanie literatury nie robi nam wyłącznie dobrze. Obraz taki jak ten jest nie do zniesienia. Nikt nie powinien na niego zbyt długo patrzeć, ale raczej chcieć działać. Jednak żaden czytelnik nie skróci wyobrażonej męki tego zwierzęcia. Pozostaje więc fantazja o zemście – za kobietę, za konia, za Polskę. Choć bohater, widząc ten obraz potworności wojny, traci chęć do zemsty, czytelnik niekoniecznie. Uważajmy z tym opowiadaniem, rekomendując Kanon do czytania w szkole.

### Żale sarmaty

Wolałbym, żeby ten Kanon był wynegocjowany w jakiejś formie społecznej akcji – zyskałby wiarygodność i szansę trwałego oddziaływania na kulturę czytania w Polsce. Niemniej uważam, że warto czytać proponowane tam teksty wbrew intencjom kompilatorów. Także po to, aby zobaczyć w literaturze polskiej nie tylko pochwałę niepodległości państwowej, ale również obrazy wolnego, niepodległego życia jednostki i wspólnoty mniejszej niż naród. Nie wolno też godzić się na obraz niepodległości zmilitaryzowanej, na którym miejsce mają tylko walczący i umierający, gdyż Polska to coś więcej niż „krwią piękną ziemia utłuszczona" („Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta, ostatniego polskiego króla z domu Jagiełłów").

Niepodległość przyniosły nam nie tylko piękne śmierci, ale i mądre życie naszych przodków. Polacy w XIX w. nazywali to troską o „zachowanie substancji", którą trzeba przekazać następcom, choćby po to, żeby mieli co czytać po polsku. Utwór określany jako „kanoniczny" żyje zwykle dłużej niż jedno pokolenie w dialogującej kontynuacji z następcami. A to wymaga długotrwałego udziału pisarzy i czytelników oraz procesów przejmowania tekstu literackiego przez inne media, jak muzyka czy film.

Ostatecznie każdy kanon, także „kanon niepodległości", ma sens tylko, jeśli istnieje niepodległy czytelnik, tzn. taki, który czyta sam, nieprzymuszony przez nauczyciela, a tym bardziej przez polityka. Nie tylko czyta, ale potrafi samodzielnie myśleć i mówić o tym, co przeczytał.

© RYSZARD KOZIOŁEK

MSN

*Edi Hila „W pełnym słońcu", 2005 r.*

# Ludzie przyszłości

MAŁGORZATA REJMER

**Edi Hila może dzisiaj malować, co chce, ale nie ma już w jego obrazach dawnej żywotności i rozedrgania. Czasem jeden detal zdradza rozpacz, cisza wzbiera w krzyk.**

Niesie się wieść, że w świecie sztuki sztywno kroczącej ścieżkami postępu ktoś namalował obraz unoszący się nad ziemią. Sylwetki młodzieży są jasne i sprężyste, pośród drzew lekkich, jak gdyby tańcujących, w pejzażu promienistym, w którym rozmyte wzgórza zamykają panoramę i odrywają przedmioty od znaczeń; krajobraz wiruje, przez obraz przepływa życie, które nie ogląda się na politykę, obowiązek i czyn społeczny; radość wibruje w jasności kolorów.

Tytuł jest wprawdzie słuszny jak trzeba, „Sadzenie drzew", ale mało w nim zamordyzmu odczasownikowego, a dużo afirmacji świata.

### Gdy przychodzi wiosna

Coś nowego! – szemrze tłum odwiedzający wystawę „Wiosna" w listopadzie 1971 r. Edi Hila, ledwie dwudziestosiedmioletni, maluje „Sadzenie drzew" w szczycie odwilży, o ile w ogóle można użyć tego słowa w odniesieniu do albańskiego komunizmu.

Wystawa to kolejny akt dobrej woli totalitarnego systemu – w ostatnich latach władza pozwala artystom i obywatelom zaczerpnąć nieco oddechu. Po zerwaniu sojuszy z Jugosławią i Związkiem Radzieckim, które okazały się zdradziecko rewizjonistyczne, Albania stawia na wieczną przyjaźń z Chinami. Towarzysz Komendant Enver Hodża powtarza, że młodzi są przyszłością narodu, że w emancypacji kobiet siła, że teraz jeszcze większa modernizacja i szybszy postęp. Przy okazji władza rozprawia się z religią, symbolizującą zacofanie, i zamyka kościoły, cerkwie i meczety; jedne burzy, inne przeznacza na magazyny, domy kultury i obiekty sportowe. Cała para idzie w gwizdek modernizacji, a nie ma przyszłości bez młodzieży.

Na tej samej wystawie w 1971 r. pojawia się także obraz „Epika gwiazd porannych", o alarmującym tytule, właściwej tematyce i niewłaściwej realizacji. Twórca, Edison Gjergo, namalował partyzantów przy ognisku – i dobrze – ale w tonacji niepokojącej, granatowo-zielonej z rysami czerwieni, a przecież wiadomo, że w czasach walki o komunizm nawet noce były jaśniejsze, twarze mniej posępne, jest w tym obrazie coś niepropagandowego.

Podsumowując: Hila – za pogodny, za bardzo go radość życia odciąga od komunistycznych ideałów. Gjergo – za smutny, nie umie się cieszyć komunistyczną egzystencją. Artyści z nich nieszablonowi, i owszem, dlatego władza przystawia swój szablon i na obydwu ma oko.

Tymczasem trwa bojaźliwe przedwiośnie, przez zapieczętowane granice sączy się zachodni świat. Ktoś zamknięty w łazience nuci przeboje z Radia Luksemburg, ktoś majstruje przy antenie, by złapać sygnał włoskiej telewizji, ktoś schowany pod kocem słucha Radia Watykan. Nawet Ra-

MSN

*Edi Hila „Scena uliczna", 2005 r.*

dio Tirana odkrywa przed Albańczykami burżuazyjnych szkodników The Beatles.

Edi Hila czuje ducha czasu i jako pracownik państwowej telewizji projektuje nową scenografię na nadchodzący jedenasty festiwal piosenki, bez ideologicznego sierpa i młota, za to z geometryczną instalacją w tle, jakby Albania była normalnym krajem, jakby Tirana była San Remo. Festiwal wygrywa piosenka „Kiedy przyjdzie wiosna", niestety, nie o miłości do partii. Służby bezpieczeństwa donoszą Hodży, że impreza dodała Albańczykom skrzydeł, ludzie śpiewają na głos w domach, tak bardzo wszyscy poczuli wiosnę w sercu, jakby byli w jakiejś Ameryce, jakby nie było czego się bać! Chce im się żyć, mieć i chcieć.

Ale poza ideologią, stabilną zgrzebnością i strachem system nic więcej nie może im dać.

### Gdy przychodzi zima

Niesie się wieść, że ci, z których władza nie spuszczała wzroku, teraz znaleźli się na celowniku.

Z wnętrza partii dochodzą głosy: skąd te burżuazyjne tęsknoty, rewizjonistyczne pragnienia, z której strony wieje wiatr, czy kiedyś zmiecie ich stalinowską twierdzę? Zaczynają się wieloletnie polowania na wolne dusze, na artystów, którzy w prywatnych rozmowach wątpili w słuszność systemu. Szpicle tropią drobne ślady niezadowolenia, w kieszeni mają paragraf o agitacji i propagandzie, idealny dla tych, co narzekają, że nie ma mleka i chleba.

Narasta niepokój i rośnie brzuch Joany, żony Ediego Hili, która jest w ciąży z ich pierwszym dzieckiem. Żeby zapanować nad lękiem, Hila maluje ten czas: Joanę dźwigającą wielką kulę brzucha, z odczłowieczonymi oczami, które nie widzą; Joanę, rozłożystą plamę czerwieni pośród beznadziejnej szarości; Joanę umieszczoną w ramie, jakby na zdjęciu, które zmieści się w kieszeni, gdy trzeba będzie szybko opuścić dom.

„Sadzenie drzew" zostaje zdemaskowane jako nie dość realistyczne, za mało pragmatyczne i za bardzo roztrzepotane, i jeszcze do tego ta niegodna scenografia festiwalu. Edi Hila potrzebuje reedukacji, uznaje władza, i artysta trafia tam, gdzie miejsce wichrzycieli, do zakładu przetwórstwa drobiu pod Tiraną. Reżim obchodzi się z nim nader łagodnie; w tym samym czasie Edison Gjergo dostaje osiem lat za stosowanie pesymistycznej palety i naśladowanie zachodnich tendencji, wyjdzie z więzienia jako człowiek przetrącony, alkohol wyprze mu krew z obiegu. Inny artysta, Maks Velo, trafi najpierw na zesłanie, potem za agitację i propagandę władza dołoży mu kolejne dziesięć lat; jeszcze wtedy Velo nie wie, że to jeden z najbliższych przyjaciół, malarz Llambi Blido, taśmowo produkuje na niego donosy.

– Nie było mowy o żadnym oporze – mówi Edi Hila, gdy rozmawiamy w kawiarni w Tiranie. – Kto zapragnął być dysydentem, trafiał do więzienia, nim zdążył cokolwiek zrobić.

Władza miała wszystkich podanych na tacy, wieści o egzekucjach i aresztowaniach artystów niosły się po kraju, ale przez lata nie przekraczały granic. Albania tkwiła w żelaznej pięści dyktatora, nieważna i zapomniana.

– Wolność można było mieć tylko w sobie – dodaje Hila – bo czasem nawet rodzina nie dawała schronienia przed władzą. Ja, na szczęście, miałem szwagra w Durrës, do którego zawoziłem wszystkie rysunki, niewielkie szkice tuszem, łatwe do schowania.

Edi Hila nie mówi, że każdy z nich był wyzwaniem rzucanym losowi. Zwłaszcza ↦

↦ jeden, „Wtyka służby bezpieczeństwa", przedstawiający klaunowatą postać z opasłym brzuchem, z groteskową maską zamiast twarzy i pustym wzrokiem; tak jak wszyscy grał rolę i narażał się na śmieszność, żeby przeżyć albo utrzymać skrawek władzy. Gra pozorów była walką o przetrwanie. Edi Hila przekonał się o tym na własnej skórze, gdy po reedukacji trafił do wydziału dekorowania miasta; teraz z jeszcze większą czujnością musiał wtopić się w system. Żeby nie oszaleć, potrzebował własnego wentyla bezpieczeństwa, niemych obrazków, na których system pienił się plakatami, błazen pod krawatem osuwał się w bezrozumne pijaństwo, człowiek zamieniał się w cień na kartce papieru.

A jednak gdy patrzę na inne rysunki z lat 80., uderza mnie ich swawolna energia, niefrasobliwa żywotność. Cykl „Morze południowe. Powrót do siebie" to wizualna pieśń na cześć życia, z kotłującymi się ciałami, beztroskimi w nagości, z kobietami o wielkich kulach piersi, z ptakami, które rwą się ku niebu, z magmą ludzką wyzwoloną i triumfującą. W czasach, gdy system nie uznawał „ja", te rysunki są opowieścią o zwycięstwie ciała, o tym, że tylko dzięki wewnętrznej emigracji można było znaleźć przestrzeń, która daje wolność, że tylko wracając do siebie można było wyjść poza schemat systemu.

W tym czasie Envera Hodży już nie ma; jego następca Ramiz Alia stopniowo poluzowuje cugle władzy, wśród beznadziei nędzy ciało szarpie się do życia.

MSN

**EDI HILA** (ur. 1944) jest malarzem. Pracuje w Tiranie, od początku lat 90. jest związany z tamtejszą Akademią Sztuk Pięknych. Jego uczniem jest m.in. obecny premier Albanii, Edi Rama. Hila kształcił się w rodzinnej Szkodrze, w czasie studiów w latach 60. eksperymentował z deformacją. Zanim naraził się komunistycznym władzom i przekreślił swe szanse na oficjalne uprawianie sztuki, wyjechał w 1973 r. na krótki pobyt do Florencji. Malarstwo renesansowe wywarło na niego ogromny wpływ. Za odstępstwo od socrealizmu został skierowany na trzy lata do pracy w zakładach drobiarskich. Po upadku reżimu Envera Hodży obserwował zmieniające się życie i starał się oddać w obrazach realia albańskiej transformacji. (źródło: MSN)

### Gdy przychodzi nowe

Niesie się wieść, że zaraz otworzą granice; wreszcie narastającą falą rusza eksodus, z nędzy i z ciekawości świata. Ludzie ruszają przed siebie wąskimi ścieżkami przez góry, wsiadają do motorówek, łodzi, na tratwy, porywają okręty i płyną do lepszego świata, gdzie nikt ich nie chce, ale jeszcze tego nie wiedzą; gdyby Adriatyk zamarzł, w kraju ostałby się tylko pies z kulawą nogą.

Jesteśmy ludźmi przyszłości, myślą Albańczycy, teraz wszystko będzie jak w Europie, wszystko będzie wspanialej, jak trzeba. „Demokracja i wolność! – krzyczą ludzie na ulicach. – Zaczynamy od zera!". I ruszają na szkoły i szpitale, i niszczą, co się da, tak się żegnają ze starym systemem. Sypią się komunistyczne szyby, bo Sali Berisha wstawi nam nowe. Trwają wędrówki ludów, kto może, ten wyjeżdża, kto nie może, przenosi się ze wsi do miasta. Władza robi krok do tyłu i się kuli, strzelają pistolety, wybuchają bomby, dziewczęta znikają, chłopcy robią biznesy na tylnych siedzeniach mercedesów, kto się na coś załapie, ma szczęście, a kto nie, to won. Mało kto maluje, mało kto pisze, świat zmienia się za szybko, by móc cokolwiek z tego zrozumieć. Wolność miała być piękna i łatwa, a okazuje się strachem i chaosem, bogactwo miało być szybkie i syte, a okazuje się złaknioną i przewlekłą nędzą.

Po sześciu latach wolności szlag trafia piramidy biznesowe, krótkotrwałe nadzieje na spokojną przyszłość, i Albańczycy, którzy ledwo coś uciułali, znowu zostają z niczym. Przez cały kraj niesie się gniew. W przeklętym roku 1997 r. wybucha karnawał przemocy, wymierzonej w polityków i w tę nieszczęsną transformację, która miała być inna, łatwiejsza. Zdesperowani ludzie plądrują magazyny z bronią i kanonadą strzelają w powietrze, do gwiazd; przemoc staje się zabawą, zabawa głupkowato i przypadkowo zabiera życia. Kto może, ucieka z Albanii jak z tonącego okrętu.

W ciemnościach nocy włoski okręt taranuje statek z Albańczykami, ludzie przyszłości wpadają do morza, więcej niż osiemdziesiąt kobiet i dzieci wraz ze statkiem idzie na dno. Na obrazach Ediego Hili czarny statek widmo płynie przez czarną wodę w kokonie szarej mgły, dwie czarne sylwetki spadają w czerń kuli, marzenia zamieniają się w koszmar, los Albańczyka pożera otchłań. W cyklu „Ludzie przyszłości" Edi Hila uchwycił albańską nieświadomość zbiorową w ogromie jej chaosu, ale przez czerń rozpaczy przebija się światło.

Po 1997 r. wydawało się, że gorzej już nie będzie, i na szczęście – nie było.

### Gdy przychodzi smutek

Niosą się wieści, bo wszyscy plotkują, gardłują, charczą i warczą, ale nikt nikogo nie słucha. W dudniącym wielokrzyku nie wiadomo już, kto mówi rzeczy ważne, bo nie ma publiczności, jest tylko ryk.

Po 1991 r. Edi Hila zostaje dziekanem Akademii Sztuk Pięknych. Widzi, że nowa Albania jest krajem drapieżnym, w którym ludzie zbyt zajęci są zarabianiem pieniędzy, by myśleć o akademii, sztuce i pięknie.

Albańska transformacja dała ludziom wolność, ale odebrała poczucie bezpieczeństwa, dała możliwości, ale odebrała godność, otworzyła ludziom usta, ale z ust wydobył się bełkot. Reżimową bezwzględność totalitarnej kliki zastąpiła oligarchiczna arogancja, wspólną i sprawiedliwie podzieloną nędzę zastąpiło niebywałe bogactwo garstki szemranych biznesmenów. Komunistyczne ideały o nowym człowieku, budującym postęp, zastąpił ideał bezmyślnie bogatego gangstera, budującego dla siebie penthouse na wzgórzach wokół Tirany, twierdzę, w której mógłby odgrodzić się od biednych i sponiewieranych, i zapomnieć, że wokół jest ta straszna, zmarnowana Albania, ojczyzna, którą bardzo kocha, ale w której nic się nie da zrobić, i dlatego dzieci wyśle na studia za granicą.

Bo cóż jest wokół: jakaś przybudówka, jakaś prowizorka, jakaś przechodzona suknia ślubna, jakieś rusztowania, jakieś pręty zbrojeniowe, jakiś krzywy dom, i przy drodze brudne akwarium z kiszącymi się rybami, wypisz wymaluj Albania, ludzkie ryby, które nie mogą płynąć

tam, gdzie by chciały, nieszczęśliwe ryby, które zamiast żyć w jeziorze, wylądowały w klatce ze szkła.

Takie obrazy z rzeczywistości wybiera w nowych czasach Edi Hila; malarz, który odcinał się od skłamanego realizmu komunistycznej władzy, dziś może malować, co chce, ale nie ma w jego obrazach dawnej żywotności i rozedrgania. Sceny są statyczne, dominują powściągliwe plamy kolorów, ale czasem jeden detal zdradza rozpacz, dekonstruuje pozorny spokój obrazu, ciszę zbierającą się w krzyk. „Bulwar Bohaterów Narodu", cykl obrazów przedstawiających centrum kraju, to apokaliptyczna przestrzeń upadku, w której nie ma już ludzi. Wszyscy wyjechali. Została tylko potężna architektura o ślepych oknach, pusta fontanna w środku miasta, straszliwa czarna płachta po zdjętej reklamie, która nie uwiedzie już nikogo – scenografia umarłego miasta.

Właśnie te obrazy prezentowane były w galerii COD, stworzonej przez premiera i artystę Ediego Ramę „przestrzeni otwartości i dialogu". Tirana już za chwilę stanie się miastem sztuki i spełnionych marzeń, w telewizji szczęśliwy burmistrz codziennie sadzi drzewo, a nieoficjalnie wydaje kolejne pozwolenia na budowę wieżowców w zakorkowanym centrum, na otaczających Tiranę polach przez dwa ostatnie lata rosła marihuana, albańska kiełbasa wyborcza, ludzie cieszyli się, że wreszcie jest praca łatwa i bezpieczna, bo pod opieką policji. Gorzej już nie będzie. Właściwie nigdy nie było tak dobrze. Żeby tylko wyjechać.

Edi Rama mówi, że poziomem życia Albania dorównuje Włochom. Według międzynarodowego rankingu szczęścia Albańczycy są najsmutniejszym narodem na Bałkanach, tkwią w światowym ogonie pomyślności, gdzieś między Sierra Leone a Irakiem. Główny plac Tirany mieni się kolorami podczas nieustających imprez plenerowych, igrzysk nie brakuje, dużo gorzej jest z chlebem.

Edi Hila nie chce rozmawiać ani o albańskiej polityce, ani o rzeczywistości, po co kolejny raz strzępić język? I tak wszystko, co powinniśmy zrozumieć, jest na obrazach. © MAŁGORZATA REJMER

*Wystawa* **EDI HILA. MALARZ TRANSFORMACJI,** *Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, czynna do 6 maja. Reprodukcje obrazów z kolekcji Briana McCarthy'ego i Daniela Sagera dzięki uprzejmości Muzeum.*

# Gdzie jest Björk?

ROBERT KASPRZYCKI

**Muzyka, poezja, twórczość stanowią w jej życiu cel sam w sobie. Wszystko jest muzyką, wszystko jest poezją. I zmierza do samozniszczenia.**

Zaczęło się przy barze. W tle muzyczna stacja odprawiała mszę za duszę Dolores O'Riordan, irlandzka whisky powoli parowała w szklaneczce, zaś przyjaciel zadał mi podchwytliwe pytanie: „Właściwie dlaczego piszesz tylko o śpiewających facetach?". Fakt. Wspominaliśmy O'Riordan, pojawił się wątek Sinéad O'Connor, i już te dwa nazwiska wystarczyły, by zauważyć, iż muzyczny firmament lat 90., prócz smutnych bardów, depresjonistów i rockowych męczenników: Cobaina, Veddera, Staleya, Weilanda, Cornella – posiadał również pierwiastek żeński. Trawestując klasyka – wciąż brzmiały w nas głosy dobrych wróżek: Kate Bush, Sinéad O'Connor, Lisy Gerrard, dzięki którym odgadujemy daty naszego życia.

Szczególnie jednak intensywnie brzmiał głos tej, która w momencie najwyższego wzlotu zdominowała radiowy eter i telewizje muzyczne, kosząc nagrody BRIT, MTV, MOJO, całe garście skandynawskich nagród muzycznych, nominacje do Grammy, Oscara oraz dwóch Złotych Globów, a w roku 2000 nagrodę w Cannes za rolę w „Tańcząc w ciemnościach". Niezwykła totalność Björk, bo o niej oczywiście mowa, jej wszechobecność – ją się oglądało, jej się słuchało, przy niej się tańczyło – każe zadać sobie pytanie: „gdzie jest Björk dzisiaj?". Czy rzeczywiście możemy o niej zaśpiewać słowami Edyty Bartosiewicz: „Dokąd odeszłaś moja piękna / Co z Tobą stało się? / W swe siły zbyt ufna / Zgubiłaś drogę / Nocą bezsenna / Zlękniona dniem?". Chyba nie do końca.

### Bogini autodestrukcji

Ostatnie dwa albumy pochodzą z lat 2014 i 2017. Björk pisze, produkuje, nagrywa, koncertuje – zaś jej teledyski to niezmiennie arcydzieła. Zresztą gdyby faktycznie odeszła, czy byłoby to aż tak dziwne? Nagrała masę płyt, wprowadziła do muzycznego krwiobiegu dziesiątki piosenek, zmieniła definicję ambitnego popu. Cena, jaką płaci się za bycie artystką, jest w dodatku nieporównywalna z tym, co musi z siebie oddać artysta. Inaczej bowiem postrzega się kobiety, inaczej mężczyzn, inaczej wygląda droga, którą muszą przejść od spektakularnego debiutu do dojrzałości, inne są wymagania i stereotypy zachowań. Trudno jednak powiedzieć, że jest Björk artystką zapomnianą i przebrzmiałą.

Oczywiście gdyby jakiś dziennikarz śledczy uparł się, żeby znaleźć powody domniemanej absencji, mógłby przy pomocy prostych narzędzi wykręcić teoryjkę o szalonej Islandce i jej odwiecznych problemach z emocjami, kontrolowaniem agresji, ba, nawet zachowaniami z rejonu, który psychiatrzy nazywają *borderline* – i, na upartego, miałby na to dowody. Alkohol: „ulubiony napój – każdy napój alkoholowy, kiedyś piłam litr tygodniowo". Seks: „pojawiło się nowe pokolenie mężczyzn, którzy wcale nie chcą być macho. To się nawet stało niemodne. Teraz takie cechy powinny mieć kobiety. Ja sama jestem w dużym stopniu macho". Przemoc: „W 1996 r. na lotnisku w Bangkoku powaliła na ziemię i pobiła dziennikarkę Julie Kaufman, która próbowała indagować jej syna, Sindriego". Toksyczne związki: „Niemal każdy mężczyzna, który wchodził z nią w bliższe relacje, ze szczególnym uwzględnieniem gwiazdy trip-hopu – Goldiego". Toksyczny wpływ na fanów: „12 września 1996 r. obsesyjny fan Ricardo López wysłał listową bombę z kwasem do londyńskiego domu Björk. Pakiet został przechwycony przez policję". López napisał pamiętnik i nagrał 22 godziny na wideo, gdzie opisał swoją obsesję na punkcie Björk, związek Björk z Goldiem, i kończąc nagranie samobójstwem. ↦

↦ Idąc dalej, dla czarnopodniebiennego zwolennika frazy „Normalna Rodzina – Chłopak i Dziewczyna" Björk od narodzin skazana była na autozagładę – wszak dziecko z rozbitej rodziny nie wyrośnie na nic dobrego. Miks: ojciec inżynier, matka rozchwiana psychicznie hippiska – nie obiecywał wiele dobrego. Późniejszy fakt przemieszkiwania z matką i jej partnerem, liderem bluesowej kapeli – jeszcze mniej.

Dodajmy kolejne traumatyzujące elementy: nagranie pierwszej płyty w wieku lat 11, muzykowanie z bandem ojczyma, a później już tylko droga w dół: piętnastolatka formująca kapele punkowe, gwiazda alternatywy w wieku lat dwudziestu kilku, wczesne wejście w świat rozrywek i używek, pobyt w Londynie lat 90., który swym narkotycznym rozwibrowaniem nie ulegał temu z lat 60. Oczywiście Björk nie udało się osiągnąć poziomu famfatalności Courtney Love, której zamordowanie męża, Kurta Cobaina, przypisuje się równie często jak dokonanie kolejnej operacji plastycznej. Jednak uznać należy, że w świecie div popu, rocka, jazzu, które jakże często wpadały w łapy damskich bokserów, Björk jawi się jako prawdziwa bogini autodestrukcji i promiskuityzmu.

Gdyby rzeczywiście szukać powodów wycofania się Björk z pierwszego obiegu, byłoby to raczej znudzenie się muzyką i kierunkiem, w jakim poszedł współczesny show biznes. Ale i ten trop jest chybiony. Muzyka, poezja, twórczość stanowią w życiu Björk cel sam w sobie – wszystko jest muzyką, wszystko jest poezją. Już wczesne próby liryczne były zapisem „ja", połączeniem rocka, sztuki, poezji, performance'u, a piosenki stanowiły pamiętnik intymny, zapiski doświadczeń. Nieprzypadkowo wśród swych idoli wymieniała postaci tak odmienne jak Karlheinz Stockhausen, David Attenborough, Carl Sagan, Georges Bataille, Astrid Lindgren czy Tove Jansson – piewców rewolucji, buntu, przełamywania stereotypów i penetrowania pogranicza.

### Girl power

Björk zatem nie chciała być grzeczną dziewczynką, która, jak Cindy Lauper dekadę wcześniej, przeprasza, że „chce mieć *fun*". Przychodziła po swoje i nie brała jeńców, za nic mając słowa Kim Gordon, basistki i wokalistki Sonic Youth, która w swej – skądinąd świetnej – autobiografii „Dziewczyna z zespołu" twierdziła, iż

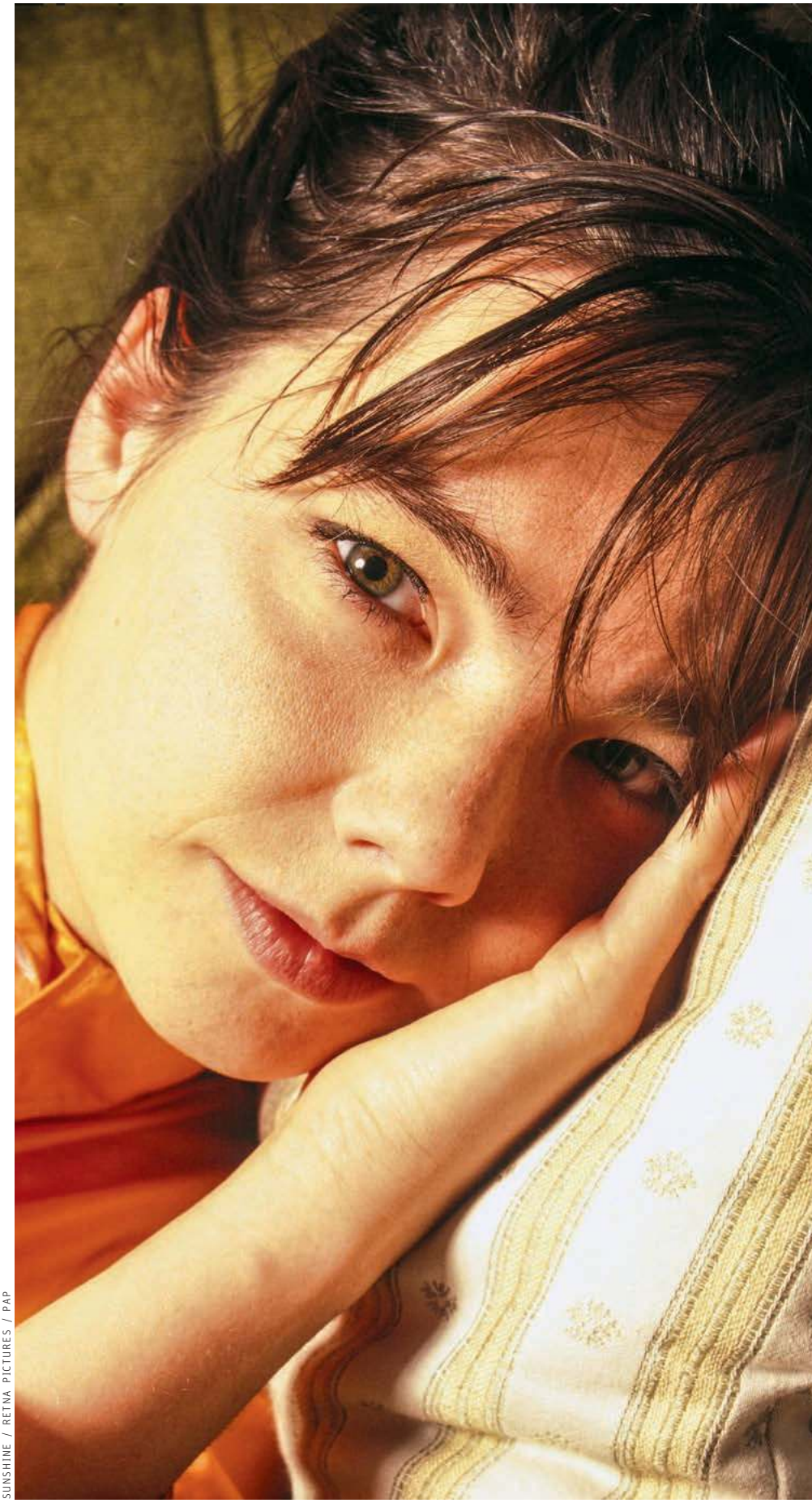

SUNSHINE / RETNA PICTURES / PAP

„sztuka, dzikość i przekraczanie granic to męskie sprawy, rzemiosło, kontrola, wygładzanie – są dla kobiet. Nasza kultura nie pozwala kobietom na swobodę, jakiej pragną, ponieważ budzi to strach. Takie artystki są albo bardzo odrzucane, albo uznane za wariatki. Wokalistki, które śpiewają za mocno, za ostro, zwykle nie działają długo. Są jak strzały w locie, iskry, komety: Janis Joplin, Billie Holiday. Poza tym kobieta, która przesuwa granice, ukazuje również mniej pożądane aspekty samej siebie. Ostatecznie kobiety mają podtrzymywać świat, a nie unicestwiać go. Termin *girl power* został ukuty przez ruch Riot Grrrl, którego Kathleen była inicjatorką w latach 90. Hasło to później przejęła grupa Spice Girls, jak na ironię stworzona przez mężczyzn: każda z występujących w niej dziewczyn miała reprezentować inny typ osobowości, wygładzony i wystylizowany, aby stać się chodliwym towarem".

Björk miała w sobie tę *girl power* od zawsze. Zmieniała składy, inspiracje, mężczyzn (co na jedno wychodziło) – mając za sobą *de facto* kilka debiutów. Ten maleńki, kiedy jako 11-letnia dziewczynka z kapelą ojczyma nagrała swój pierwszy album, i kilka pomniejszych – w formacjach punkowych, gotyckich, awangardowych, wreszcie poważny sukces z Sugarcubes. A kiedy ich energia się wypaliła, skoczyła na głęboką wodę, przeflancowując się z Londynu, gdzie rozpoczęła współpracę z Nelleem Hooperem, która przyniosła jej nie tylko pierwszy solowy przebój „*Human Behavior*" (będący miksem triphopowego loopa z motywem zaczerpniętym z „*Go Down Dying*" Antonia Carlosa Jobima), lecz także uczyniła ją ikoną wizualną. Utwór stał się debiutem Björk jako gwiazdy MTV i muzy reżysera filmowego Michela Gondry'ego. Już solowy „*Debut*" był doskonałym streszczeniem tego, co czekało nas w przyszłości. Björk, inspirując się bollywoodzkimi rytmami, jazzem granym na harfie, ścianami nakładających się na siebie głosów, pasażami fletów, eksperymentami wykraczającymi daleko poza estetykę popową, musicalową, rockową, trip czy hiphopową – nadała słowu „eklektyzm" zadziwiający blask.

### Pippi Wiking

Wszystko, co robiła później, było dosłownie fenomenalne – jak zjawiska natury. Barwa, czy raczej barwy głosu, jakieś zmysłowe szaleństwo, w jednej chwili przechodzące od liryzmu małej dziewczynki do ekstazy wyuzdanej menady – nieprzypadkowo odnoszę się tu do tytułu jednej z jej piosenek, „*Pagan Poetry*" – sprawiały, że Björk była tyleż fascynująca, ile przerażająca. Jej muzyka miała w sobie jakiś przedreligijny, pogański, ekstatyczny zaśpiew, zaszept, inkantacje bezpośrednio wywodzące się z krainy, która ją wydała, z wyspy będącej stopem ognia i lodu, wulkanów i lodowców, między którymi nadal dźwięczą nordyckie eddy, gdzie rola kobiety, kapłanki, Walkirii mało ma wspólnego z niemieckim trzy razy „K": „*Kinder, Küche, Kirche*" („kołyska, kuchnia, kruchta").

W wywiadach Björk często mitologizowała wątek Islandii jako krainy Wikingów, którzy chcieli popłynąć jeszcze dalej ku wolności. Bunt w wydaniu Björk miał też w sobie niezwykły ładunek sentymentalny – była jak mała Pippi Langstrumpf: niezależna, odważna, bezkompromisowa bohaterka Astrid Lindgren, mała wojowniczka, która sprzeciwiała się całemu światu. I jeszcze jedna kwestia – w jakiś niezwykły, dwuznaczny sposób Björk zrywała z wizerunkiem kobiety jako „małej kobietki", „odpoczynku wojownika". Była w niej jednocześnie wyzywająca niezależność, ciepła dziewczęcość, dojrzałość młodej matki; a także niezgoda na seksualną opresywność muzycznego show biznesu, który chyba jeszcze bardziej niż ten kinowy może o sobie rzec: „*It's a man's world*".

### Tygodnikowy trop

Rewolucja w wydaniu Björk dotyczyła nie tylko zaanektowania popowego poletka przez wrażliwość muzyczną wywodzącą się ze wspomnianego Stockhausena. Björk nie posunęła się do porównania zamachu 11 września z dziełem sztuki, jednak walczyła z pojęciem sztuki jako domeny jednostek wyjątkowych: „Myślenie, że nowatorska energia tkwi tylko w wybranych ludziach, jest po prostu grubym błędem, bo tu nie ma żadnej hierarchii. Ta energia należy do wszystkich. Twórczy może być nawet taksówkarz, który ma poczucie humoru". Specyficzne było także jej podejście do instrumentarium. Jako klasyczna pianistka i flecistka ośmielała się twierdzić: „Jestem zdumiona, gdy słyszę, że muzyka elektroniczna nie ma duszy i że to wszystko przez komputery. Jeśli muzyka jest bezduszna, to znaczy, że ktoś nie włożył w nią serca".

Późniejsze albumy, będące niekiedy zestawami świetnych piosenek, niekiedy kapryśnych eksperymentów muzycznych, odzwierciedlały pewien wzór, który Björk starała się wcielać w życie niemal od początku. Bardzo wcześnie zaufała technologii (tu znów kłania się Stockhausen z jego fascynacją elektroniką), dążąc zarazem do sytuacji, która pozwalałaby na jednoczesne kreowanie pomysłów i wcielanie ich w życie. A urządzeniem preferowanym przez islandzką artystkę były macbooki – laptopy firmy Apple, w których najprostsza wersja programu muzycznego do edycji dźwięków oferowała dostęp do technologii, która nawet w najskromniejszej konfiguracji – zestaw laptop plus prosty interfejs plus niezłej klasy mikrofon do wokalu plus program do obróbki dźwięku – pozwalała na niezwykle twórcze sytuacje.

Ów *home recording*, czy w przypadku Björk *hotel recording*, pozwalał jej, jako ↦

TP

## ZAiKS – stu nowych lat na stulecie!

**TO JUŻ STO LAT MINĘŁO** od chwili, kiedy 18 marca 1918 r. w warszawskiej kawiarni Udziałowa grupa satyryków, aktorów i muzyków, wśród nich Julian Tuwim i Jan Brzechwa, powołała do życia Związek Artystów Kabaretowych, w roku następnym przemianowany na Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych.

Skromne początki nie zapowiadały, że ZAiKS przekształci się stopniowo w największą polską organizację zrzeszającą twórców z różnych dziedzin i broniącą ich praw. Że przyczyni się do uchwalenia jednej z pierwszych w Europie ustaw o prawach autorskich. Że odrodzi się natychmiast po zakończeniu II wojny, a później przetrwa zarówno epokę Peerelu, jak i zmianę ustroju. Że dziś będzie święcić jubileusz, mając wśród członków honorowych najwybitniejszych naszych artystów i pisarzy.

Tym, którzy ZAiKS tworzą, życzymy następnych stu lat i energii niezbędnej, by wspierać twórców różnych pokoleń, a tym samym – polską kulturę.

„TYGODNIK POWSZECHNY"

↦ wiecznej nomadce, pracować w drodze, polować na nowe brzmienia, zestroje brzmieniowe czy nawet samodzielnie dokonywać pełnych aranżacji i orkiestracji. Aby jednak nie zawężać się do stosowania wyłącznie gotowych rozwiązań, Björk gotowa była wykopywać nowe skarby nawet spod ziemi. Można przywołać trop krakowski, ba, nawet „Tygodnikowy". Na albumie „*Vulnicura*" z roku 2014 zastosowała Björk *viola organista*, smyczkowy instrument obsługiwany przy pomocy klawiatury, zaprojektowany przez samego Leonarda da Vinci, odtworzony przez Sławomira Zubrzyckiego z Krakowa, który zrekonstruował go, wyciągnąwszy z muzealnego niebytu. Świat (w tym Björk) zobaczył go i usłyszał na YouTubie, dzięki zrealizowanemu przez „Tygodnik" filmowi [zobacz na powszech.net/viola].

### Życzenia milczenia

W 2015 r., w nowojorskim Museum of Modern Art, odbyła się wystawa retrospektywna poświęcona dorobkowi Björk na polu nie tylko jej działań muzycznych, ale i multimedialnych. W tym samym roku „Time Magazine" zamieścił ją na liście stu najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Fakt, iż od chwili debiutu sprzedano od 20 do 40 mln płyt, sprawia, iż chyba każdemu artyście wypada życzyć takiego milczenia i wygnania.

Cały ten propagandowy bełkot jest – jak się zdaje – wynikiem podświadomego dostosowania naszych odczuć do współczesnych standardów marketingowych czy biadoleń dziennikarzy, dla których dwuletnia nieobecność na listach przebojów to niemal wieczność. Powrót po pięciu latach jest zaś fetowany taką wrzawą, jakby co najmniej wskrzeszono artystę z martwych. Podobny charakter ma wszak mamienie publiczności hasłem „ostatnia płyta", „ostatnia trasa", skoro – jak wiemy z doświadczenia – zwykle i płyt, i tras jest tyle, ile zażyczy sobie księgowy zespołu.

Zatem co do wspomnianej powiastki o „zniknięte j Björk" aż chce się przytoczyć znaną anegdotę o Adamie Mickiewiczu. Oto w drugiej połowie XIX wieku zapytano jakąś babulinę z Wileńszczyzny o to, czy znała Adama Mickiewicza. „A był taki. Ale wyjechał i słuch po nim zaginął".

© ROBERT KASPRZYCKI

Korzystałem z książek: Kim Gordon „Dziewczyna z zespołu", Lesław Haliński „Björk".

# Brzydka twarz suwerena

ANITA PIOTROWSKA

**Nowy film Szumowskiej to siarczysty policzek wymierzony dzisiejszej Polsce. Tej, z której się śmiejemy, ale której też trochę się boimy.**

Jednym z bestsellerów internetowego sklepu z T-shirtami jest ten z napisem „Morda zdradziecka" – zapewne w odpowiedzi na jeszcze modniejszą w ostatnich sezonach odzież patriotyczną. Podobną moc koszulkowego manifestu w reakcji na inny koszulkowy manifest ma najnowszy film Małgorzaty Szumowskiej. I nie jest przypadkiem, że „Twarz" w zagranicznym obiegu funkcjonuje pod angielskim tytułem „*Mug*", czyli „morda" właśnie. „Chcę dać filmem w ryja" – mówiła reżyserka w jednym z prasowych wywiadów, nie pozostawiając wątpliwości, że „Twarz" to siarczysty policzek wymierzony w odwecie dzisiejszej Polsce. Tej zaściankowej, zakłamanej i ksenofobicznej. Tej, z której się śmiejemy, ale której też trochę się boimy.

„Nasz Chrystus będzie jeszcze większy niż ten w Rio de Janeiro" – zapewnia z ambony ksiądz, zachęcając wiernych do angażowania się w budowę pomnika. „Ty sobie to wbij do głowy: miejsce Polaka jest w Polsce" – peroruje prymitywny szwagier, a brat podczas wigilijnej popijawy raczy krewnych rasistowskimi dowcipami. To wszystko znaleźć można już w filmowym zwiastunie, kondensującym prowokacyjny potencjał całości.

Straszni i śmieszni są bohaterowie filmu Szumowskiej. Dopóki Jacek (w tej roli Mateusz Kościukiewicz) jest jednym z nich, zdaje się nie dostrzegać ich prawdziwej natury. Dopiero kiedy powraca do wsi po ciężkim wypadku i przeszczepie twarzy, poczciwa rubaszność jego współziomków zamienia się w jawną wrogość. Niechęć, a może nawet lęk przed tym, co obce i nowe, uruchamia w bliskich mu dotychczas ludziach najgorsze instynkty. Nawet matka nie rozpoznaje własnego syna, wietrząc w jego zewnętrznej przemianie jakieś szatańskie sprawki. Bo także rodzina przestała tu być świętością, o czym świadczy choćby scena, w której krewni handryczą się nad grobem o spadek.

I na tym właśnie polega problem z filmem Szumowskiej. Ogromny potencjał, jaki kryje w sobie twarz (rozumiana filozoficznie, socjologicznie, psychologicznie), w filmie „Twarz" służy przede wszystkim satyrze na współczesną Polskę B. Obnaża brzydką twarz polskiego suwerena.

Na szczęście film zaczął już żyć swoim życiem, a w związku z nagrodą Srebrnego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie – również za granicą. I tu reakcje są zdecydowanie lepsze, a interpretacje wykraczają poza tryb doraźny. Niektórzy np. dostrzegają w filmie Szumowskiej metaforę... polskiej transformacji ustrojowej, która okazała się, podobnie jak w przypadku twarzy Jacka, przeszczepem nie do końca udanym. W pierwszej scenie filmu widzimy wygłodniały tłum, który szturmuje hipermarket, by skorzystać z upokarzającej „świątecznej promocji dla golasów". Ów konsumpcyjny pęd – mówi do nas Szumowska – to jedyne, co przyswoiliśmy w ramach powierzchownej modernizacji. Pokazana w „Twarzy" sądecka wieś, w jeszcze większym stopniu niż prowincja z wcześniejszego filmu tej reżyserki, „W imię..." z 2013 r., okazuje się siedliskiem zabobonów i uprzedzeń.

Inna interpretacja, również pojawiająca się w mediach niepolskich, każe widzieć w filmowym Jacku postać Chrystusową, figurę odrzuconego Mesjasza. Zwłaszcza że długowłosy bohater już przed wypadkiem funkcjonował w lokalnej społeczności jako odmieniec. Jakkolwiek wedle miejscowego księdza wypadek miał być formą nie tyle ofiary, co kary za niedopasowanie do reguł rządzą-

BARTOSZ MROZOWSKI / KINO ŚWIAT

*Kadr z filmu „Twarz”*

cych wspólnotą. Scenarzyści (Szumowska i operator filmu Michał Englert) nie mogą się jednak zdecydować, czy pójść w stronę publicystyki, czy symboliki. Raz postać głównego bohatera służy im do krytyki systemu (kiedy poszkodowany staje przed komisją lekarską czy ma być „twarzą” reklamowanego produktu), to znów zamienia się w krzywe zwierciadło zaściankowej mentalności, co wyrażać ma zastosowana w filmie bardzo oryginalna koncepcja zdjęciowa. Sęk w tym, że twórcy filmu w podobny sposób sami wykorzystują swego bohatera – jest on dla nich zawsze emblematem, maską, funkcją czegoś większego, a nie postacią z krwi i kości.

Trudno jest krytykować film Szumowskiej, jeśli chce się być po słusznej stronie barykady. Zwłaszcza że przed nami jeden z bardzo nielicznych polskich filmów opisujących nastroje Polaków, którym coraz trudniej odnaleźć się w bieżącej sytuacji społeczno-politycznej. I choć „Twarz” nie ma w sobie czystości „Body/ /Ciała”, bo za bardzo stara się we wszystkim „zobaczyć Polskę” i momentami wije się w stylistycznych arabeskach, mało który polski reżyser czuje się na planie filmowym tak pewnie, jak właśnie Szumowska. Widać też, że świetnie komunikuje się ze swoimi aktorami, by wymienić tylko Agnieszkę Podsiadlik, Małgorzatę Gorol, Romana Gancarczyka, nie licząc „podwójnej” roli Kościukiewicza. Czuje się też w filmie niezwykłą chłonność reżyserki.

Potrafi ona czerpać ze wszystkiego: z gazetowego newsa, z filmiku na YouTubie, a nawet z własnej twórczości (patrz: scena wiejskich rytuałów pogrzebowych, sfilmowanych niegdyś w dokumencie „A czego tu się bać?”), by osiągnąć niepowtarzalny, „szumowski” efekt artystyczny. Jego siłę osłabia jednak niekonsekwencja, którą najlepiej streszcza ludowe powiedzenie „przyganiał kocioł garnkowi”. Uprzedzenia, którym tak ochoczo film się przeciwstawia, stają się jego własną bronią – tyle że wymierzoną w przeciwną stronę i w gruncie rzeczy lekko już stępiałą. Bo „Twarz” to satyra na Polskę w kryzysie piękności, ale bardzo oswojona. Zarówno ci, co patrzą na nią z zewnątrz, jak i ci, którzy się w niej ze wstydem lub bez wstydu rozpoznają, znajdą w niej dokładnie to, czego mogli się spodziewać. ©

**TWARZ** – *reż. Małgorzata Szumowska. Prod. Polska 2018. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 6 kwietnia.*

## WARTO ZOBACZYĆ W TV [7 – 13 IV]

### 1. Putin i mafia

*Dokumentalny, reż. Anastasia Kirilenko, Nicolas Tonev, Francja 2018, Canal+, 7 IV, 20.00, Canal+ 1, 7 IV, 21.00*

**Jego fortuna może sięgać nawet 40 mld dolarów. W jaki sposób szeregowy agent KGB stał się jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie? Twórcy filmu oraz ich dobrze poinformowani rozmówcy porównują funkcjonowanie państwa rosyjskiego pod rządami Putina do struktur mafijnych. I udowadniają, że nie jest to tylko retoryczny chwyt.**

### 2. Paterno

*Dramat, reż. Barry Levinson, USA 2018, HBO, 8 IV, 20.10, 9 IV, 14.35, 11 IV, 20.10, 12 IV, 12.30*

**Twórca „Rain Mana” sięga po autentyczną historię, która zdarzyła się w 2011 r. Szkolny trener futbolu amerykańskiego zostaje oskarżony o molestowanie swoich podopiecznych. Okazuje się, że jego przełożony, tytułowy Joe Paterno, dobrze wiedział o tych nadużyciach i nie podjął odpowiednich czynności. W jego rolę wciela się w filmie Al Pacino.**

### 3. Serce z kamienia

*Dramat, reż. Guđmundur Arnar Guđmundsson, Islandia/Dania 2016, Cinemax 2, 7 IV, 20.30, 8 IV, 9.30, 11 IV, 20.30, 12 IV, 10.35, 13 IV, 22.10*

**Obsypany nagrodami debiut islandzkiego reżysera to we współczesnym kinie jeden z bardziej poruszających obrazów dojrzewania. Nastoletni mieszkańcy rybackiej osady wraz z końcem lata muszą zmierzyć się nie tylko z własną seksualnością, ale i przyspieszoną dorosłością. Jednym z głównych bohaterów jest surowa natura, która również ma wpływ na losy bohaterów.**

### 4. Inspekcja

*Teatr TV, reż. Jacek Raginis-Królikiewicz, Polska 2017, TVP1, 9 IV, 20.35*

**Grzegorz Królikiewicz zmarł pół roku temu, nie ukończywszy realizacji tego spektaklu. Zastąpił go syn, a zarazem współautor sztuki. Opowiada o Wasiliju Zarubinie, funkcjonariuszu radzieckich służb specjalnych, który próbował rozpracować oficerów polskich więzionych w Kozielsku. Występują m.in. Mariusz Ostrowski, Piotr Głowacki, Zygmunt Malanowicz.**

ZMYSŁY

# SEKS W RYTMIE DISCO POLO

Ta muzyka to najczulszy sejsmograf społeczny. Zabiera nas w podróż do krainy pragnień, lęków i fantazji. Odmalowuje mapę sytuacji niewidocznych zza biurek w Warszawie i miejsc, do których rzadko zaglądają telewizyjne kamery.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Od bitwy pod Grunwaldem minęło jakieś 10 lat, na tronie wciąż zasiada Władysław Jagiełło. Z dala od zgiełku wielkich bitew i polityki swoje zapiski prowadzi franciszkanin Mikołaj z Koźla. Zwykle notuje sprawy pobożne, tym razem jednak w jego rękopisie utrwalone zostaje coś naprawdę dziwnego. To polsko-czeska gwarowa przyśpiewka rozpoczynająca się od słów: „Chcy ja na pannu żałować: / Nie chciałat' mi trochy dać / Memu koni owsa". W przekładzie na współczesną polszczyznę słowa te brzmiałyby mniej więcej: „Chciałbym się poskarżyć na dziewczynę, która nie chciała mojemu konikowi dać owsa". Dalej dowiadujemy się, że młodzieńcowi „zwisa nożyk u pasa", niech więc dziewczyna zapali lampkę, żeby razem zobaczyli, czy jej wieniec jeszcze jest cały. Jeżeli tak jest, usłużny młodzian podejmuje się „zedrzeć go kijem", bo „gdy się uderzy kijem w krzak, zaraz się wypłoszą zające".

Jeżeli komuś z czytelników wszystkie te krzaki, wianki, nożyki i zające nasunęły nieprzyzwoite podejrzenia, to bardzo słusznie.

Za sprawą Mikołaja z Koźla do naszych czasów przetrwał bowiem najstarszy zachowany polski erotyk ludowy, utwór znany jako *cantilena inhonesta* – pieśń nieprzystojna. To tu na powierzchnię zapisanej historii wypływa po raz pierwszy rwący nurt utworów, które w obręb swego imaginarium zdolne były wciągnąć wszelkie elementy przyrody i codziennego życia, by uczynić je symbolami odwiecznego popędu. W ten sposób opisuje go Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska, autorka książki „Miłość ludowa" i jedna z najważniejszych badaczek zagadnienia: „Seksualnością człowieka rządzą tu prawa naturalne, które nakazują kurkowi włazić na kokoszkę, a byszkowi na jałoszkę. Są to te same determinujące prawa, które powołują do życia ofiary i drapieżców, które dolinę kładą pod wzniesieniem, każą się dobierać w pary, płodzić, rodzić, umierać, zdobywać pożywienie, konsumować i wydalać".

Dla tej potęgi nie istniały tamy ani ograniczenia. W szalony wir wiosny i miłości wciągano nawet treści religijne:

*Pokazał Adam Ewie / Parę jabłusek na drzewie, / Parę jabłusek na drzewie. / I onę gałązkę łysą, / Co przy niej jabłuska wisą* (Mazowsze, XVIII w.).

Co się stało z ludowym erotykiem wraz z przemianą kultury ludowej, która z wesel i obejść przeniosła się do skansenów, na festiwale folklorystyczne i do „Magazynu Kultury Ludowej »Źródła«"? Gdzie się podziali Jasieniek i Kasia, gdzie schronienie znaleźli jego „rączy konik" i jej „różany ogródek"? Rolę ludowych erotyków przejęło disco polo. Widać to wyraźnie po od-

ADRIAN ŚLĄZOK / REPORTER

*Na koncercie zespołu Weekend w Chorzowie, kwiecień 2013 r.*

szyfrowaniu specyficznego kodu erotycznego, jakim posługują się najpopularniejsze przeboje tego nurtu.

### Zakazane owoce

Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska wyjaśnia, że ludowe erotyki opierają się na specyficznym kodzie przekazu nieprzyzwoitych treści. Jerzy Bartmiński kompletuje treściwą listę najważniejszych „kodów erotycznych". „Gdyby ułożyć listę najczęstszych wyrazów służących topografii ludzkiego ciała w miłosnej pieśni ludowej, to na jej czele znalazłaby się trójca, kanoniczna dla polskiego erotyku w ogóle, mianowicie oko, serce i ręka". Disco polo korzysta z tych figur równie chętnie. Na przykład w superprzeboju „Ona tańczy dla mnie" (Weekend) znajdziemy frazy „patrzy często w oczy me", „schowam w sercu na dnie" oraz „jej ramiona ukojeniem dla mnie są". Bingo.

Znacznie ciekawiej robi się jednak, gdy przejdziemy do kodów mniej oczywistych, niezwiązanych bezpośrednio z ciałem. „Pieśń pomaga sobie rekwizytem" – wyjaśnia Bartmiński. „Jest on jakby zastępczą częścią ciała kochanków i – podobnie jak naturalna – wykładnikiem określonych treści lirycznych". Ludowe erotyki pełne są więc wianków (z disco polo zniknęły) i pierścionków (dziś mało istotne).

W tradycjach mitycznych seks i jedzenie są często zamienne. Dlatego znaków pseudonimujących czynności seksualne dostarcza też kod kulinarny. Wiejscy kochankowie uwielbiają zwłaszcza owoce i wszelkie runo leśne. Chłopak zrywa jabłka, dziewczyna – żołędzie lub grzyby, kochankowie wspólnie mogą rwać wiśnie. Gdy podążając tym tropem spróbowałem przyjrzeć się piosenkom disco polo, raz za razem przecierałem oczy ze zdumienia. Owocowy kod erotyczny jest w przebojach tego nurtu wszechobecny! Tradycyjne jabłuszka i jagódki musiały jednak ustąpić miejsca w wyobraźni nowym zakazanym owocom. Na konkretnych przykładach możemy prześledzić mechanizmy ciągłości i adaptacji wyobraźni zbiorowej do zmieniających się warunków.

Jabłka mogą pojawić się w piosence: „Pod bluzeczką dwa jabłuszka masz, / Jak poproszę, to mi jedno dasz " (Avanti „Jabłuszka"). Znajdzie się też miejsce dla jagód: „Czarne jagody i czerwone wino, / Zatańczę ja dzisiaj ze swoją dziewczyną" (Players „Czarne jagody"). Zwłaszcza jeżeli będzie to zarazem imię dziewczyny, jak w piosence „Jagoda chodź na loda" (SENNSI), prezentującej feerię kulinarno-erotycznych symboli, zwieńczonych popularnym obrazem loda: „Znudziły mi się Haribo misie / I poziomkowe też nie nowe, / Mam chęć na wyjątkowe lody jagodowe".

Poczesne miejsce w ludowej wyobraźni zajmują teraz tropikalne ananasy: „Kocham się w tobie od pierwszej klasy, / Dla ciebie jem codziennie ananasy, / Bo po ananasie słodki smak ma się" – śpiewa zespół After Party. Jeszcze istotniejsze jest miejsce pomarańczy, których dodatkową zaletą jest niewątpliwie fakt, że rymują się z czasownikiem „tańczyć". „Ona lubi pomarańcze, / Lubi, kiedy nago tańczę" (Avanti „Ona lubi pomarańcze"); „Tańcz, tańcz, tańcz, kiedy inni tańczą, / I pij, pij, pij drinka z pomarańczą" (Long & Junior „Tańcz, tańcz, tańcz").

Niekwestionowanym królem discopolowej wyobraźni erotycznej jest jednak banan. Zrywany, obierany, zjadany i nadgryzany (czemu towarzyszą sugestywne obrazy w teledyskach) – w roli symbolu fallicznego zastąpił grzyby i żołędzie. Banan to także symbol lata, egzotyki i beztroski: „Chcecie banana – je, je, / Zjecie banana – je, je" (Amadeo „Letni wiatr"). Czasem staje się atrybutem chętnej czy seksownej dziewczyny: „Taka seksowna, roześmiana, / Codziennie rano je banana" (After Party „Bananowa Agnieszka"). Niekiedy discopolowa wyobraźnia buduje na figurze banana rozbudowane obrazy, mogące iść w zawody z tradycyjnymi ludowymi erotykami:

*Ewa, Ewa, coś ty narobiła, / Znowu drzewa w raju pomyliłaś. / Przecież to takie proste, / To każda Ewa wie, / Że jabłko jest okrągłe, / A banan długi jest. // Miała być jabłonka, / A ty banan trącasz. / Powiedz mi, dziewczyno,* ↦

↦ *czy to ładnie tak? / Co ja teraz zrobię, / Jak to Bogu powiem, / Jak mu wytłumaczę, / Że to taki żart* (Soleo „Ewa z bananowego drzewa").

Oprócz owoców z seksem wiąże się alkohol (zwłaszcza wino, które rymuje się do „dziewczyno"). Nie musi być drogie, jak w piosence „Krótka historia" zespołu Effect: „Kupimy wino tanie z Biedronki, / Wino wytrawne, bo ja jestem słodki", choć oczywiście afrodyzjakiem pozostaje też szampan, oprócz szaleństwa konotujący także bogactwo: „Będę tulił cię wieczorem / Przy szampanie z kawiorem" (Long & Junior „Bądź przy mnie blisko"), „Miłość, miłość w Zakopanem, / Polewamy się szampanem" (Sławomir „Miłość w Zakopanem").

Między winem z Biedronki i szampanem, między kawiorem i pomidorową (zderzone w piosence „Bądź przy mnie blisko") rozciąga się więc współczesna przestrzeń „chłopskiej doli i niedoli". Przywołując kulinarne rekwizyty, chłopak obiecuje dziewczynie, że będzie ją kochał w bogactwie i w biedzie, dokładnie jak w ludowych erotykach.

### Samochody

Skoro już o bogactwie i biedzie mowa – najważniejszym symbolem statusu w piosenkach disco polo jest samochód. W zaskakująco dosłowny sposób zastąpił on Jasieńkowego konika – kluczową figurę erotyczną ludowych erotyków. Gdzie niegdyś konika się poiło, gdzie konik zajeżdżał przed chatkę i tratował kwiatki – dziś słychać ryk stuningowanych BMW i audi w LPG, a czasem nawet swojski klekot malucha.

Liczba piosenek poświęconych wszelkim możliwym markom samochodów przyprawia o zawrót głowy nawet badacza kultury zaprawionego w pracy z dużymi korpusami tekstów. Nie ma chyba takiej marki obecnej na polskich drogach, która nie doczekałaby się własnego hymnu motoryzacyjno-erotycznego. Nierzadko są to dzieła dowcipne, pełne ironii, wychwalające wątpliwe zalety sprowadzanych z Niemiec passatów albo „bitych" i „wyklepanych" daewoo tico.

Doskonałym przykładem tego nurtu jest przebój „Audi w LPG" (Faster), który na YouTubie cieszy się już 35 milionami odsłon. W tym pełnym rubasznego humoru dziele znajdziemy rozbudowaną topografię kluczowych punktów polskiej wsi, informacje o gustach i symbolach statusu, ale też dowcipnie przemyconą wzmiankę o unijnych dopłatach. Pojawia się też, oczywiście, banan:

*Jadę audi w el pe dżi, / Jestem panem każdej wsi, / Jest Mariola, jest Teresa, / Więc jedziemy pod GS-a, / Jadę audi w el pe dżi, / Jestem panem każdej wsi, / Wsiadaj, niunia, zamknij drzwi, / W audi dam banana ci. / (...) Za dopłaty ją kupiłem, / Może trochę przepłaciłem, / Fajne audi, łysa klata, / To co lubi małolata.*

Ten sam zespół ma w swoim repertuarze także hymn na cześć erotycznych walorów konkurencyjnej marki. W piosence „Beta w benzie" słyszymy o wozie „po tuningu" i „nie klepanym":

*I uderzam nią na wieś, / Pod przystanek PKS! / A ja betą w benzie gnam, / Gumę palę, kasę mam, / Kasia, Asia, już tam jest, / W becie im zrobimy test!*

Zespół Rompey wychwala z kolei uroki passata w piosence „Passerati": „Wbijamy na imprezę, silnik robi kle kle, / Kobity czują piniądz, mówią o mnie w mieście". Swoich piewców znalazły też ople „Corsa, vectra, astra, / Zna to każda laska, / Niski profil, felga / I już dziunia klęka" (Raz, dwa „Opel"), a nawet seicento (Ever Boy „Seicento") czy matiz (Diley „Iza z matiza"). Także swojski maluch doczekał się statusu erotycznego gadżetu:

*Mam małego, / Lecz zadziornego, / Nieokrzesanego, / I drapieżnego. / Inni mają większe, / A ja tylko małym jeżdżę.// Mam, mam, mam / Super malucha. / Fajnie się w nim dmucha* (JuRaD „Mam małego").

Wjazd na tę autostradę pełną najróżniejszych aut w zmiennym stanie technicznym uświadamia nam fundamentalny problem związany z jej badaniem. Nie sposób postawić wyraźnej granicy między twórczością „na poważnie" a tą prześmiewczą. Disco polo i pastisz disco polo są w zasadzie niemożliwe do odróżnienia. Nurt ten od zarania miał tendencje autoironiczne. Przechwytywał też dzieła tworzone z myślą o sparodiowaniu gatunku – jak chociażby klasyczne już „Mydełko Fa". W przypadku poezji samochodowo-erotycznej tę gotowość do szyderstwa z własnych kodów kulturowych widać wyraźnie.

### Imiona

Dla „prawdziwej" twórczości ludowej charakterystyczne było operowanie konkretem nawet przy wyrażaniu treści tak ogólnych jak miłość i seks. Zamiast jakiegoś tam drzewa kochanków ocieniała lipka albo dąb; za posłanie służyła im nie „roślina", lecz kąkol albo macierzanka; akcja działa się o określonej porze dnia i roku itd. Stąd też zamiast anonimowych dziewczyn ludowa wyobraźnia często obsadzała scenę Kasieńkami czy Zosiami.

Podobne umiłowanie kobiecych imion można odnaleźć w disco polo, gdzie utwory „odimienne" tworzą wręcz oddzielny podgatunek, równie bogaty jak twórczość owocowa i samochodowa. Często zresztą gatunki te wchodzą w mariaże, jak we wspomnianych już piosenkach „Bananowa Agnieszka" czy „Iza z matiza". Porządkiem imion we współczesnej erotyce ludowej rządzi przeważnie prosta zasada rymowanych atrybutów. Agnieszka zwykle gdzieś mieszka, Jagoda – idzie na loda, Weronika – znika, Teresa – wysyła erotycznego esemesa itd. Dlatego właściwie nieuniknione było, by poza piosenkami sławiącymi wdzięki jednej niewiasty pojawiły się piosenki-listy, w których kolejnym damom przypisuje się mniej lub bardziej udatnie zrymowane z ich imionami atrybuty. Ta forma liryki erotycznej – spopularyzowana w muzyce głównego nurtu za sprawą piosenki „Baśka" zespołu Wilki – ma w disco polo dziesiątki realizacji.

*Agnieszka – tu obok mieszka, / Ania – świetna do kochania, / Basia – tylko całowała, nic więcej nie chciała, / Ilona – wciąż napalona, / Ewa – sporo w siebie wlewa, / Każda z was była miła, każda mnie olśniła* (Bobi „Ela, Ela").

*Do Krysi to mi wisi, / do Gosi się podnosi, / Do Uli się kuli, /Do Oli nie ma że boli* (Diskorolka „Do Krysi to wisi").

W ten sposób dotarliśmy do miedzy, za którą rozpościerają się już utwory jawnie obsceniczne, eksplorujące granice ludowej wyobraźni seksualnej, dozwolonych fantazji i pragnień możliwych do zwerbalizowania w dostępnych kodach. Zapraszam na drugą stronę!

### A może spróbujemy czegoś nowego?

Zaczyna się niewinnie, od kolanka i rączki: „Za kolanko, rączkę małą / Będę trzymał nockę całą, / Za kolanko i uwierzcie / Może za coś jeszcze" (Andre „Za kolanko"). Wkrótce jednak disco

polo stawia nam fundamentalne pytanie, znane – wbrew pozorom – także ludowej kulturze erotycznej. Dlaczego by nie spróbować czegoś nowego? „Uzyskanie satysfakcji nie wymaga od kochanków skomplikowanych technik seksualnych – pisze o ludowych erotykach Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska. – Obowiązuje pozycja klasyczna, według wskazań natury: »dolinka pod brzyskiem«, przeciw czemu buntują się czasem żartobliwie niektóre kochanki: »Jasiu mój, Jasiu mój, / Nie róbze mi krzywdy, / Ty na mnie wychodzisz, / Jo na ciebie nigdy«". A więc czego chcieliby spróbować twórcy i słuchacze piosenek disco polo?

Można spróbować seksu w niekonwencjonalnym miejscu. (Co ciekawe, w kulturze ludowej nie było to żadne tabu – kochankowie równie często jak pod pierzyną znajdowali spełnienie w stodołach, na łące czy w lesie). Warto też poeksperymentować z nowymi pozycjami.

Badania i wywiady z pracownicami seksualnymi potwierdzają, że najchętniej testowaną fantazją erotyczną Polaków jest seks z dwiema kobietami naraz. Taki właśnie obraz znajdujemy m.in. w piosence Hi-Fi „Dwie naraz" („Historia, którą chciałby przeżyć każdy z was, / Dwie piękne panie w jednym łóżku i na długi czas") oraz w wykorzystującym wspomniany „porządek imion" utworze „Hania i Ania" (Soleo), w którym fakt, że dwa imiona się rymują, rozpoczął u autora ciąg skojarzeń prowadzący do erotycznej fantazji: „Jak to możliwe, że dziewczyny w łóżku dwie, / Zawsze mówiłem: jedna, więcej nie. / Przecieram oczy, patrzę, to nie żart / A budzik dzwoni pora wstać".

Analiza tekstów wydaje się sugerować także pewną otwartość na kontakty międzyrasowe: Mario Bischin w piosence „Mulatka" wyznaje: „Bo ta czarnula tak kręci mnie, / Tych swoich myśli aż boję się", podobny motyw pojawia się w piosence „Czekoladka" (GONTI). W obydwu teledyskach widzimy jednak białe kobiety (choć o ciemnej karnacji), a Mulatka z piosenki okazuje się egzotycznością bardzo oswojoną: „Ona mieszka obok w klatce, / A więc śniłem o sąsiadce". W tym przypadku świat ludowej fantazji nie sięga zbyt daleko.

W ogóle figura „sąsiadki" czy „dziewczyny z sąsiedztwa" chętnie przywoływana jest przez discopolowych donżuanów (Topples „Sąsiadka"). Nierzadko w kontekście zdrady, która w muzyce disco polo – podobnie jak w ludowych erotykach – nie zawsze okazuje się moralnie naganna. „A nie wnikam, może z rzadka, / Czy to panna, czy mężatka" – chwali się bohater piosenki „Chodź kochanie" (Cliver). Zagadnienie zdrady rozwija grupa Powerplay w utworze „Skok w bok":

*Myślę sobie, ech, przecież to nie grzech, / Na palcu złoto lśni i wciąż zależy mi, / A wszyscy mówią, że nikt nie dowie się. (...) / Minął chyba rok od mego skoku w bok, / Czy żałuję? – nie, dobrze bawiłem się. / Doświadczenia te jeszcze przydadzą się. / Nic nie zmieni mnie, tak już dzieje się, / W porcie przystań mam, nie zostanę sam. / I niech każdy wie, jak to kończy się.*

YOUTUBE

*Zespół Łobuzy: „Ona czuje we mnie piniądz"*

Najważniejszym symbolem statusu w piosenkach disco polo jest samochód. W zaskakująco dosłowny sposób zastąpił on Jasieńkowego konika. Gdzie niegdyś konika się poiło – dziś słychać ryk stuningowanych BMW i audi w LPG, a czasem nawet swojski klekot malucha.

A zatem zdrada, która się nie wydała, nie jest powodem do żalu. Wzbogaca chłopaka o nowe doświadczenia. Ważne, by wiedział, że ostatecznie jego miejsce jest w bezpiecznej przystani małżeństwa.

Instytucję tę wciąż opiewa wiele piosenek disco polo, często eksponując właśnie opozycję przelotnej przygody i trwałego związku. Historie z szalonego wieczoru kawalerskiego kończą się więc szczęśliwie: „Szansę mi dała, więc nie spartolę, / Jedynie świadek to chory człowiek" (B-QLL „Tak, tak, żono moja") i ostatecznie na weselu wyśpiewać można pochwałę małżeństwa (oczywiście w rytmie disco polo):

*Nad górami słońce świeci, / Srebrny księżyc za górami, / Jedno z drugim się przegania, / A my się kochamy* (Masters „Żono moja").

### Dlaczego warto słuchać disco polo?

Słuchając disco polo możemy odwrócić proponowaną przez folklorystów logikę. Zamiast pokazywać, jak za pomocą rekwizytów zaczerpniętych z codzienności opowiada się o seksie, warto potraktować kod erotyczny jako narzędzie opisu codzienności i opowiadania o niej. Wówczas okazałoby się, że wszystkie te piosenki za pomocą uniwersalnego kodu seksualnego zdają drobiazgowy raport z kondycji rzeszy Polaków.

Disco polo to najczulszy sejsmograf społeczny. Taneczne przeboje zabierają nas w podróż do krainy bardzo precyzyjnie opisanych pragnień, lęków i fantazji, które dotyczą nie tylko sfery seksualnej, lecz także kulturowej i ekonomicznej. Ukazując wciąż zmieniające się mody, nowe style życia, aspiracje i lęki, disco polo odmalowuje mapę sytuacji niewidocznych zza biurek w Warszawie i miejsc, do których rzadko zaglądają telewizyjne kamery. Za pomocą uniwersalnego kodu i przyziemnych rekwizytów piosenki disco polo zadają ważne pytania o miejsce konkretnych ludzi w społeczeństwie, o wyobrażoną geografię, społeczną mobilność, o miejsce pracy, odpoczynku, zabawy.

Disco polo opowiada o życiu rozerwanym między pracą za granicą a szalonymi weekendami w naprędce zaimprowizowanym klubie; między snami o luksusie i egzotyce a na wpół zdewastowanym GS-em; między wymarzonym szampanem i tanim winem z Biedronki. W koszu wszystkich tych pomarańczy zrymowanych z tańcami nietrudno znaleźć i takie wersy, które zostają w głowie na długo. „Podróżując PKS-em / Śniłem, że jestem prezesem" – śpiewa wykonawca jednego z wyjątkowo dosłownych przebojów. „Kupiłem go, bo Miras przywiózł go z Niemiec / I każda niunia chce w nim siedzieć" – chwali swój rydwan jeden z amantów. A ja myślę o tych wszystkich golfach, matizach i tico, które co roku swój pęd do lepszego, bajkowego świata kończą na drzewach i w rzekach. Tak świat fantazji o lśniących mercedesach zderza się z rzeczywistością.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

# **Lektor:** *Czytanie jako forma bycia*

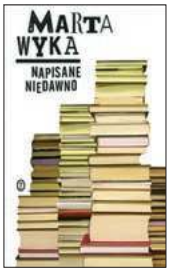


▪ *Marta Wyka*
**NAPISANE NIEDAWNO.**
**SZKICE KRYTYCZNE I LITERACKIE**
*Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, ss. 214*

„Papierowy majątek mojej rodziny był jej jedynym i największym" – czytamy na początku. A więc biblioteka jako środowisko naturalne, które kształtuje charakter, choć może też rodzić przekonanie, że nie ma innego świata. I lista lektur jako istotny element pokoleniowej wspólnoty.
W tej książce pisanie o literaturze ujęte zostaje w autobiograficzne ramy, a krytyka splata się z prozą wspomnieniową. Obszar czasowy jest rozległy, sięga od chwili, gdy mała dziewczynka uczy się podczas wojny na pamięć wierszowanej powiastki „Pan Termometr zachorował", którą (pod pseudonimem) opublikował w 1942 r. Tadeusz Kwiatkowski, aż po lata ostatnie, kiedy ukazują się recenzowane teraz tytuły: „Fałszerze pieprzu" Moniki Sznajderman, „Henryk" Wojciecha Karpińskiego, „Historie florenckie" Ewy Bieńkowskiej, „Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie" Anny Król czy opowiadania Macieja Miłkowskiego. Rekonstrukcja historii rodzinnej, jakiej dokonuje Sznajderman, podjęta przez Karpińskiego próba portretu Henryka Krzeczkowskiego, człowieka o wielu twarzach, formacyjnego mistrza i „inseminatora", jak go nazwał Kisiel, czy wreszcie „Ze wspomnień szczęściarza" Jacka Woźniakowskiego – pozwalają na różne sposoby wracać do tych samych tematów, jak funkcja pamięci czy relacja między świadectwem a literackością.
Ta książka ma przemyślaną kompozycję: po wspomnianych recenzjach znalazły się „One", ważne eseje o trzech pisarkach trzech pokoleń. Maria Dąbrowska jako autorka drugiej, niedokończonej powieści, Wisława Szymborska i Ewa Lipska skonfrontowane tu zostają z kontekstem swojego czasu, z przemianami formy i funkcji literatury. Trzecia, ostatnia część, czyli „Francuskie opowieści", też traktuje o pewnej istotnej przemianie. To analiza, a właściwie rozpisana na kilka szkiców elegia poświęcona utracie przez kulturę francuską pozycji najważniejszego dla polskich twórców punktu odniesienia. Ucieleśnienie polskiej frankofilii, czy raczej, jak woli autorka, francuskości, stanowi tu Jan Błoński („wszystko, co najlepsze, napisane zostało po francusku" – powiedział kiedyś w rozmowie z Krystyną i Stefanem Chwinami). Pisarzem zaś, któremu nieodmiennie wierna czytelniczka składa piękny hołd, jest Albert Camus. „Napisane niedawno" to wciągająca lektura, a przy tym wyraziste odbicie krytycznej samoświadomości pokoleniowej. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

**Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

TP

*Premiera Biblioteki „Tygodnika Powszechnego"*

**TADEUSZ JAGODZIŃSKI „ŻYCIE TO CHWILA JAWY"**

Reportaże i eseje wybitnego dziennikarza Tadeusza Jagodzińskiego, redaktora BBC, korespondenta, podróżnika – ze wstępem Wojciecha Jagielskiego, Piotra Mucharskiego i Dariusza Rosiaka w wyborze Janusza Poniewierskiego.

**Ks. Adam Boniecki: Niezależnie od tego, czy Tadeusz Jagodziński pisał o tym, o czym chcieli przeczytać jego wydawcy, czy o tym, co sam uznał za ważne, zawsze pisał z pozycji tego, kto odkrywa, obserwuje, wciąż umie się dziwić i chce – a właściwie musi – opowiedzieć.**

Książka do nabycia w księgarniach lub przez stronę **wydawnictwowam.pl**; e-book do kupienia na stronie **powszech.net/jagodzinski**.

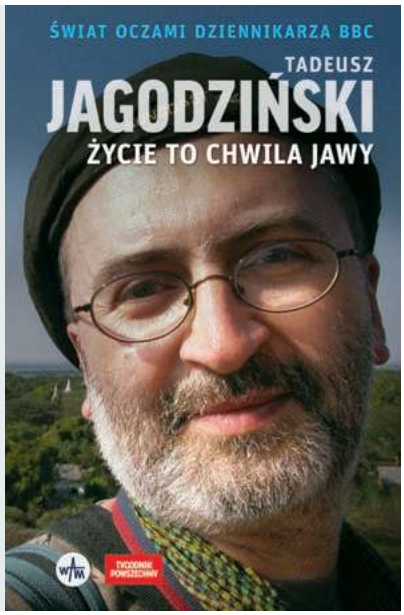


OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

# Bravo:
## *Papieska kuchnia*

Nie samym chlebem człowiek żyje. To mój ulubiony magnes na lodówce. Pamiątka z watykańskiego pawilonu w czasie Expo 2015 w Mediolanie, który był tam jak mała fontanna z czystą, chłodną wodą – chciałoby się powiedzieć: na pustyni, ale ucieknijmy od zbyt rzewnych skojarzeń. Pustynią to nie było, raczej rozległym klepiskiem usianym sadzawkami z kolorową oranżadą, zbyt słodką i lepką, żeby zaspokoić pragnienie. Gigantycznym festiwalem na cześć jedzenia pod każdą postacią. I pod każdym pretekstem, który pozwalał dorobić filozoficzną głębię do Wielkiego Żarcia.

Z biegiem czasu rozmazały mi się już detale ideowych wygibasów, jakimi poszczególne państwa i organizacje próbowały się wykpić od pytania, po co to wszystko. Pamiętam tylko ten moment oddechu, kiedy w schludnym baraczku pod szyldem Stolicy Apostolskiej zwiedzałem wystawę, która niosła dość heretycki w tamtym kontekście przekaz: żywność jest ważna przede wszystkim dlatego, że jej brakuje. Od każdego pełnego talerza ważniejszy jest ten pusty. Rewersem radości z dobrze przyrządzonego obiadu jest pamięć o tych, którzy go od tygodnia nie jedli – i każdy w swoim sumieniu musi roztropnie równoważyć oba impulsy.

Ówczesne gazety, po dwóch latach pontyfikatu, już drukowały rewelacje o Franciszku, który jada w zwykłej stołówce dla kurialistów. Na chybcika, po drodze między zajęciami, i byle co. Czytałem opowiastki o tym, jak prosi zakonnice w kuchni, by dawały mu do picia wodę użytą do obgotowania młodych listków mniszka – kwietniowego przysmaku Włochów, zwanego *cicoria*, co zresztą budzi czasem u nas nieporozumienia nazewnicze. Opowiastki podszyte ekscytacją, jakie to wielkie umartwienie, niemal asceza pierwszych chrześcijan. Ale woda z mniszka jest bombą zdrowotną, środkiem na odtrucie i wzmocnienie odporności. I w tym Bergoglio zwyczajnie powtarza przekaz chłopskiej pamięci rodzinnej – na przednówku piło się rozmaite liściowe wywary na pokrzepienie.

Skądinąd o pożytkach wody spod liścia wiedzą nie tylko potomkowie rolników z Piemontu – blogerzy i jutuberzy jak świat długi i szeroki zwą mniszka królem detoksu. A Jorge Bergoglio o właściwościach różnych składników jedzenia na pewno wie więcej niż poprzedni biskupi Rzymu: zanim odpowiedział na swoje powołanie, zaliczył przecież solidny kurs chemii spożywczej w Escuela Tecnica n. 27 w Buenos Aires i pracował nawet chwilę w laboratorium analiz żywnościowych.

Dość naiwne w gruncie rzeczy są te próby rozegrania stołówkowych eskapad Franciszka i tym podobnych gestów, jak kazanie z Domu św. Marty sprzed dwóch lat zatytułowane „Babcine ciastka" (wiadomo: babcia i ciasteczka to archetyp troski, tyle że te tradycyjne piemonckie wypieki zwą się *busie*, czyli po naszemu „kłamstewka"). Dlatego z ciekawością czekam na polską wersję wydanej właśnie w paru krajach naraz nowej książki „Przy stole z papieżem Franciszkiem", która, wnosząc z licznych opisów, kreśli zrównoważony portret ani ascety, ani łakomczucha, tylko kogoś, kto sam zajmował się gotowaniem dla rodziny i podopiecznych, i stąd wie, że jest to praca ciężka i godna, w pewnym sensie święta, ale nieznosząca apoteozy.

Papież w rozmowie z dziennikarzem, nie po raz pierwszy zresztą, zachwala proste smaki dzieciństwa – jak tzw. risotto piemonckie, złożone jeno z ryżu, masła, cebuli i sera (plus wino i bulion do gotowania), przy czym trzeba pamiętać, że tylko najwyższej jakości ryż i ser dadzą nam pamiętne efekty, idealny balans serowego umami i kremowej skrobiowej słodyczy. A z drugiej strony opowiada o mięsnym szaleństwie *asado*, czyli górze pieczonych żeberek wołowych posypanych mieszanką przypraw *chimichurri*, jakie szykował w niedzielę, gdy kucharki w kolegium jezuickim miały wolne. Kiedy ukazała się encyklika „*Laudato si*", pojawiały się w sieci komentarze, że można z niej wyczytać wezwanie do wegetarianizmu. Jeden z bliskich współpracowników papieża zauważył wówczas przytomnie: „Argentyńczyk nigdy nie powie, że mięso można czymś zastąpić". ©℗

*Moją ulubioną papieską anegdotą z jedzeniem w tle jest rozmowa Franciszka z Melanią Trump podczas oficjalnej wizyty wiosną zeszłego roku. Chcąc sympatycznie zagaić rozmowę z pierwszą damą o słoweńskich korzeniach, zapytał ją, czy piecze mężowi putizzę. Ona usłyszała „pizzę" i zapadła chwila kłopotliwego milczenia, zanim dotarło do niej, że tak w okolicach Triestu nazywa się sztandarowe słoweńskie ciasto potica. Strukturalnie przypomina makowca, tyle że z innym nadzieniem, do którego was serdecznie namawiam, gdy już skończycie świąteczne resztki. Znawca c. i k. klimatów Robert Makłowicz radzi, by 300 g mielonych orzechów włoskich sparzyć 125 ml gorącego mleka, do tego dodać 150 cukru, 30 g miękkiego masła, 50 ml śmietanki, 2 żółtka, cynamon i tłuczone goździki, zmieszać i połączyć z pianą z 2 białek. W Słowenii widziałem prostszą wersję: rozprowadzamy 100 g miodu w 100 ml ciepłego mleka, dodajemy 250 g mielonych orzechów, 2 jajka, cynamon, goździki, łyżkę rumu i skórkę z cytryny. Potem smarujemy placek drożdżowego ciasta, takiego jak zwykle robimy na makowiec, podobnie zawijamy i pieczemy.*

SAMO TREBIZAN / ALAMY / BEW

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *O mruczeniu*

Niedawno zostaliśmy oświeceni cudzą złotą myślą, że mianowicie estetyka zawsze przegrywa z pragmatyką. Postanowiliśmy na podstawie kilku przykładów, wziętych z różnych przestrzeni, sprawdzić, czy myśl owa sprawdza się w praktyce dnia codziennego, przeżywanego przez człowieka całkowicie, tak jak my – szarego.

Zacznijmy zwyczajnie. Oto każda wizyta u jubilera będzie zawsze dowodem, że stwierdzenie dziś rozbierane jest słuszne. Zakup ogromnego brylantu, choćby był on najgłębiej brzydkim, bądź najwspanialej pięknym, jest zawsze po prostu inwestycją i niczym więcej. Każde dziecko – choćby najmniejsze – wie przecież, że brylanty, nie wiedzieć czemu, nie tanieją. W brylantach akurat jest coś zasadniczo niepraktycznego i równocześnie coś milion razy bardziej użytecznego. Zresztą brylanty to jedna z największych tajemnic zalęgniętych w architekturze ludzkiego rozumu. Mądrość owa dotyczy zresztą też dzieł sztuki, oczywiście poza pomnikami w Polsce, co do których używanie określeń pochodzących ze świata sztuki, bądź biznesu, jest przekraczaniem bariery dzielącej sens od bezsensu. Weźmy teraz – idąc dalej – nieruchomości. Każdy wie, że nieruchomości, zwane ongiś w Krakowie realnościami, ogromnie rzadko są ładne i szalenie często są brzydkie. Nie trzeba być mądrym, by rozumieć, że uroda nieruchomości nie ma żadnego znaczenia i nie po to się je kupuje, a nawet – spróbujmy zaszarżować – są nie po to, by w nich mieszkać, a po to, by je właśnie kupować i z zyskiem sprzedawać.

Popatrzmy teraz na zwierzęta i dla ułatwienia przyjrzyjmy się kotowatym (*Felidae*). Oto wydać by się mogło, że kotowate są z punktu widzenia gospodarstwa, zwłaszcza miejskiego, bowiem inaczej rzecz ma się z nimi na wsi, stworzeniami całkowicie niepraktycznymi. Są one niejako modelowym przykładem istot żyjących w sferze tylko estetycznej. Koty nie orzą ani nie sieją i – z czym zgodzi się każdy, kto widział przez chwilę kota – ich aktywność polega wyłącznie na spaniu bądź łażeniu. Gdy nie śpią, mruczą, zresztą gdy śpią, też to robią. Mruczenie – wydawałoby się – to takoż czysta estetyka, bez kropli pragmatyki. Nic bardziej mylnego. Planetarną użyteczność mruczenia można by spisać na wołowej skórze, ale w skrócie, bo temat jest zbyt wielki. Flora – popatrzmy na tę domową. To czysta degeneracja, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z roślinnością *de domo* z wysp południowego Pacyfiku. Oglądanie palmy, która w swych ojczyznach osiąga sto metrów, a sto milimetrów w ciemnym kącie naszej kuchni, patrzenie na palmę wychowaną w skomplikowanym klimacie gotujących się ziemniaków niesie sens głęboko praktyczny i minimalnie estetyczny. Jej obserwowanie daje więc najgłębsze wyobrażenie o istocie i miejscu bytowania, o sensie istnienia, o charakterze najpraktyczniej edukacyjnym i przydatnym życiowo.

Przejdźmy teraz do polityki. Polityka jest, a przynajmniej była, w mniemaniu wielu samą esencją i nieustannym zwycięstwem pragmatyki nad estetyką. Zawsze spełniała w stu procentach założenie naszej złotej myśli i nikomu przez tysiące lat nie przyszło do głowy, by podważać tę oczywistość. Otóż uważamy, że polityka wyrwała się na naszych oczach z nudnych objęć pragmatyki i zagnieździła się w obcym jej dotychczas świecie pojęć szalejącej estetyki. Owszem, z uprawiania polityki wynikają sprawy konkretne i namacalne, ale – zważmy – droga ku nim wiedzie dziś wyłącznie przez zalesione pola piękna bądź brzydoty. Śmiemy mniemać, że cała dziś władająca ekipa rządzi nami z powodów wyłącznie estetycznych, bowiem nie przychodzi chyba nikomu do głowy, że ma tu do powiedzenia cokolwiek jakikolwiek duch pragmatyki. Wniosek oczywiście jest i taki, że nad pragmatycznym poczuciem zwyciężyły marzenia estetyczne wyborców i słodkie ich sny się spełniły.

Skoro jest tak pięknie, to dlaczego jest, jak jest? Otóż spory na gruncie praktycznym są załatwialne, a dyskusje o tym, co ładne bądź brzydkie, już nie. Najpoważniejsze zranienia biorą się z ukrzywdzenia gustu, poczucia własnej ładności i jej zderzenia z opinią o nieładności. Niewątpliwie powszechna kłótnia dzisiejsza jest koktajlem straszliwych dyskusji o pięknie i stosowaniu siły w kategoriach ściśle estetycznych. Piękno zwyciężyło i broni się przed szokującą je opinią, że jest brzydkie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

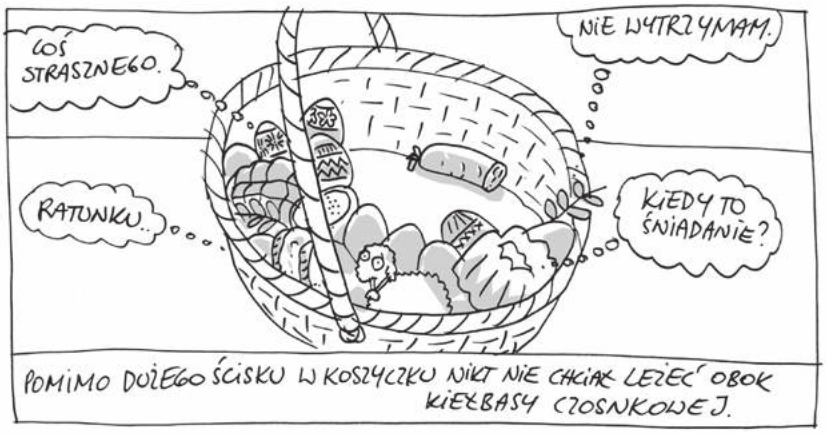

# Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

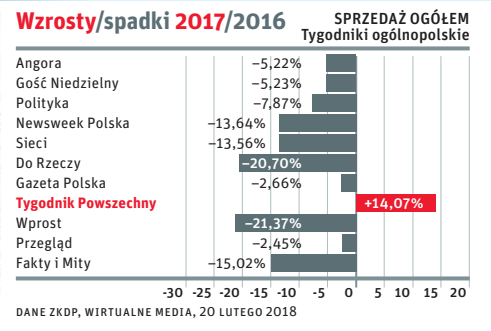


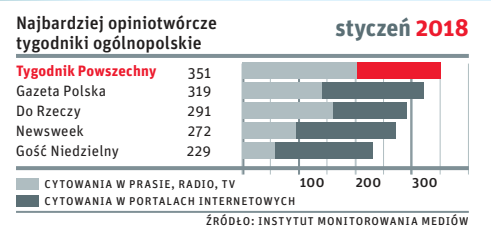


**Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny". Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.**

**ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO** to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

**JESTEŚMY PRZEKONANI,** że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika". Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP" poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

**SKALA I SKUTECZNOŚĆ** działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

1%

**Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:**
**0000125605**
**Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:**
**31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**

Ks. Adam Boniecki
redaktor senior, przewodniczący Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu Fundacji TP

Edyta Płachta
członkini zarządu Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP"

Maja Kuczmińska
członkini zarządu „TP"

Piotr Mucharski
redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA

# 18. DNI TISCHNEROWSKIE

## KRAKÓW, 18-21 KWIETNIA 2018

ORGANIZATORZY:

znak · Fundacja Kultury Chrześcijańskiej „Znak" · Uniwersytet Jagielloński w Krakowie · Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie · Instytut Myśli Józefa Tischnera · Akademia Sztuk Teatralnych im. Ks. Wyspiańskiego w Krakowie

# WOLNOŚĆ i SŁOWO

fot. archiwum Wydawnictwa Znak

www.tischner.pl
fb.com/dni.tischnerowskie

Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Miasta Kraków

WSPÓŁORGANIZATORZY:

Kraków · kbf · Kraków UNESCO City of Literature · ERGO HESTIA · AGH

PARTNERZY:

15 lat Wyższa Szkoła Europejska im. ks. Józefa Tischnera · Tygodnik Powszechny · De Revolutionibus Books&Café

PATRONI MEDIALNI:

Radio Kraków · TVP Kultura · Gazeta Wyborcza · ZNAK